

SEAN U. MOORE
tom 46

CONAN I KŁĄTWA SZAMANA

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN AND THE SHAMAN'S CURSE
PRZEKŁAD KRZYSZTOF KUREK

Raven
nieustannie rozbudzającej moją fantazję
swoim uśmiechem

NOTA KRONIKARZA

Conan zmierza do Anshan, stolicy Iranistanu. Przewodzi grupie około dwustu mężczyzn. Planują dołączyć do armii króla Arshaka dla złota i chwały — bardziej dla tego pierwszego. Lecz wiatry ślepego losu, kłębiąc się dziko wokół potężnego Cymmerianina, naznaczają jego plany piętnem fatalnego przeznaczenia. Tak się zaczyna opowieść o Conanie i szamańskiej klątwie.

I CZERWONA MGŁA

Padlinożerne ptaki zataczały kręgi nad małym odcinkiem kamienistej plaży, skrzecząc ze zniecierpliwienia. Ostry zaduch rzezi, która dokonywała się poniżej, psuł powietrze, swąd krwi ściągał coraz więcej sępów.

Tysiące trupów wypełniały plażę, rozciągając się na niej niczym przerażający dywan śmierci. W zaciśniętych palcach wielu zabitych wciąż tkwiła broń, inne ciała leżały poskręcane, przywalone ciałami swoich przeciwników. Wszystkie z grymasami nienawiści na zastygłych twarzach, pozbawionych życia. Poszarpane, zakrwawione szaty, przesiąknięte czerwienią kefie należały do ludzi z plemienia Kaklani, z południa Iranistanu. Rozrzucona strzaskana broń, pokierszowane ciała, poodrąbywane członki tworzyły milczącą opowieść o bezlitosnym boju.

Nie wszyscy jednak zostali wybici, choć rozkrzyczane, ptaki ośmieliły zbliżyć się dość wyraźnie. Bitwę przeżyła grupa czterestu wojowników. Mieli na sobie żółte szaty w czerwone pasy, noszone przez ludzi z plemienia Kaklani, z południa Iranistanu. Dalej, za nimi, chwiejnie kroczył starzec z długą, białą brodą, ciężko wspierając się na drewnianej lasce. Dysząc i złorzecząc grupa przesuwała się wśród porzucanych trupów, by okrążyć samotnie stojącego mężczyznę.

Nie ruszał się z miejsca. Czarne włosy opadały mu na ramiona spod krzywo osadzonego na głowie, poobijanego hełmu. Szeroką i silną pierś przykrywała solidna kolczuga. Naprężone muskuły pokrywały jego ramiona, a w pokrytej bliznami prawej dłoni tkwił masywny, szeroki miecz, połyskujący w słońcu parnego popołudnia. Cały pokryty był krwią Kaklanisów, która skapywała jeszcze z krawędzi ostrza. Oczy mu płonęły, wargi zaciskał w okrutnym grymasie. To Conan, barbarzyńca z Cymmerii — krainy ściętych mrozem równin, leżących tak daleko na pomocy, że tutaj, u południowych wybrzeży Hyborii, mało kto znał jego sławne imię. Mieszkańcy Cymmerii, zahartowani twardym życiem, byli tak surowi, jak ich ojczyzna. Nigdy nie oddawali swego życia tanio i Conan nie stanowił wyjątku. U jego stóp leżał stos trupów Kaklanisów, a pod nimi ciała Zaririsów, którzy walczyli u jego boku.

Zaririsi — zacięci, odwieczni wrogowie Kaklanisów — wynajęli Conana i towarzyszących mu najemników, by dołączyli w zgubnym ataku na Kaklanisów. Do wściekłego starcia doszło u stóp Gór Złotych. W rytmie bitewnym walczący stopniowo przesuwali się w kierunku plaży, gdzie padł zarówno ostami Zariris, jak i ostatni wojownik z kompanii Conana. Conan wyciągnął miecz z pochwy o świcie, dając swym ludziom sygnał do ataku. Przez cały dzień znajdował się samym sercu zacieklego boju. Teraz słońce opadało, by utonąć za horyzontem, ale Conan nie przejawiał żadnych oznak wyczerpania. Wysoko i niezachwianie dzierżył swój oręż w gotowości na przyjęcie zbliżających się Kaklanisów.

Znużeni współplemieńcy, czując że zwycięstwo jest w zasięgu ręki, ruszyli jak jeden mąż, paląc się do zadania ostatniego ciosu. Czternaście twarzy wykrzywionych groźnie z wściekłości. Czternaście ostrzy zbliżających się coraz bardziej, niczym stalowe zęby gotowe,

Moore Sean U - Conan i kłątwa szamana

by zacisnąć się wokół głowy, ciskającego piorunujące spojrzenia, Cymmerianina. — Cudzoziemska hiena — wycharczał pierwszy i ruszył naprzód spluwając pod nogi Conana. — Walka skończona. Zatopię to ostrze w twe rozpalone, plugawe bebechy! Pchnął z szybkością atakującej żmii, celując ostrzem w pierś Cymmerianina. Lecz Conan odparował i bezlitośnie wytrącił broń z ręki Kaklanisa. Następnie odciął ramię, które ją trzymało, i rozplątał żebra. Szczęk stali i wrzask zranionego wojownika zmieszały się z dzikim okrzykiem bojowym Conana. Kaklanis padł na stos trupów u jego stóp. Conan uwolnił swój zakrwawiony miecz, szykując go na następnego napastnika. Potężnym uderzeniem z góry roztrzaskał jego broń i rozłupał jego czaszkę aż do żuchwy. Zanim pozostali zdążyli zareagować, Conan był już poza pierścieniem otaczających go napastników. Mógł zbiec, lecz poprzysiął zemstę za swych ludzi, wiernych towarzyszy, którzy zginęli z rąk Kaklanisów. Odwrócił się, by zmierzyć się z dwunastoma rozwścieczonymi Iranistańczykami. Uderzyli na niego jak wzburzona fala, ale natrafili na nieugiętego Cymmerianina. Po każdym jego ciosie kolejny Kaklanis padał z krzykiem, umierając z rozłupaną czaszką, rozrąbanym torsem czy rozplątaniem karkiem. Ich natrętne ciosy spadały jak ulewa na rozjuszonego barbarzyńcę. Solidna kolczuga nie przepuszczała uderzeń ostrzy, choć parę z rozpaczliwych cięć trafiło Cymmerianina. Jednak znacznie bardziej niż on sam ucierpeli ci, którzy znaleźli się w zasięgu jego nieprzerwanie siekącego miecza. Bitewna gorączka owładnęła Conanem tłoczącą przez jego żyły prawdziwy ogień i wypełniając nim głowę. Walczył z niegasnącą furią do czasu, aż ostami Kaklanis padł na ziemię, ściskając w agonii swój rozpruty brzuch. Conan uniósł miecz wypatrując kolejnego wroga. Dysząc z wysiłku, z sercem walącym jak wojenny bęben Piktów, uważnie obserwował ciała, szukając jakichkolwiek oznak życia. Tylko jeden z Kaklanisów jeszcze się ruszał — białowłosy starzec. Kaszląc i plując, wsparł się na ozdobnie rzeźbionej drewnianej lasce i dźwignął z poczerwieniałej od krwi ziemi. Miał zraniony bok, i włókł za sobą niemal odciętą nogę. Mozaika kolorowych tatuaży pokrywała łysą głowę i kościsty tors. Zasnęta krew oblepiała skorupą jedną stronę pomarszczonej twarzy. Conan, który znał trochę plemiona Iranistanu, odgadywał, że stoi oko w oko z kaklańskim szamanem. Cymmerianin obawiał się wprawdzie, że szaman może rzucić jakieś czary, ale był już znużony walką i nie atakował nieuzbrojonego człowieka. Gorąca krew wojownika zaczęła powoli stygnąć. Poza tym wyglądało na to, że rany starca i tak wkrótce wysłają go do piekła, na jakie zasłużyli wszyscy z jego plemienia. — Pokój, starcze — powiedział Conan w chropowatym iranistańskim języku. — Nie zrobię ci krzywdy. Szaman zatoczył się i podniósł laskę, jakby chciał zadać cios. Conan cofnął się o krok. Szaman stracił równowagę i ukląkł na jedno kolano. Patrzył teraz na Cymmerianina z dołu, zacisnął dłonie na końcach laski. Zgiął ją tak mocno, aż trzasnęła. Wymamrotał coś w nieznanym Conanowi języku i czerwone wstęgi światła wystrzeliły z obu części złamanego kija. Płynęły w powietrzu, aż zlały się w mgłę, która otoczyła głowę wojownika. Szaman zakrzyknął coś głośno i chrapliwie. Tuman mgły zaiskrzył w światłach zachodzącego słońca. Nagle szaman urwał swój zaśpiew i umarł, jego ciało osunęło się na zakrwawioną ziemię. Conan machał rękami próbując odpędzić gryzący czerwony obłok. Bolesne błyski wypełniały jego głowę jak szpilki przewiercające czaszkę, docierały do mózgu. Próbował zaczerpnąć powietrza, ale poczuł jedynie dławiącą, słodką mgłę. Dusząc się złapał dłońmi za gardło i runął na sztywniejące ciało szamana.

II PLAŻA WE KRWI

Conan gnał przez gęstą, pulsującą żarem dżunglę zdyszany po długiej gonitwie. Zapomniał, co ścigał — jego zwierzyna była bystra i zwinna. Cymmerianin był nagi i nie miał żadnej broni, ale jakoś nie martwił się tym. Wypadł na polanę i spojrzał w górę. Zobaczył księżyc w pełni, królujący na nocnym niebie, spoglądający w dół, niczym błyszczące, wrogie oko. W jakiś sposób podniecało go to i skłaniało do przyśpieszenia biegu. Zapach łupu wypełniał jego nozdrza. W napięciu zbliżał się do czworonożnego zwierzęcia, wyczuwając jego strach. Mgła zalewała Conanowi oczy, krew zawrzała w żyłach. Przedał się przez gęstwinę, wyciągnął ręce przed siebie i stanął zaskoczony swoim wyglądem. Ręce pokrywała mu jasna sierść. Ostre, czarne szpony wyrastały z grubych i zdeformowanych palców. Conan skoczył naprzód i chwycił w te szpony skowyczące zwierzę, targając i rozrywając

jego ciało...

Obudził się z krzykiem, zerwał na równe nogi, strząsając krople potu z twarzy i włosów. Zmrużył oczy uderzony bolesnym blaskiem iranistańskiego wschodu słońca i zanim uświadomił sobie, że śnił, odruchowo sięgnął po miecz.

Uwolnił stopę spod sztywnego ciała szamana, ze wstrętem cofnął się o krok, potykając o oderwaną nogę. Wszędzie leżały ciała poległych. Powoli przyzwyczajał się do ostrego światła i usiłował uspokoić, bijące zbyt szybko, serce. Nadchodził przypływ. Fale z pluskiem uderzały w ciała rozrzucone wzdłuż brzegu plaży.

Każdy po takiej bitwie następnego dnia nie ruszałby ani ręką, ani nogą, czując ból każdego, najmniejszego nawet zadrapania. Lecz nie Conan. Jego wytrzymałość była wytrzymałością wilka, jego siła siłą lwa. Nieraz walczył w kampaniach, w których walkę prowadzono od świtu do nocy, przez wiele dni z rzędu, gdy żołnierzy karmiono skąpym jadłem i racjonowaną wodą. A ta bitwa trwała tylko jeden podły dzień.

Barbarzyńca potarł obolałe skronie i starał się odpędzić wspomnienie dziwnego snu. Ale żaden senny koszmar nie mógł równać się z piekielnym widokiem poboju wokół niego. Makabryczny obraz plaży przypawiłby o młodości niejednego najemnika, ale Conan z takimi widokami był obeznany aż nazbyt dobrze. Wszak urodził się na polu bitwy, w Cymmerii, przed blisko trzydziestoma laty. W chwili osiemnastych urodzin miał za sobą więcej wojen, niż inni widzieli w ciągu całego swego żywota.

Conan przyglądał się teraz bliżej efektom okrutnej plemienną wendety. Uznawał za niegodne bezczeszczenie ciał zabitych nieprzyjaciół, ale patrząc na ohydne czyny popełnione na przeciwnikach, zdawało się, że członkowie iranistańskich plemion znajdują rozkosz w takich praktykach. Plaża wyglądała jak makabryczny arras śmierci, utkany z przerażających nici.

Wschodzące słońce rozprasało poranny chłód, ale niewiele uczyniło, by napełnić ciepłem serce Conana. Z goryczą przeklinał okoliczności, w jakich wplątał się w tę tragiczną walkę. Tydzień wcześniej on i jego towarzysze zmierzali w kierunku turanijskich stepów, by dołączyć do armii Arshaka, nowego króla Iranistanu.

Towarzystwa dotrzymanyli Conanowi doświadczeni Hyrkanijczycy, spragnieni złota i chwały. Podczas przemierzania ziem Zaririi zostali zaproszeni do namiotu Jarała, szejka tej krainy.

Jaralowi znana była legendarna waleczność Conana. Opowiedział Cymmerianinowi o niesłychanym okrucieństwie Kaklanisów, tak wyraziście opisując ich podłe czyny, że zatwardziały żołnierz słuchał zdumiony. Apelując do sumienia Conana, powołując się na rycerski kodeks honorowy, Jarał przekonywał, że Conan powinien mu pomóc. Początkowo barbarzyńca odmawiał, chcąc jak najszybciej dotrzeć na stepy i napełnić sakwy złotem ze skarbca Arshaka. W miarę jednak, jak zapadał zmierzch, Jarał napełniając Conanowi puchar coraz to wspominając o hojnej nagrodzie za pomoc. Skąpo odziane, płomiennookie dziewczki przynosiły co chwila wyszukane potrawy. Wkrótce też Jarał wezwał do namiotu zespół zarirskich tancerek. Gdy Conan rozochocony chwycił w ramiona delikatną czarnowłosą dziewczynę, szejka złożył mu ostateczną, szczodłą ofertę: połowa skarbów Kaklanisów do podziału między członków jego kompanii. Mówił wcześniej o zarirskich klejnotach plemiennych, skradzionych przez Kaklanisów. Obiecał nawet Conanowi oddzielny udział w łupach, jeśli tylko wrogowie zostaną pokonani.

Conan przystał na to. Była to zła decyzja, której teraz żałował. Kaklanisi przeważali liczebnie atakujących co najmniej dwukrotnie, a inwazja zamieniła się w masakrę. Cymmerianin czy zwycięży, czy zginie, zmuszony był walczyć. Rozważał nawet wycofanie się, lecz jego ludzie zostali otoczeni, a on czuł się za nich odpowiedzialny. Zginęli śmiercią bohaterów, walcząc do końca, pociągając ze sobą do piekła niejednego z Kaklanisów.

Wszyscy jego ludzie stracili życie. Zaklął i zaczął odganiać czarne myśli. Patrzył na bezczelne ptactwo, wyszarpujące fragmenty mięsa z rozkładających się ciał. Delikatnemu szumowi przybrzeżnych fal towarzyszyło łopotanie skrzydeł, przenikliwe wrzaski ucztujących w pośpiechu ptaków i gwałtowne odgłosy żarłocznych dziobów.

Conan patrzył na skrzącą się wodę i ważył swoje możliwości. Cienkie wstążki chmur powoli unosiły się na niebie. W oddali spostrzegł kształt krzyża, który przypominał maszt dryfującego powoli okrętu ze zwiniętym żaglem. Do uszu Conana docierał łagodny szept oceanu. Przywoływał go, ale Cymmerianin zdecydował nie odpowiedzieć na zew. Miał lepsze widoki. Były tu, gdzie stał mocno na ziemi.

Poza tym miał jeszcze coś do zrobienia. Ziewnął i jeszcze raz powiódł wzrokiem po ponurym otoczeniu wokół. Czuł się zmęczony, choć przespał całą noc. Dotknął obolałej

Moore Sean U - Conan i kłątwa szamana

głowy nie mogąc sobie przypomnieć, kiedy został uderzony. Gdy ogarniała go bitewna gorączka, nie myślał o niczym innym, jak tylko o walce. Dopiero potem posiniaczone ciało dawało mu o sobie znać. Możliwe, że jego nocny koszmarny sen był następstwem jakiegoś potężnego ciosu. Wciągając w płuca haust rześkiego, morskiego powietrza zabrał się od razu do wykonania przykrego zadania.

Zaczął zbierać ciała swych ludzi. Układał je, wraz z bronią, na stercie drewna i następnie podpalał. Zawsze tak robił. Jego towarzysze byli lojalni i dzielni, zasługiwali na lepszy pochówek. Lecz mógł zrobić tylko to — nie dopuścić, by jego żołnierzami karmiły się ptasie żołądki.

Przez wiele godzin Conan wykonywał tę przygnębiającą pracę, wyszukując ciała swoich żołnierzy i składając je razem. Nie opłakiwał tych, którzy padli, ani nie obwinał się z powodu ich śmierci. Towarzyszyli mu z własnej woli, umarli godnie, a on ich pomścił.

Cymmerianin taszczył kolejnych zabitych, gdy zauważył, że usta jednego nieznacznie poruszają się. Był to Ari, jego zastępca i niezły wojownik. Oczy miał zamknięte. Conan pochylił się i przytknął mu do ust bukłak z wodą. Nagle cofnął rękę zaskoczony. Ruch twarzy, który spostrzegł wcześniej, spowodował mały krab, znajdujący się w ustach mężczyzny, zjadając mu język. Cymmerianin strząsnął trupożercę. Nadział na ostrze miecza, wyrwał z niego szczypców strzęp surowego mięsa. To było wszystko, co zostało z języka Ari. Conan umieścił ciało obok innych, których doliczył się już prawie dwieście. Ramiona barbarzyńcy zaczynały drżeć, żar dnia i wilgoć uderzały jak niewidzialne pięści. Zmęczony powłókł się z powrotem do obozu Zaririsów, który leżał oddalony o jakiś kilometr, tam, gdzie Góry Złote dotykały brzegu Oceanu Południowego. Ugasił pragnienie winem i wziął konia szejka, by nazbierać drewna na pobliskich lesistych wzgórzach.

W noc przed bitwą Conan widział, jak Jaral wymyka się z obozu dźwigając drewnianą skrzynię w kierunku tych właśnie wzgórz. Zaciekawiony śledził przebiegłego szejka i zobaczył, że ten zakopał skrzynię w pobliżu małego, charakterystycznie zdeformowanego drzewa. Cymmerianin domyślał się, że skrzynia zawiera złoto należne jego towarzyszom. Dobrze więc zapamiętał to miejsce, w razie gdyby szejk nie kwapił się z wypłaceniem im nagrody za pomoc w walce.

Conan opuścił obóz kierując się w tę stronę. Odnalazł skrzynię i objuczył nią wierzchowca, po czym nazbierał drewna na podpałkę. Nie dbał o to, że było niewysuszone — zanim dym znacznie unosić się znad stosu, on będzie daleko. Zdecydował już, dokąd się udać. Ze skrzynią iranistańskiego złota mógł spędzić kilka miesięcy w niedalekim, portowym mieście Denizkenar. Po miesiącu raczenia się najprzedniejszym mocnym winem, w towarzystwie subtelnych kobiet przestałby odczuwać gorzki smak, jaki pozostawiła po sobie ta bitwa. To by go postawiło na nogi. Już długo nie zażywał żadnych przyjemności, jakich dostarcza cywilizacja. Żył ponurym życiem najemnika. Powrócił do ułożonego stosu poległych kamratów, rozniecił ogień i przez chwilę patrzył, jak płomień powoli zajmuje drewno. Ostry dym wił się i mknął w kierunku nieba. Lecz gdy właśnie dosiadał konia, ujrzał zbliżających się jeźdźców — setki ludzi na koniach, cwałujących na złamanie karku. — Na Croma! — zaklął spinając boki piętami swojego wierzchowca, skłaniając go do pełnego galopu. Jeźdźcy nosili charakterystycznie paskowane kefie Bajkarisów — wschodnich sprzymierzeńców Kaklanisów, bez wątpienia wezwanych przez jakiegoś wystąńca.

Ci sojusznicy przybyli za późno, ale Conan zdawał sobie sprawę, że szukaliby zemsty na nim. Piach unosił się pod ciężkimi kopytami koni niosących jeźdźców w kierunku stosu spowitego w kłęby dymu. Ludzie z pierwszych szeregów poganiali zwierzęta okładając ich spocone zady. Zza pasów wyciągali groźne, zakrzywione szable i wywijali nimi w powietrzu. Conan mknął na zachód, ku Górom Złotym, licząc, że ukryje się wśród cienistych, skalnych zaułków i zwabi ścigających. Wiatr szarpał żółtą szatą Cymmerianina, która miała zdezorientować, że Conan jest przyjacielem Zaririsów. Nie pozbył się jednak własnego nakrycia głowy wątpiąc, by zrobiło to jakąkolwiek różnicę. Jego zmęczony koń biegł coraz wolniej, obciążony dodatkowo skrzynią wypełnioną złotem. Cymmerianin spojrzął za siebie na rozwścieczonych Bajkarisów. Byli coraz bliżej. Gdy Conan wjechał między dwa kamieniste wzniesienia, spostrzegł grupę leżących w oczekiwaniu bajkariskich strzelców, ze strzałami założonymi na cięciwy, gotowych do oddania strzałów. Inni wznosili kusze, biorąc go na cel.

— Na Croma i Badb! — zaklął i szarpał wodze swojego rumaka. Gwałtownie skierował go na południe na chwilę przed tym, jak strzelcy rozpoczęli wysyłać deszcz grotów.

Strzały i bełty sunęły w powietrzu jak drewniane pioruny i uderzały z łoskotem o skały.

Kilka ugodziło konia, inne odbiły się od kolczugi na plecach Conana. W panice wierzchowiec

poniósł do przodu. Conan wczepił się w jego grzywę, i cwałowali na południe wschodnim zboczem Gór Złotych. Cymmerianin skierował konia w stronę wąskiego pasa kamienistej plaży, najdalej wysuniętego na południowy zachód wybrzeża Iranistanu. Bajkaryjscy jeźdźcy rozciągnęli swój szyk, nie dając Conanowi żadnej nadziei na ucieczkę. Rozważał kilka możliwości: zostać w miejscu lub ruszyć na nich środkiem i próbować przedrzeć się, lub też szukać ocalenia w morzu. Z okresu kiedy był piratem w Belit Conan pamiętał, że vendhyańscy kupcy często podróżują szlakiem Południowego Oceanu. Wymieniali towary z przybrzeżnymi plemionami Zambebewei i z Gwadirisami, zamieszkującymi Wyspy Perłowe.

Jego wyostrzony wzrok wychwycił na południowym horyzoncie kształt okrętu. Dystans do pokonania w wodzie był niemały, lecz spokojne morze dawało większe szansę na ratunek, niż Conan miałby zostając na miejscu.

Zeskoczył z grzbietu spienionego konia, wciąż trzymając wodze. Zerwał z siebie wyszczerbioną kolczugę, cisnął na bok i ściągnął kefię. Kilkoma zręcznymi ruchami zrobił z nakrycia głowy worek i napełnił go taką ilością złota, jaką uznał, że uniesie. Po chwili namysłu schował miecz do pochwy i przywiązał worek do swojego szerokiego, skórzanego pasa. Wziął głęboki oddech i zanurzył się w ciepłą błękitną wodę.

Krzyki Bajkarisów dochodziły do jego uszu, gdy walczył z falami, posuwając się naprzód. Zmagał się z pokusą porzucenia worka ze złotem, które mogłoby zabezpieczyć mu dostanie się na pokład statku... jeśli dotrze do tego odległego celu. Za nim ryczący wściekle mściciele zrzucali ciężki rynsztunek i wskakiwali do wody, ściskając w zębach zakrzywione noże.

Łucznicy i kusznicy, którzy zostali w tyle, teraz dotarli na brzeg morza i zaczęli ostrzelać. Cymmerianin dziękował losowi, że Iranistańczycy nie należeli do najlepszych strzelców, inaczej upolowaliby go jak rybę, zanim znalazłby się poza zasięgiem ich broni.

— Zaririska świnia! — wrzeszczeli, rzucając jeszcze inne wyzwiska za uciekającym barbarzyńcą.

— Niech morskie bestie wyczyszczą twoje przeklęte kości!

Conan śmiałby się, ale oszczędzał oddech. Umknął strzelcom, lecz tuziny bajkariskich wojowników wciąż, nieustępliwie podążały za nim. Obciążony workiem złota i masywnym mieczem, czuł że zwalnia tępo. Bajkarisi płynęli o rzut kamieniem od niego i zbliżali się z każdą sekundą.

III

„WITAMY NA POKŁADZIE...”

Conan przyśpieszył tempo, wykorzystując resztę zasobów siły. Ciężar miecza i worka ze złotem, mógłby kogoś słabszego pociągnąć na dno oceanu, lecz niezwykła tężyzna pomagała mu nieść się przez łagodne wody oceanu tak szybko, że niejedno stworzenie morskie mogłoby tego pozazdrościć. Oddychając rytmicznie Conan skupił się, by osiągnąć największą szybkość, na jaką go było stać. Kiedy cel przeprawy pojawił się już wyraźniej przed nim, uniósł głowę i obejrzał przez ramię.

Wielu Bajkarisów, bardziej przywykłych do siodła niż do morza, zaczęło słabnąć. Inni zatrzymali się już dawno, poruszali się teraz dotykając stopami dna, zbyt zmęczeni, by dopłynąć z powrotem do brzegu. Strzelcy na plaży wyglądali jak zwykłe robactwo.

— Psy! — wyrzucił z siebie Conan.

Ten okrzyk zakłócił mu na chwilę oddech, lecz zaraz płynął już spokojnie dalej z nadzieją dotarcia do statku. Był już na tyle niedaleko, że mógł rozpoznać pewne szczegóły: wysoka rufa, szerokie śródokręcie — kształt przypominający vendhyańskie trampy. Po obu bokach umocowanych było po dziesięć wiosł. Kapitan skompletował załogę dość oszczędnie — Conan dojrzał pracujących wiosłarzy. Możliwe, że dowódca stawał raczej na pomyslnie wiatry, a nie na ludzką siłę. Pojedynczy żagiel był zwinięty i przymocowany gejtawami do rei, i nie było żadnych znaków, które mówiłyby coś o pochodzeniu statku.

Doświadczone oko Cymmerianina mówiło mu, że trafił na wyładowaną towarem vendhyańską jednostkę handlową. I nie był to okręt handlarzy niewolników — tamte niosą ze sobą łatwy do rozpoznania zapach, który wokół skaża powietrze. Jeśli tam wiosłują wolni ludzie, Conan mógł być mile widziany, jako znający się na takiej robocie. Lepiej zapłacić za przejazd pracą, niż rozstawać się ze swym łupem.

Wiedział, że dla silnego wiosłarza i wytrawnego szermierza pokłady małych handlowych statków zawsze są gościnne — ich dowódcy żyją w ciągłym strachu przed piratami. Jeszcze nie tak dawno Conan i Belit — piękna lecz niebezpieczna piratka — polowali na wiele podobnych statków. Okręt „Tygryska”, którym dowodziła Belit miał stalowy dziób i

Moore Sean U - Conan i kłątwa szamana

osiemdziesiąt ludzi. Conana na moment nawiedziło dobre, choć bolesne wspomnienie shemickiej kobiety, z którą spędził wiele szczęśliwych lat. We dwoje złupili niezliczone stygijskie statki — ich napady, grabieże i morderstwa, nie przyniosły im dobrej sławy wśród mieszkańców południowych wybrzeży Oceanu Zachodniego.

Nigdy przedtem — ani potem — nie spotkał kobiety takiej, jak Belit. Upajała się życiem włóczęgi, wojownika i łupieżcy, tak samo jak Conan. Z wielu kobiet, które znał, żadna nie mogła równać się z nią w miłości. Krwawe bitwy wzmagaly jej pożądanie tak, jak Conana. W jego ramionach była dzika i nieopanowana, jak nieoswojona kocica. Po każdej wyprawie gasili swoje wzajemne pragnienia, często od zmierzchu do późnego poranka. Jedynie żądza zdobywania łupów przewyższała jej głód rozkoszy zmysłowych. Przyszedł wkrótce moment rozstania. Nędzne przywiązanie do splamionych krwią skarbów zabrało mu ją dawno temu. Conan tęsknił za swoją piracką królową i trochę nieświadomie unikał morza od chwili przedwczesnej śmierci Królowej Czarnych Wybrzeży. Bez niej morską włóczęgą straciła swój namiętny smak.

Conan zasępił się nieco, ale to nie był czas na zadumę. Odpędził od siebie wspomnienia, skupiając się na celu. Garstka Bajkarisów uparcie podążała za nim, a on nie miał jeszcze zamiaru dołączać do Belit w piekle.

Spoglądając za siebie, w stronę plaży zobaczył, że tylko trzech ludzi kontynuuje pościg. Zmniejszali dystans i rozróżniał już ich mokre, czerwone twarze i odbijające się słoneczne światło od noży, które ściskali w zębach. Zdecydował, że się z nimi zmierzy, choć jego miecz raczej nie nadawał się do walki w wodzie. Conan nie miał też na sobie kolczugi, która by go chroniła przed ciosami noży. Co gorsza, zawadzał mu ciężki worek z łupem. Być może powinien go odciąć, ale po tym, jak włókł go przez tak długą drogę, żał mu było porzucić taki skarb.

Gwałtowny ruch wody przyciągnął uwagę Conana. Odwrócił głowę w tę stronę — kilka stóp obok, pod powierzchnią wody mknął w jego kierunku długi, srebrzysty kształt. Cymmerianin odplynął nieco w tył, wyciągnął miecz i w tej samej chwili, gdy odsłonił ostrze, rzuciła się na niego gigantyczna barakuda. Wyostrzone zęby lekko zawadziły o jego łydkę, a Conan rozpaczliwie pchnął podstępne zwierzę.

Cios był celny. Ostrze przebiło rybę, zatapiając się głęboko we wnętrzościach i uderzając w szkielet. Zraniona ryba próbowała pozbyć się tej wielkiej, stalowej drzazgi. Szamotała się lecz miecz utkwiał na dobre. Conan mocniej chwycił rękojeść, ale rozjuszona barakuda, odpychając mu ręce, zacisnęła szczęki na jego skórzanym pasie. Rana nie osłabiła ryby, która miotając się dziko wciągała barbarzyńcę w głębinę. Opierając nogi o śliskie łuski ugodzonego drapieżcy i kręcąc ostrzem tkwiącym w ranie, Conan zdołał wziąć głęboki oddech przed zanurzeniem.

Człowiek i bestia zmagali się zażarcie. Cymmerianin trzymał swój miecz. Zdychająca barakuda ciągnęła upartego pasażera przez zwały wody. Conan walczył z pokusą wypuszczenia powietrza. Od braku tlenu krew pulsowała aż do zawrotów głowy. Przetrzymał powietrze w płucach wiedząc, że gdyby wypuścił, woda wokół stałaby się jego grobem. Jediną szansą było wyciągnąć miecz i przebić zwierzę raz jeszcze.

Ręce odmawiały posłuszeństwa.

Robiło mu się ciemno w oczach i zatracił zdolność oceny sytuacji. Ledwie zauważył ostatni spazm barakudy. Przy rozpierającym bólu kłatki piersiowej przewyciężył ogarniający go bezwład i resztką sił wyrwał swój miecz z cielska ryby. Umierające stworzenie podryfowało gdzieś jak broczący krwią wrak. Ostatkiem świadomości zmusił się, by nie otworzyć ust i nie zaczerpnąć tego, czym oddycha przez chwilę każdy topielec. Cymmerianin uderzał nogami jak szalony, unosząc się w kierunku światła. Wiedział, że krew mogła przyciągnąć jeszcze złośliwsze stwory — olbrzymie pręgowane rekiny, od których aż roiło się w tych wodach.

Po kilku chwilach cierpień nie do zniesienia Conan dotarł do powierzchni. Głośno dysząc, łykał życiodajny tlen. Wdychał i wydychał po kilka razy, zanim do końca wróciło oprzytomnienie. Spojrzał ze zdumieniem na daleką plażę i się roześmiał. Barakuda zaholowała go na bezpieczną odległość od Bajkarisów, w pobliże vendhyańskiego statku. Jego prześladowcy prawdopodobnie zaniechali pościgu. Zostali daleko i wyglądali jak rozmazane plamki. Conan zmuszał obolałe płuca do pracy, pokonując ostatni odcinek trasy swojej ucieczki. Powierzchnia wody była gładka i żaden niepokojący ruch płetw nie zakłócał spokoju. Możliwe, że morskie potwory grasowały gdzie indziej.

Argosseanin opierał się o reling na rufie, wyglądał na znudzonego. Gdy dostrzegł w wodzie płynącego w kierunku statku człowieka, poderwał się raptownie. Jego krzyki ściągnęły paru innych żeglarzy. Zrzucano z pokładu linę, którą Conan skwapliwie chwycił.

Wciągnął się po niej na górę, przetaszczył przez burtę i opadł ciężko na ławkę, pomiędzy dwóch spoconych wiosłarzy. Na widok Conana wszyscy zastygli w bezruchu, wpatrując się ze zdumieniem w ociekającego wodą barbarzyńcę.

Wysoki, brodaty Argosseanin przeszedł między ławkami w stronę Conana. Muskularną rękę trzymał na mosiężnej rękojeści wielkiego bułata, zatkniętego za szeroki pas. Pozostali żeglarze — Vendhyanie o oliwkowej skórze, tędy Argosseanie, nieliczni Zingarianie o nie budzącym zaufania spojrzeniu — też trzymali dłonie na swych wypolerowanych, krzywych szablach.

— Na brodę Bela! Toż to niebieskooki olbrzym, człowiek północy. Witamy na pokładzie Zarkhańskiej Pani. Jestem Tosco, pierwszy oficer. Jak zwą ciebie i skąd się tu, do diabła, wzięłeś? — krzyknął w swym rodzimym języku na powitanie wysoki Argosseanin. W jego głosie wyczuwało się napięcie, a po sposobie ułożenia palców na mosiężnej rękojeści — czujność.

Conan, choć zmęczony, nie tracił głowy. Udał, że dźwiga się na nogi, by rzucić okiem na otoczenie. W rzeczywistości, zaciskając dłonie na swoim worku ze złotem, obserwował sternika, który stał na pokładzie dalej, za plecami Tosco.

Śniada skóra sternika nasuwała przypuszczenie, że jest on Stygijczykiem. Jego kurtka i wąski nóż nosiły symbole Seta — przeraźliwie mrocznego boga.

Conan jęknął w duchu, prostując się powoli, aż stanął w całej swej okazałości. Sternik mógł poznać jego imię — jednego z najbardziej znienawidzonych w Stygii piratów.

— Jestem Vraal — zagrzmiał Conan w szorstkim języku argossezańskim. — Syn Królestwa Pogranicznego, ale znam morskie zwyczaje — dodał.

— Vraal? Dezerter czy niewolnik uciekający przed nimi? — zapytał wskazując ręką odległy brzeg, na którym widać było wciąż jeszcze wielu Bajkarisów.

— Nie, zacny Tosco. Napadli mnie, gdy przemierzałem Góry Złote. Jechałem, by sprzedać swój miecz w Anshan czy Aghrapur, gdzie otrzymałbym najlepszą cenę. Wygląda na to, że krucho u was z załogą, mógłbym więc zapłacić za gościnę pracą przy wiosle, a w razie napadu korsarzy mój miecz jest na wasze usługi.

Szare oczy Tosco zwęziły się i nieprzyjemny grymas wykrzywił opaloną twarz.

— Ha! To prywatny statek handlowy, wynajęty przez stygijskiego kapłana. Twoja garść brązu i toporny miecz nie zabezpieczą ci przewozu, tak samo jak robota przy wiosle. Mamy szczupłe zapasy i nie możemy dzielić się z kimś takim!

Conan przygotował się na atak, choć wiedział, że taki szyderczy ton był zwyczajowym argossezańskim sposobem sprawdzania obcych.

— W tej garści — odrzekł wyjmując z podręcznego worka kawałek złota — ukrywa się złoty smok. — Cisnął ciężką monetę, którą Tosco zręcznie złapał. Obracał w palcach solidny złoty krążek, oglądał pokrywające go symbole: podobizna nemedyjskiego króla na jednej stronie, królewski herb na drugiej. Uśmiechając się pierwszy oficer wsunął monetę do kieszeni poplamionej kamizelki.

— Posadź swój tyłek na którejś z tych ławek. Zapytam kapitana, czy potrzebujemy jeszcze jednej pary rąk. Jeśli twój rozum jest taki wąty, jak twoje ramiona szerokie, może jakoś uda się zrobić z ciebie wiosłarza.

Conan z trudem opanował się, by nie wyrzucić tej argosseńskiej świni za burtę. Łypiąc spode łba, odwrócił się plecami do Tosco i ruszył, by zająć wolne stanowisko przy wiosłach. Tosco kiwnął na małego, łysiego Vendhyanina. Mężczyzna podniósł drewniany młotek i, krzyżując nogi, usiadł na rufie przy zniszczonym bębnie, w który zaczął uderzać, by nadać rytm wiosłowania.

Rozdrażniony przytykami pierwszego oficera, Conan poczuł, jak wzbiera w nim gniew, który był ożywczy dla jego znużonego ciała. Ten tłusty, morski kundel zobaczy, jak należy prowadzić łódź przy bezwietrznej pogodzie. Zapominając o wyczerpaniu, Cymmerianin zacisnął zęby i usiadł pośrodku, między ławkami na przedzie statku i chwycił wiosła w obie ręce.

Tosco nie śpieszył się, by niepokoić kapitana. Stał na tylnym pokładzie, jak wszechwładca i rzucał, głosem przypominającym ujadanie psa, rozkazy podwładnym. — Dalej jazda! Zginać karki, psy — do Stygii, zanim tutaj osiwieją nam brody!

Ledwie przerwał ujadanie, a Conan zaczynał już pracować rytmicznie. Przy końcu każdego pociągnięcia barbarzyńca pochylał się z wściekłością, niemal dotykając piersią pokładu, po czym wyprężał swe ciało przed kolejnym pociągnięciem. Muskuły grały pod jego opaloną skórą. Wkrótce bębniarz przyspieszył tempo, a wiosłarze mozolili się, by je utrzymać.

Wiosła sterczały po bokach statku, ich szerokie pióra równo zanurzały się w spokojne wody. Conan nie dbał o to, czy sam wytrzyma takie tempo. Wątpił, by musiał wysilać się

długo, nim Tosco przyjmie go do załogi. Poza tym, irytujący pierwszy oficer, ani nie zażądał broni Cymmerianina, ani nie zaatakował go dla zdobycia worka złota.

Stopniowo „Pani” nabierała prędkości, rozpędzana żywiołowym wiosłowaniem Conana i rozpaczliwymi staraniami ludzi za jego plecami. Cymmerianin odmierzał oddechy z wprawą — nieobce mu było twarde życie na morzu. Bywało, że wiele razy miał bat nadzorcy na grzbiecie strudzonym taką pracą, gdy był przykuty, kipiąc gniewem, do niewolniczej ławki. Wspomnienie o tym poruszyło go do głębi. Wiosłował coraz szybciej, aż jego dwa pociągnięcia przypadły na jedno uderzenie bębna.

Załoga wiosłarzy to byli krzepcy mężczyźni, lecz mogli wykrzesać z siebie jedynie połowę tego, co Conan. Gdy „Pani” ruszyła żwawiej naprzód, przyjemna bryza owionęła pokład. Zmierzali na południowy zachód wzdłuż pokrytego dzunglą wybrzeża Zembabwei. Dłonie Vendhyanina podającego rytm pracy zaczęły poruszać się szybciej, tak by dostosowano się do tempa, które nadał Conan. Uderzenia wiosła o wodę pokryły się z rytmem gorączkowego walenia w bęben. Stukanie drewna rozbrzmiewało za plecami Cymmerianina. Kątem oka dostrzegł padającego ze zmęczenia wiosłarza i zaraz jego wiosło upadło z hukiem wypuszczone przez omdlałego mężczyznę.

Tosco, który do tej pory milczał, nagle parsknął pod nosem i ścisząc głos przemówił po stygijsku do sternika. Nie tak cicho jednak, by słowa nie dotarły do uszu Conana.

— Ten bezczelny kundel nieźle wiosłuje. Dostaniemy za niego całkiem dobrą cenę na targu w Luxur!

W Conanie zawrzała krew, twarz z wściekłością nachmurzyła się, jak niebo przed burzą, oczy rozbłysły jak pochodnie. Oparłszy stopy o pokład, podniósł się. Ułamał wiosła przy dulkach i unióś dwa odłamane kawałki, jak włócznie, zwracając się do Tosco: —

Argosseański szczerze! Może skrzyżujesz swoją broń z tymi dwoma patykami — czy też dalej będziesz tylko ujadł jak pies, który nie potrafi w żaden sposób ugryźć!?

Rycząc, Argosseanin wyszarpnął zza pasa długie zakrzywione ostrze. Głośno tłukąc ciężkimi butami o drewniane deski skoczył na pokład, między ławki. Minał maszt w biegu i roztrącając załogę, ze zwierzęcą dzikością zamierzył się bułatem, mierząc w kark Conana. Cymmerianin czujnie acz swobodnie cofnął się, blokując śmiertelne uderzenie jednym z drzewców. Drugim uderzył z całych sił i skręcił Tosco kark, odwracając jego głowę w przeciwną stronę. Głośny trzask rozległ się pod tłustą warstwą ciała Argosseanina, gdy jego kręgosłup pękł jak zapalka. Drgając spazmatycznie zwalisty mężczyzna zatoczył się, jego głowa zachybotowała i przechyliła się tak, że prawe ucho znalazło się tuż nad lewym ramieniem. Przewrócił oczami i wycharczał ostatnie tchnienie. Runął jak długi, a wiosłarze, bębniarz i sternik stali zaskoczeni jak wryci.

— Ty tam — Conan wskazał na stygijskiego sternika — powiesz kapitanowi, że nowy pierwszy oficer zajmuje miejsce Tosco. Szybciej dociera się do celu, gdy statek prowadzi Conan z Cymmerii — powiedział i za chwilę pożałował swych nierozważnych słów, którymi zdradził, kim jest.

Nagle sternik ciężko sapiąc opuścił rumpel i wyciągnął zza wyćwiekowanego miedzią pasa wąski nóż. Conan odskoczył w bok, przeturlacie między ławkami w stronę masztu. Tam stanął częściowo osłonięty pojedynczą belką i wyciągnął miecz.

Dobrze wycelowany nóż Stygijszyka wbił się na kilka centymetrów w łydkę Cymmerianina. Conan pochylił się chcąc wyciągnąć tkwiące w jego ciele ostrze, ale jęknął i upadł na jedno kolano — nóż doszedł aż do kości. Miecz Conana z brzękiem upadł na pokład i leżał poza zasięgiem zranionego.

— Kapitanie! — wrzasnął rozgorączkowany Stygijszyk, tłukąc w klapę kabiny po pokładem. Barbarzyńca oparł się o maszt, przygotowany na starcie, w którym miał nikłe szansę. Pałał żądzą, by cisnąć nożem w sternika, ale to była jedyna broń, jaką jaszczce miał. Z nią mógł powalić któregoś członka załogi i zdobyć lepszą.

Oszołomieni wiosłarze nagle odzyskali siły i z werwą opuścili swe miejsca, by okrążyć Cymmerianina. Zaczęli okładać go pięściami i niemiłosiernie kopać, a on oddawał im uderzenia zamachując się stygijskim nożem na ślepo. Trzech zranionych cofnęło się, ale reszta przygniotła go przede wszystkim swą ilością i masą. Pięciu przytrzymało leżącego na pokładzie, dwaj inni wyszarpywali mu nóż.

Wówczas z kabiny wypadł kapitan, wyciągnął obosieczny sztylet zza cholewy buta i skierował się ku unieruchomionemu barbarzyńcy. Kapitan był Stygijszykiem, wyższym i bardziej smagłym niż większość ludzi tej rasy. Jego kark ochraniał wysoki, wygięty kołnierz skórzanej kurtki. Na głowie, czarne włosy miał podgolone i uformowane w trójkąt skierowany do przodu, z jednym bokiem dokładnie na przedłużeniu linii nosa. Na wyraźny rozkaz dowódcy wiosłarze cofnęli się i Conan dostrzegł, że na twarzy kapitana jest blizna

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

ciągnąca się od czoła aż po koniuszek ucha. Nabiegłe krwią oczy, kilkudniowy zarost, niestarannie zapięta i poplamiona winem kurtka — to wszystko świadczyło, że pewnie dopiero teraz się obudził po pijackiej nocy, inaczej słyszałby zapewne starcie Conana z Tosco.

Teraz wyglądało na to, że oprzytomniał już. Gdy Conan próbował dźwignąć się na jedno kolano, uniósł ciężki but i kopnął Cymmerianina w żołądek. Za drugim razem but trafił w szczękę, powodując upiorny ból w głowie rażonego Conana, który z trudem walczył, by nie utracić przytomności.

Kapitan zarechotał niskim i szyderczym śmiechem, który — przywołując Conanowi pamięć dawnych wydarzeń — ściał na łód krew w żyłach barbarzyńcy. Twarz była zmieniona — starsza i bardziej pokiereszowana — ale była to twarz stygijskiego admirała, którego spotkał wiele lat wcześniej. To właśnie Conan, w dawnych pirackich czasach, zrobił ohydną szramę na twarzy Kherteta.

To był bardzo brawurowy i błyskawiczny napad — zaskoczył wtedy Kherteta. Admirał zareagował zbyt późno i jego flota pozwoliła „Tygrysy” umknąć z bogatym łupem, kosztownościami przeznaczonymi dla skarbcza rodziny królewskiej. Jedyne okręt Kherteta zdołał doścignąć „Tygrysicę”, lecz zaciekle obrona piratów zmusiła admirała do odwrotu. Stygijski admirał upadł naprawdę nisko — od dowodzenia flotą okrętów wojennych, do dowodzenia nędznym vendhyańskim statkiem handlowym. W tej chwili na Conanie wyładowywał nienawiść, niewątpliwie wzbierającą przez te wszystkie lata. Cymmerianin próbował się podnieść, ale jego siły były na wyczerpaniu. Jedyne, co mógł, to leżeć na deskach i patrzeć, jak wioślarze krępują mu ręce i nogi ciężkimi powrozami. — Admirał Khertet — wysapał i zakończył szorstkim stygijskim przekleństwem.

— Conan — Khertet wymówił słowo powoli, jakby przeżuwał kęs gorzkiego jadu.

Dotknął swej zeszpeconej twarzy, po czym końcem sztyletu ukłuł barbarzyńcę za uchem. — Po tym, jak spaliłeś mój okręt flagowy, król mnie wygnał, i zakończyła się w ten sposób moja chlubna kariera w Stygii. Od tamtego dnia modliłem się do Seta, by mi dał okazję wyrównania rachunków. W końcu odpowiedział na moje prośby. — Khertet splunął Conanowi w twarz. — Twoja agonია napęłni moje serce rozkoszą...

Admirał wbił nóż głębiej i krew trysnęła z otwartej rany. Z radością i okrucieństwem, przekrwionymi oczami łpał na Conana. Stałą przejechał mu po twarzy, ucho znacząc pojedynczym, bolesnym cięciem.

IV

MORSKI KOSZMAR

Khertet patrzył na swoje krwawe dzieło. Conan rzucał mu nienawistne spojrzenia i bezsilny próbował poluzować krępujące go liny. Kapitan pociął jego twarz z obu stron, krew zalewała mu uszy i wypełniała usta. Cymmerianin usiłował przetrzymać tę ciężką próbę ze stoickim spokojem. Nie miał dość sił, by przeciwstawić się tym zabiegom, nie miał dość sił nawet na to, by skląć swego prześladowcę.

Stygijczyk zlizął krew z ostrza i plunął nią Conanowi w twarz. Podniósł worek ze złotem, zajrzał do środka i zaśmiał się cicho.

— To dziesiąta część tego, co dostanę od króla w Luxur. Twoje szczęście, że wyznaczył nagrodę dla tego, kto mu cię żywego przyprowadzi. Zabicie cię sprawiłoby mi niezmierną przyjemność, ale chcę odzyskać swe zaszczyty, a tylko dzięki tobie żywemu mogę odzyskać zaufanie króla. — W jego oczach pojawiły się błyski, a na wysmarowanej krwią twarzy uśmiech. — Dla mnie to dość, że będziesz zdychał godzinami, pożerany żywcem przez służbę Seta. Waż będzie trawił cię powoli, rozpuszczając jadem twe ciało. Będziesz skamlał i błagał o śmierć.

Khertet dotknął swojej blizny i pochylił się tak, że Conan poczuł jego kwaśny oddech.

— Śmierć nie przyniesie ci ukojenia. Twoja dusza zostanie wtrącona do piekła naszego strasznego boga, będzie skazana na wieczną agonię w niewymownych torturach.

Cymmerianin wściekał się na siebie samego, za swoją bezsilność. Zacisnął zęby i próbował nie myśleć o bólu, który przenikał jego głowę. Krople potu spływały mu po twarzy, zwilżając opadające włosy i rozpuszczając zakrzepłą krew. Jego niebieskie oczy płonęły złością, ale odnalazł w sobie odrobinę siły. — Stygijska hieno — wyrzucił chrapliwym głosem. — Twoje psy nie uratują cię, gdy spotkamy się w piekle. Wszystkie służusy Seta wysłane są tam za ich wstrętą wierność.

— Puste słowa, głupi dzikusie — odrzekł Khertet z wyrazem zadowolenia na twarzy.

— Za cztery miesiące, gdy dotrzemy do Luxur, będziesz błagał mnie o łaskę i prosił o

Moore Sean U - Conan i kłątwa szamana

przywilej lizania mych butów. Wy, Cymmerianie jesteście uparci i wytrzymali. Możecie przeżyć długą podróż przy odrobinie jadła i wody. Kiedy zaciągnę cię przed oblicze króla, będziesz żywy, ale złamany — będziesz kwilącym najmarniejszym i najnieszczęśliwszym strzępem człowieka. — Odwrócił się plecami do Cymmerianina i przemówił do białobrodego Vendhyanina. — Jhatil! Zmyj psią juchę z głowy tego podrzutka i opatrz rany. Ma cierpieć, ale nie może umrzeć — dzięki niemu wkrótce znów zostanę admirałem!

Stary Vendhyanin bez słowa zabrał się do roboty, polewając głębokie rany Cymmerianina słoną wodą. Rozogniona głowa paliła jakby wetknięta w kocioł pełen rozżarzonego węgla. Przewyciężył atak nieznośnego bólu, gdy pomarszczony staruszek przewiązywał mu brudnymi szmatami głębokie bruzdy na twarzy. Szorstki, sztywniejący materiał wgrzyzał się w jego ciało, ale nie przesłaniał mu oczu, ani go nie knebłował. Conan spojrzął na Kherteta, podchodzącego do dwu wioślarzy.

— Devwir i Matara, zabierzcie ten kawał ścierwa do ładowni i przy — więźcie do pusty klatki. Upewnijcie się, że użyliście najmocniejszych lin — ten Cymmerianin jest znacznie groźniejszy, niż mogłoby się zdawać. Widziałem go w walce. Krew spływała po nim, tryskając z niezliczonych ran, ale bił się jeszcze niczym tygrys zapędzony w pułapkę. Dawajcie mu dzbanek wody codziennie, ale racje jedzenia tylko co trzeci dzień. Staniecie na straży przy drzwiach. Ja osobiście będę was sprawdzał na każdej zmianie, i głowa tego, którego znajdzie śpiącego na warcie, ozdobi bukszpryt. Niech reszta zginając karki modli się o sprzyjające wiatry. Jeśli dopłyniemy do Luxur w trzy miesiące, każdy w nagrodę otrzyma podwójną wypłatę. Dołóżcie starań! — ryknął i pomaszerował z powrotem na tylny pokład. Dał znak małemu vendhyańskiemu bębniarzowi i wydał polecenia stygijskiemu sternikowi. Krzypcy wioślarze unieśli Conana z pokrwawionych desek i powlekli przez wąski pokład statku. Otworzyli nieduże, ale solidne drzwi do zapchanej ładowni. Zrzucając barbarzyńcę na twarde deski, opróżnili dużą, mocną klatkę pełną vendhyańskich dywanów, i upchnęli je w kilku niszach. Vendhyanie byli muskularni, ale by dźwignąć i postawić taką klatkę, potrzeba było dwóch. Jhatil towarzyszył im trzymając zwój liny, która była dwa razy grubsza niż kciuk Conana.

Vendhyanie obwiązali ciężką liną już skrupowane ciało wojownika i przymocowali go do klatki tak sprytnie, że więzy zaciskały się jeszcze bardziej, gdy Conan próbował się poruszyć. Gdy skończyli, ledwo mógł ruszać palcami. Twarz miał odwróconą dokładnie w kierunku wąskiego, zakratowanego otworu w dachu ładowni, skąd docierało skąpo światło i powietrze. Ze złośliwym i triumfującym grymasem na twarzy Khertet spoglądał przez kratę na Conana. Drwiący i szaleńczy śmiech Stygijszczyka odbijał się echem od ścian ładowni. Osłabiony stratą dużej ilości krwi, zamroczony nieustającym bólem Cymmerianin zapadł w głęboki sen.

Księżyc w pełni tkwił na nocnym niebie, jak olbrzymia mleczna perła, zalewając nikłym światłem gęstwinę drzew dżungli, gdzie blado połyskiwało wilgotne liściaste poszycie. Krople po niedawnym deszczu skrzyły się pośród ciemnego listowia.

Węch Conana, który zawsze był wrażliwy, tej nocy był chyba szczególnie wyostrzony. Jego nozdrza drżały, szukając śladu obecności zwierzyny pośród butwiejących roślin. Przemykał bezgłośnie między drzewami. Nie było ścieżki, która wiodłaby przez tę surową okolicę, lecz Conan skądś wiedział, którą iść. Wiele razy wcześniej tropił zwierzynę na jej terytorium. Dźwięki, zapachy, cienie prowadziły go do celu w kierunku zdobyczy. Ssanie w żołądku nie dawało mu spokoju. Łaknął surowego, ciepłego mięsa, świeżej krwi. W powietrzu unosiła się woń jakichś tłustych czworonogów. Przechodziły tędy ostatnio, zostawiając po sobie powoli ulatniający się zapach.

W jego głowie dokuczliwie szamotała się myśl, że coś jest nie w porządku. Nie był przecież prymitywnym drapieżką, który tropi zwierzynę po to, by rozrywać ją strzępy zębami i wysysać krew. Dziwne pragnienia wypełniały jego serce. Co robił w tej dżungli nagi, bez broni?

Ale te myśli szybko opuściły jego umysł i znów skupił się jedynie na polowaniu.

Zaschnięte gardło domagało się czerwonego, ożywczego płynu. Nie mógł doczekać się chwili, gdy jego zęby zagłębią się w żywym mięsie jakiegoś delikatnego zwierzęcia, gdy wyrwać będzie zębami jego wnętrzości. Nie zastanawiał się głębiej nad tymi swoimi bestialskimi żądzami. Jego życie było polowaniem... wszystkie stworzenia, ze swym życiem i strachem, należały do niego i jego nienasyconego, bydłego apetytu.

Rozkoszował się ich strachem, choć nic nie podniecało go bardziej, niż spotkania ze stworzeniami, które stawały do walki z nim, zamiast dygotać i skomleć na jego widok. Skradał się przez zarośla. Cuchnący oddech wydobywał się z jego otwartych ust, nozdrza drażnił stęchły odór przeszłych uczt. Oblizwał kąciki warg, delektując się mdłym posmakiem

Moore Sean U - Conan i kłątwa szamana

krwi odyńca, którego zabił i zeżarł w południe. Conan nocami zwykle sypiał, lecz tej nocy księżyc w pełni obudził w nim jakąś potężną żądzę, by jeść tak, aż brzuch nie będzie mógł znieść więcej. Nawet wówczas grasowałby jeszcze i mordował, tak długo, jak długo z nieba nie zniknęłaby ta nieszczęsna kościana tarcza księżycy.

Przed nim rozciągała się niewielka polana. Zapach żeru unosił się wyraźniej w powietrzu. Śliniąc się młasnawą językiem kilka razy, nastawił uszu i uważnie nasłuchiwał. Wyczuwał obecność stada dokładnie na wprost przed sobą. Mógłby rzucić się przez zarośla i zaskoczyć śpiące zwierzęta.

Mocno napinając mięśnie nóg, skoczył przez ścianę liści i łądyg. Wyciągnął przed siebie włochate ręce o czarnych pazurach, obnażył zakrzywione, żółte kły. Mimowolny ryk wyrwał się mu z gardła, gwałcąc ciszę dżungli. Spadł na jedno z zaspanych zwierząt, które ocknęło się zbyt późno, by mogło umknąć. Kły Conana rozerwały grubą skórę zwierzęcia w białoczarne pasy.

Krew trysnęła z rozszarpanego gardła zwierzęcia, jego kopyta drgały przez chwilę spazmatycznie, gdy zdychało. Reszta stada poderwała się błyskawicznie — tuzin błyskających w świetle księżycy wielkich, mrugających oczu. Zwierzęta w panice rzuciły się do ucieczki.

Conan wpadł w dziki szał. Krew zebry wypełniająca jego usta rozprysnęła się, gdy zawył wściekle i obłędnie tak, że całe stado zastygło nagle w przerażeniu. Zabił trzy następne zwierzęta, rozrywając kłami gardła kulących się, pobekujących rozpaczliwie stworzeń. Wtedy pozostałe zebry otrząsnęły się z szoku, w który wprowadził je krzyk Conana i rozpierzchły się w pośpiechu. Barbarzyńca rzucił się w pościg, przepełniony szaloną żądzą zabijania, przelania krwi wszystkiego, co nisza się i oddycha. Dziwnie warcząc i sapiąc dogonił część stada. Powalił ostatnie zwierzę. Rozrywając skórę zwierzęcia i wypruwając wnętrzności, odnalazł jeszcze bijące serce. Krew tryskała na wszystkie strony. Usta Conana pokryły się spienioną śliną. Wciąż zrywał płaty ociekającego krwią ciała zdychającego zwierzęcia i napychał sobie nimi usta.

Stworzenie trzęsło się konwulsyjnie, traciło kawałek po kawałku swoje ciało, a Conan połykał mięso bez przeżuwania, w żarłocznej orgii diabelskiej ucztę. Uniósł wysmarowaną krwią twarz ku niebu i spojrzął na księżyc. Księżyc spoglądał z góry i niespodziewanie przemienił się w pomarszczoną, wytatuowaną twarz kaklańskiego szamana. Usta wykrzywione w drwiącym uśmiechu otworzyły się i w mroku ciszy wydobył j się z nich pusty, demoniczny śmiech.

Conan obudził się z krzykiem, odruchowo próbując sięgnąć po miecz. Pot lał się strumieniami z każdego pora jego skóry. Przypominał sobie każdy szczegół koszmaru, z precyzją, która sprawiła, że włosy na głowie zjeżyły mu się z przerażenia. Ciało miał mokre nie tylko od potu — grube liny wrzynały mu się głęboko w skórę, gdy we śnie rzucał się i szarpał, spod powrozów sączyła się świeża krew. Rwące fale bólu napływały z ran na twarzy. Nie mógł podnieść ręki, by dotknąć głowy. Nogę miał obrzmiałą w miejscu, gdzie ranil ją sztylet sternika. Conan leżał w drewnianej klatce zaciskając pięści w bezsilnym gniewie. Wpatrywał się w sufit ładowni.

Wciąż była noc — widział ciemne niebo przez metalową kratę nad głową. Łagodne, kołyszące ruchy statku w żaden sposób nie uspokajały go. Krew w nim burzyła się, przepełniła go niewypowiedziana złość. Całą energię skierował, by próbować zerwać pęta, ale nawet siła dziesięciu mocnych mężczyzn nie wystarczyłaby do ich, zerwania. Conan rozluźnił mięśnie i jęknął wypuszczając powietrze. Krew mocniej zaczęła płynąć z ran na twarzy i ran spowodowanych wgryzającymi się linami. Zacisnął zęby i patrzył na otwór w suficie,; Sen nie dawał mu żadnej ulgi, przynosił co noc te dziwne koszmary, nawiedzające go od nocy po bitwie na plaży.

Nocy czerwonej mgły.

Umierający szaman musiał przywołać jakiegoś demona, by nawiedzał Conana we śnie. Możliwe, że po to, by doprowadzić Cymmerianina do szaleństwa. Krocie różnych, nie dających spokoju opowieści kołatało się w jego pamięci, historie pomordowanych, których duchy powracają, by szukać zemsty. Zimny dreszcz wstrząsnął Conanem. Jego głęboko zakorzeniony lęk przed magią i wszystkim tym, co ponadnaturalne, podsuwał mu raczej mroczne myśli, gdy leżał w tej dziwacznej celi.

Nagle gwałtownie zatrzymał oddech. Przez zakratowane okienko wpadło rażące oczy światło. Nie mogąc zamknąć swych obrzmiałych powiek, zmuszony był wpatrywać się prosto w księżyc. Kształt księżycy wskazywał na to, że już wkrótce będzie pełnia. Rzeź ze snu nagle stanęła mu przed oczami. Zastanawiał

Moore Sean U - Conan i kłątwa szamana

się, jaki ohydny los zwiastuje mu księżyc, co przyniesie pełnia.

Conan z trudem odwrócił głowę w bok, nie chcąc pozwolić złowróżbnym znakom, by odebrały mu całkiem odwagę i nadzieję! Gdyby tylko mógł odzyskać broń, dałby temu stygijskiemu psu, Keheretowi, ostrą lekcję sztuki zemsty.

Próbował wsłuchać się w otaczające go dźwięki i szmer głosów dochodzących przez zakratowane okienko. Szmaty owinięte wokół jego głowy i strupy krwi tłumiły prawie wszystko, ale słyszał skrzypienie belek statku i łagodny plusk fal. Warta na pokładzie składała się przypuszczalnie z dwóch ludzi — słyszał dwa odróżniające się głosy, choć nie mógł zrozumieć wypowiedzianych słów. Zza drzwi ładowni dochodziły go dźwięki przypominające chrapanie — strażnik za drzwiami najwidoczniej zapadł w sen.

Conan myślał o ucieczce. To co czekało go tutaj było raczej mało obiecujące.

Khertet z pewnością nie miał zamiaru rozluźnić krępujących Conana lin. Conan mógłby tak leżeć uwięziony przez wiele miesięcy, tracąc zdrowie. Cymmerianin znał granicę swojej wytrzymałości — przy tak skąpo racjonowanej żywności i jednym dzbanku wody dziennie jego siła ulotni się w ciągu tygodnia. W przeszłości często — podczas żmudnych podróży przez pustynie czy na innych ciężkich szlakach — wytrzymywał więcej czasu bez jedzenia i odpowiedniej ilości wody, ale teraz czuł, że utrata krwi znacznie nadważyła jego zdrowie. Stygijski eks-admirał chciał żywego Conana dostarczyć plugawym czcicielom Seta w Luxur. Crom jeden wie, co czekałoby Cymmerianina w tym przeklętym mieście, w norze węży, a teraz miał się osobiście przekonać o tym wkrótce. Poważnie osłabiony przez brak ruchu i jedzenia naprawdę zostałby na łasce i niełasce Kherteta. Wyrzucał sobie, że podjął złą decyzję co do ucieczki przed Bajkarisami, co wpłatało go w rozgrywkę pomiędzy Kaklanisami i Zaririsami. Służba u kogoś, kto prowadzi wojnę była lukratywnym zajęciem, ale najęcie się po złej stronie czy u złego zleceniodawcy przynosiło często fatalne skutki. Tak się stało w przypadku ludzi Conana. Cymmerianin nie powinien był przyjąć oferty szejka dla takiego zysku. W przyszłości — jeśli czeka go jakaś przyszłość poza tym miejscem — z pewnością lepiej będzie rozważyć relację pomiędzy ryzykiem a wielkością zapłaty za usługi. Ostatnie przygody przyniosły mu małe profity. Zbyt często po stoczonych bitwach miał więcej ran na ciele niż monet w sakwie.

Nieznacznie ale zauważalnie przejaśniło się, wyglądało na to, że zbliża się świt. Conan usłyszał blisko swojej głowy jakieś chrobotanie. Dźwignął nieco kark, by zobaczyć, co to jest i poczuł nowe, ostre wzmożenie bólu biegnącego od lewego ucha. Odwrócił się i dostrzegł długi różowy ogon należący do tłustego, szarego szczura — W jego zębach tkwił kawałek ucha Conana, a na pysku miał rozmazaną ludzką krew. Ciało szczura pokrywały ohydne wrzody i jego wygląd przyprawiał barbarzyńcę o mdłości. Małe, nerwowo łypiące ślepia wpatrywały się tępo w twarz Conana, gdy szczur chrupał bezczelnie swój e wczesne śniadanie.

Conan ryknął z całej siły. Olbrzymi, odpychający gryzoń zlekceważył to. Rozwścieczony tą zuchwałością Conan wyszczerzył zęby i szarpnął się w kierunku długiego ogona. Chwyć go zębami i zakręcić głową, tłukąc zaskoczonym szczurem o twarde listwy klatki. Zwierzę walczyło, próbując drapać Conana po twarzy, rzucało się z zębami ku jego ranom. Conan zacisnął szczęki silniej, prawie odgryzając ogon gryzonia. Po kilku następnych uderzeniach zwierzę przestało się szamotać i upadło bezwładnie. I w tym momencie Conan przestał martwić się swym uwięzieniem i złośliwą szamańską kłątwą. Był skrepowany i poraniony, ale nie był jeszcze pokonany. Choć w istocie niewielkie, jego zwycięstwo nad gryzoniem podniosło go na duchu. Cokolwiek było mu przeznaczone, mógł zmierzyć się z tym, a nawet pokonać, dzięki darom, jakie od Cromy otrzymywali wszyscy Cymmerianie — żelaznej woli i mocy w walce, walce do końca. Uśmiechając się blado, Conan wypluł kawałek szczurzego ogona i wyrzucił przez otwór w suficie. Porządkował swoje myśli, żeby ułożyć plan ucieczki, a promienie porannego słońca wdarły się do wnętrza zatłoczonej ładowni, napełniając ją ciepłym, złotym światłem.

Conan, choć nie mógł wiedzieć na pewno, podejrzewał, że jest około południa. Nie widział wprawdzie słonecznej kuli, ale mógł ją przesłaniać żagiel statku. Delikatna bryza sączyła się z góry przez otwór w dachu. Musiał dmuchać wiatr wystarczająco silny, by wypełniać żagiel. Conan słyszał Kherteta wykrzykującego polecenia załodze. Sącząc po odgłosach wiatru i fal, statek musiał szybko posuwać się naprzód. Przyjemne podmuchy ciepłego powietrza docierały do wnętrza ładowni, przepędzając zaduch, na który składał się smród szczurzych odchodów, ścieków okrętowych i stęchlizny. Drzwi do ładowni pozostawały zamknięte aż do chwili, gdy długo po postawieniu żagla trzech uzbrojonych mężczyzn wkroczyło przynosząc strawę i wodę.

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

Cymmerianin pochłonał wszystko, co mu przynieśli — kilka żalonych łyków wody i kęsów nieświeżego jada — i nie spodziewał się otrzymać więcej. Jhatil usunął stare, zeszywniałe i brudne opatrunki, a na ich miejsce nałożył świeże szmaty. Wylał zaschniętą krew Cymmerianina i zabrał zdechłego szczura, patrząc na wojownika z zaciekawieniem. Pokręcił głową i wyszedł bez słowa.

Chwilę potem, przez zakratowane okienko do ładowni zajrzał Khertet i rzucił w dół kilka obelg pod adresem zbolatego Cymmerianina, który zresztą odpłacił mu tym samym. Niewiele więcej wydarzyło się w obrębie tego pomieszczenia, aż do późnego popołudnia.

Conan rozpoznał głosy sternika i Kherteta, więc maksymalnie skoncentrował się, by podsłuchać ich rozmowę. Jakby wychodząc naprzeciw jego oczekiwaniom, podnieśli głos. Najwyraźniej kłócili się.

— Ja dowodzę tym statkiem, Chadimie. Śmiesz kwestionować moje polecenie zmiany kursu? — Obrażliwy ton głosu niewątpliwie należał do Kherteta.

— O nie, szlachetny panie, rozumiem twój pośpiech, a kurs, który nakazałeś wziąć, zapewne zaoszczędzi nam wielu tygodni podróży. Ale większość marynarzy unika teraz tego szlaku. — Chadim bronił swego stanowiska, drżenie w jego głosie zdradzało podenerwowanie.

— Ja nie należę do tej hołoty. Nie obawiam się przesądów. Słyszałem to i owo, ale jedynie spici głupcy rozsiewają te łągarstwa, by dostać darmowe piwo i na użytek takich półgłówków, jak ty. Spędzasz zbyt wiele czasu w tanich, nabrzeżnych tawernach. Ha! Słyszałem już tysiące podobnych historyjek — robią wrażenie jedynie na wymoczkach i tchórzach.

Chadim zawahał się, zanim odpowiedział. — Oczywiście, masz rację, admirale.

— No dobra, dosyć tego — pilnuj swego steru i kręć nim, jak trzeba. Powinniśmy minąć Sidła Nehebku przed nastaniem jutrzejszego dnia.

Stukanie obcasów Kherteta o deski oznajmiało, że odszedł. Chadim zamienił kilka słów z załogą, ale tego już Conan nie słyszał dokładnie. Leżał na niewygodnej drewnianej klatce, myśląc o „Sidłach”, o których wspomniał Khertet. W przeciwieństwie do Kherteta, Conan skłonny był dać wiarę większości marynarskich opowieści o niebezpieczeństwach. W wielu było więcej elementów prawdy niż fałszu. Opowieści, którym rzadko dawał wiarę, to opowieści o skarbach ukrytych w jakichś tajemniczych miejscach.

Gdy tak leżał zamyślony, światło zachodzącego słońca zaczęło powoli opuszczać wnętrze ładowni. Conan próbował pozostać czujny, ale powoli zapadał w drzemkę. Nieustające uporczywe rwanie w tydzie i na całej twarzy wyczerpało go. Głowa opadła mu na listwy klatki, ociężałe powieki szybko zamknęły się same. Chwilę później chrapał głośno zbyt udręczony, by kłopotać się myślą o „Sidłach” Cherteta czy nawet o swych dzikich koszmarach.

Gdy się zbudził, w ładowni było tak ciemno, jak w stygijskim grobowcu. Spojrzał na okienko wytrzeszczając oczy, ale widział jedynie atramentową czerń zachmurzonego nocnego nieba. Na pokładzie na górze rozlegały się uderzenia butów o twarde deski. Nocna straż wytrwale krążyła tam i z powrotem. Conan czuł okrutny ból głowy, nie potrafił skupić się na niczym. Ból zdawał się obejmować całe jego ciało. Drżał pomimo że było gorąco i duszno wewnątrz pomieszczenia. Ciężkie krople potu spływały mu po czole, zwilżając szmaty owinięte wokół jego głowy, i wgrzając się w rany. Rozpoznawał u siebie oznaki gorączki i podejrzywał, że trawiła go przez cały czas, gdy spał. Przynajmniej, jak dotąd, nie niepokoiły go już żadne szczury.

Ciepły wiatr poprzez otwór w dachu wnosił nieco świeżego powietrza, ale niewiele łagodziło to gorączkę. „Pani” wciąż posuwała się naprzód. Świadczył o tym plusk fal i skrzypienie belek. Trudno się dziwić, że Khertet nakazał zmianę kursu. Jako były admirał, posiadał sporo wiedzy na temat wiatrów i prądów morskich w pobliżu rodzinnej Stygii. Znajome dźwięki dochodziły zza drzwi ładowni. Conan bardzo dobrze wiedział, jak brzmi stal pocierana o brus. Wartownik ostrzył swoją broń, co było dość dobrym sposobem uniknięcia drzemki podczas dłużących się chwil jednostajnej, obowiązkowej służby. Conan westchnął, i zacisnął zęby, próbując na próżno odsunąć od siebie coraz bardziej nasilający się ból głowy.

Niespodziewanie blade światło rozlało się po wnętrzu ładowni, skłaniając Conana do tego, by spojrzeć w górę. Niczym ciężkie, grube zasłony gęste chmury rozstąpiły się, odsłaniając księżyc w pełni. Jego mętna poświata, bardziej ziemistożółta niż srebrnobiała, przyciągała wzrok Cymmerianina, przenikając jego umysł i paraliżując myślenie. Ze spojrzeniem odległym i nieobecny jak spojrzenie nieuleczalnego marzyciela, Conan wpatrywał się zafascynowany, jak księżyc stopniowo rośnie i wypełnia całą przestrzeń, niczym jakiś okrągły

olbrzym.

Głośny szum wiatru wypełnił jego obolałe uszy, ale barbarzyńca nie czuł na swym ciele smagania powietrza. Jęknąwszy lekko zamknął oczy, lecz obraz jasnej kuli niezatarte tkwił przed oczami. Ręce zaczęły mu się trząść, gwałtowny dreszcz przeszył całe ciało. Wijąc się i wyprężając, jak mu na to pozwalały liny, Conan dźwignął głowę z desek i spojrzął na swoje skrępowane kończyny pewien, że trawi go dzika gorączka.

Ciężkie powrozy zdawały się jeszcze mocniej zaciskać wokół niego, wpijały się w skórę, aż krew trysnęła na nowo z wielu podrażnionych ran. Targnął nim następny dreszcz i skóra zaczęła świerzbic go, jakby tysiące mrówek nagle znalazło się na nim. W bladym świetle księżycy obserwował w przeraźliwym otępieniu jak z jego zlanego potem ciała zaczynają wyrastać gęste, białe włosy. Pojawiały się błyskawicznie, wijąc się, kręcąc, drażniąc skórę. Conan szarpnął się ponownie, ale mocne liny zatopiły się głęboko w jego torsie, ramionach i nogach. Wówczas wstrząsnęła nim okropna świadomość — jego ciało było jakieś obrzmiałe, kończyny zdeformowane i rozrośnięte — całkowicie przemienione.

Nozdrza drżały mu mimowolnie, łowiąc zapach jego własnego potu. Wychwytywał jeszcze setki innych zapachów wokół siebie, z ładowni czy napływających z góry, z pokładu, przez otwór w suficie. Zapach żeru. Conan zadrżał.

Ręce, które był w stanie zginać jedynie w nadgarstkach, zdawały się płonać jak namoczone w oleju i podpalone. Były przywiązane do bioder i czuł i... słyszał, jak jego palce rosną, wydłużają się i grubieją, jak trzeszczą jego kości, stawy i więzadła. Jego stopy wykrzywiały się i rosły, podobnie jak ręce o białych, owłosionych przegubach z długimi palcami.

Cymmerianin otworzył usta, by krzyknąć, ale wszystko co potrafił z siebie wydobyć to jakiś przerażający bełkot. Czuł intensywny ucisk na nos i czoło, jakby jego głowa rozrastała się i powodowała zaciskanie się szmat. Przeciągnął językiem po nienaturalnie ostrych zębach, jego szczeka wysunęła się do przodu, żuchwa sterczała wyciągnięta pod napiętą skórą twarzy. Nagły spazm bólu zatrzymał mu oddech. Wygiął plecy w łuk i wyprężył potężniejszą, niż do tej pory, pierś. Niewidzialne dłonie chwyciły jego żebra wyginając je w drugą stronę w nieopisaną mękę. Conan czuł, że tego nie wytrzyma, z gardła wyrwał mu się okrzyk cierpienia. Jego głos przypominał głos bardziej zwierzęcy niż ludzki.

Prężąc się naparł swymi owłosionymi członkami na krępujące go więzy. Stęknął, napiął mięśnie jeszcze bardziej i drewno klatki trzasnęło pod nim. Cymmerianin wyczołgał się spod lin i przeturlał na podłogę ładowni. Czując, że krew znów zaczyna krążyć w jego zdeformowanych, kudłatych kończynach.

Ścisnął głowę dłońmi, podnosząc wzrok ku łypiącemu dziko, żółtawemu księżycowi. Zaryczał jak zwierzę.

Teraz jego pamięć nie sięgała daleko — starał się rozgrzebać jej mroczne pokłady, by przypomnieć sobie, gdzie wcześniej słyszał taki niski, okrutny wrzask. Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć! Jego umysł nie był mu posłuszny, Conan walczył rozpaczliwie, by odzyskać władzę nad nim, by uświadomić sobie, kim jest. Walnął potężnymi pięściami w solidną, drewnianą klatkę obok, zamieniając ją w stos patyków.

W końcu pojął, gdzie i kiedy słyszał ten głos. Wiele lat wcześniej w parnych, dziewiczych dżunglach Czarnych Królestw napotkał stworzenie, które wydawało z siebie takie same dźwięki... ohydna szara małpa. Mięsożerne paskudztwo rozerwało na strzępy pół tuzina zaprawionych w walce wojowników Bamula, zanim Conan i reszta bamulskich myśliwych zdołała ją powalić. Małpa, najeżona włóczniami, wykrwawiając się zraniła jeszcze trzech ludzi, zanim padła martwa.

Conan poczuł, że pamięć go opuszcza, rozplywa się, jak woda pierzchająca z dłoni pomiędzy palcami, aż jakiegokolwiek wspomnienia przestały dla niego istnieć...Wszystko, co stanowiło jego człowieczeństwo, zniknęło z jego kurczącego się, dziczejącego umysłu. Pozostała surowa, nieugięta furia. Pragnął zabijać, chciał zatopić swe pazury i kły w miękkim ciele, szarpać i rozrywać wszystko, co żyje, miażdżyć kości i wysysać szpik z ich poszarpanych końców.

Nie czuł już bólu ran na głowie czy bólu przebitej nogi. Jego nozdrza łowiły słodką woń ciepłej krwi w pobliżu. Zmysły miał tak wyostrzone, że przez grube drewno drzwi do ładowni słyszał bicie ludzkiego serca.

Żer!

Natarł na przeszkodę oddzielającą go od ofiary. Tęgim ramieniem uderzył w drzwi, roztrzaskując mocno zwarte deski, wyginając żelazne gwoździe. Drzwi wyrwane z zawiasów trafiły zaskoczonego strażnika i rozgniotły go o ścianę jak pluskwę. Conan odrzucił na bok szczątki drewna, zacisnął palce na karku oszołomionego wartownika i uniósł go w powietrze. Chwył był tak mocny, że ciśnienie wyparło oczy strażnika z oczodołów. Conan niedbale

rozerwał jego korpus na dwie krwawe połowy. Odrzucił głowę i tors, i zaczął łakomie pożerać miękkie wnętrzności człowieka.

Gdy tak ucztował, na górze krzyki mieszały się ze szczękiem wyciąganej broni i tupotem obutych nóg. Ludzie biegli w kierunku ładowni. Instynkt zwierzęcy Conana pozwolił mu szybko rozpoznać hałas. Porzucił wypatroszone zwłoki i skoczył w stronę, z której dobiegały dźwięki, wiedząc, że napotka tam więcej tych wątych stworzeń o różowej skórze. Pragnął zabić je wszystkie i rozkruszyć ich kości w swych zębach.

Zatrzymał się przy schodach prowadzących na pokład. Zginając nogi naprężył mięśnie nienaturalnie grubych tydek. Zanim marynarze dotarli do końca schodów, Conan wyskoczył w górę, lądując na pokładzie tak ciężko, że deski zaskrzypiały pod jego masą.

Blade światło ugodziło jego oczy, przeszywając umysł niczym płonąca włócznia. Zerknął na granatowe niebo i dostrzegł od razu źródło srebrnego ognia — księżyc. Wiedział, że płomienie dziwnego bólu może ugasić jedynie krwią tych mizernych stworzeń, które się do niego zbliżały. Było ich wiele, w sam raz, by zatopić tę złowrogą, lśniąca kulę, wiszącą na niebie w rzece krwi.

Pięciu ludzi potrząsając mieczami otoczyło Cymmerianina. Ich mięśnie, wyrobione przez lata ciężkiej pracy przy wioślach, były mocne. Vendhyanie nie wykorzystywali do tej roboty niewolników — zatrudniali jedynie oddanych, silnych ludzi, którzy posiadali umiejętność walki wręcz. Umiejętność, która często kończyła karierę niejednego pirata. Ale nawet twardzi, zahartowani wioślarze zadrżeli na widok olbrzymiej małpy, która stała przed nimi ociekając krwią i łypiąc na nich z góry. Tylko przewaga liczebna dodawała im odwagi. Uderzyli równocześnie. Ich szable przecięły pustą przestrzeń. Conan ze zwinnością kota odskoczył w tył zaskakując całkowicie swych napastników. Długość jego przemienionych rąk przekraczała długość ich broni. Chwycił najbliższego wioślarza za rękę trzymającą szablę. Wyrwał ją ze stawu i razem z szablą wyrzucił do morza. Pozbawiony kończyny mężczyzna upadł pod nogi Conana, chwytając się za otwartą ranę i wrzeszcząc jak dusza potępieńca w ogniach piekielnych.

Wszyscy pozostali zbledli, zaszokowani okrucieństwem ataku małpy. Jednak ruszyli naprzód, próbując zapędzić swego przeciwnika na wąski dziób okrętu. Conan zacisnął swe pazury na nogach wioślarza stojącego najbliżej, uniósł skamlącego człowieka i machnął nim w pozostałych, zanim zdążyli oni uchylić szable.

Ostrza zagłębiły się w żywej tarczy, którą trzymał Conan, a siła, z jaką machnął ciałem ich towarzysza, powaliła dwóch następnych na ziemię, pozostałym wytrącając broń z ręki. Barbarzyńca rycząc, rąbnął w najbliższego człowieka bezsilnym, krwawiącym ciałem i natychmiast zaatakował dwu następnych nieuzbrojonych członków załogi.

Nadchodzili inni wioślarze tłocząc się przy forkasztelu. Za nimi z hukiem otworzył się właz do kwatery oficerskiej. Conan rozpoznałby ludzi, którzy stamtąd wyskoczyli — Jhatila, Chadima i Kherteta — gdyby byli dla niego czymś więcej, niż tylko posiłkiem. Khertet wykrzykiwał rozkazy, ale wszystko co słyszał Conan, to zbitka dźwięków, dziwne gardłowanie, mające dla niego takie znaczenie, co ptasi świergot czy ujadanie małp. Pozbawieni broni wioślarze próbowali ją odzyskać. Conan rozszarpał jednego, zanim tamten zdołał cokolwiek przedsięwziąć, by odzyskać szablę. Innemu udało się dźgnąć stałą bok Conana, ale już po chwili znalazł się w śmiertelnym małym uścisku z rękami brutalnie oderwanymi od korpusu. Na deski upadły poszarpane, tryskające krwią kikuty.

Pierwszy rząd wioślarzy przysunął się krok do przodu. Ludzie blokowali pokład od prawej do lewej burty. Chcieli pomścić swych kolegów i usiłovali pokonać swój strach pomimo szoku. Posłuszni komendom Kherteta starali się trzymać szyk i czekać na możliwość ataku. Ludzie usiłovali podejść do walki podstępem. Próbowali zranić młójące jak cepy ręce Conana. Ale znów sprytna małpa użyła do walki ciał poległych. Tym razem jak krwawych pocisków.

Zbyt wąski pokład nie pozwalał walczącym uniknąć gradu poodrywanych kończyn i poszarpanych torsów, którymi miotał barbarzyńca. Z tyłu, stojąc w bezpiecznej odległości, Chadim ciskał w kierunku włochatego niszczyciela swoje noże. Po każdym rzucie kolejna krótka rękojeść sterczała z ciała małpy, ale bestia nawet się nie zachwiała. Noże były dla niej jak stalowe żądła, które mogą wbić się w skórę, ale nie są w stanie naruszyć wnętrzności. Kilku mężczyzn poślizgnęło się i osunęło w kałuże upiornego krwawego błota, które powstawało ze zmasakrowanych ciał. Conan spadł na nich z góry miażdżąc kości, ciskając fragmentami zabijanych w jakimś obłądnym szale. Odważna grupa otoczyła zakrwawioną małpę, usiłując pociąć jej ciało grube, jak kilka warstw wyprawionej zwierzęcej skóry. Kilka ciosów wytoczyło nawet z bestii nieco krwi, która leniwie wyciekała z głębokich ran. Te ciosy tylko rozjuszyły małpę. Ogarnęło ją szaleństwo i zdwojona chęć mordowania.

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

Ruszyła w szale na szeregi ludzi, nie bacząc na ich razy, gryząc i odrywając wielkie strzępy mięsa z ich nieosłoniętych zbrojami ciał, podryzując gardła okrutnymi smagnięciami pazurów. Zmagając się przez chwilę z tą niepowstrzymywalną drapieżnością szponów i zębów, w końcu załoga zaczęła się wycofywać. Ze wszystkich ludzi, którzy wyszli walczyć z małpą, jedynie trzech oficerowie i pięciu wiosłarzy zostało przy życiu. Khertet rzucał na przemian rozkazy i obelgi, rozpaczliwie próbując zebrać swych pierzchających ludzi.

V SIDŁA NEHEBKU

Kilku ocalałych członków załogi przecięło liny przytrzymujące jedyną szalupę ratunkową „Pani”. Wskoczyli do łodzi, jak tylko znalazła się w wodzie i zaczęli wiosłować jak opętani. Stygijski kapitan zdążył zerknąć okiem na wielką, rozjuszoną małpę, po czym zlorzecząc, rzucił się do drzwi kwatery oficerskiej. Tuż za nim wpadli Chadim i Jhatil. Ledwo zdołali się zaryglować, gdy Conan dopadł masywnych, drewnianych drzwi.

Były znacznie solidniejsze, niż drzwi do ładowni. Zostały zbudowane tak, by zabezpieczać przewóz cennych ładunków i oficerów — w razie napaści piratów. W szalonym pośpiechu, powodowani strachem, mężczyźni przetaszczyli pod drzwi wszystkie ciężkie przedmioty, by się zabarykadować. Zwalili na kupę beczki i kufry różnego rodzaju i podparli to wszystko kilkoma zapasowymi wiosłami. Kawałki drewna połączyli długimi gwoździami. Vendhyański zwyczaj magazynowania narzędzi w pomieszczeniu dla oficerów okazał się być niezwykle pożyteczną praktyką, choć żaden marynarz na pewno nie mógł przewidzieć takiego, jak to, niezwykle zagrożenia. Rycząc wściekle, niczym najpotężniejsza nawałnica, Conan atakował drzwi. Drewno wprawdzie trzeszczało, ale wzmocnione zawiasy trzymały mocno i drzwi wytrzymały straszliwy napór i uderzenia małpich pięści. Drzwi zaprojektowano w takim miejscu, by uniemożliwić atakowanie z rozpędu i Conan nie mógł po prostu rzucić się na nie, jak na tamte w ładowni.

Conan—małpa wycofał się. Czuł zapach martwych ludzi, leżących wszędzie na pokładzie i oblizując się odwrócił od drewnianej przeszkody.

Zaczął wyładowywać swą wściekłość na zmasakrowanych zwłokach. Księżyc migotał już nad samą powierzchnią wody, jakby nie chciał być dłużej świadkiem tych scen. W bladej poświacie małpa obżerała się wnętrznościami swych ofiar.

Bestia w końcu nasyciła swój żołądek i poczłapała po deskach w kierunku masztu. Stała przy maszcie i głośno czknęła, po czym odwróciła wzrok w stronę księżyca, czując znów jego dziwną moc. Księżyc opadał powoli znikając pod wodą i wyglądało to tak, jakby ocean go połykał. Światło zaczęło blednąć. Conan mlasnął, westchnął i osunął się na deski. Kiedy ostatni kawałek księżyca zatonął w morzu, jego powieki były już zamknięte. Czerwone morze krwi ugasiło nieznośny płomień, którym natchnął go srebrny władca nocnego nieba. Conan spuścił ciężącą mu głowę i oparł brodę o potężną pierś. Natychmiast pochłonał go sen.

W kwaterze oficerskiej Khertet bez wytchnienia chodził tam i z powrotem. Usta miał zaciśnięte w beznadziejnej złości. Chadim otarł wilgotne czoło rękawem tuniki. W pomieszczeniu dla oficerów panowała parna, gorąca noc, powietrze było stęchłe i ciężkie. — Z której z siedmiu otchłani Sebequ wypełzną ten kudłaty potwór? Na Asurę, nigdy nie widziałem jeszcze stworzenia tak spragnionego krwi!

Khertet zignorował uwagę vendhyańskiego sternika, podniósł głowę, by spojrzeć na barykadę przy drzwiach. Nie odezwał się nawet jednym słowem od chwili, gdy ustało walenie w drzwi.

Jhatil westchnął głośno, przejechał dłonią po karku i podrapał się w brodę. — Tak — rzekł do Chadima. — Z całą pewnością to demon, lecz straszliwszy niż jakikolwiek, który zrodzony został we wstrętnych grobowcach Sebequ. Miałeś rację, Chadimie, nie powinniśmy byli brać kursu przez te wody. Wpadliśmy w Sidła Nehebku!

— Milcz, stary głupcze! — przerwał im Khertet. — Wychowani w mieście Vendhyanie chyba nigdy nie widzieliście małp z dżungli Zembabwei, choć nigdy nie spotkałem tak złośliwej. Ta małpa nie jest na usługach Nehebku — to jakieś dziwne, straszne wcielenie Conana. Powinienem być poderżnąć gardło temu wieprzowi, gdy miałem okazję.

Oczy Chadima rozbłysły. — To niemądrze lekceważyć Nehebku, Stygijczyku. Kiedy ostatni raz zebrała swoje krwawe żniwo, Jhatila dziadek był jedynie wyrostkiem. Nasi uczeni twierdzą, że budzi się ona co trzy pokolenia i poluje na stworzenia żyjące w głębinach. Czasem wypływa też na powierzchnię oceanu, by schwytać nierozważnych podróżnych. W

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

trakcie długiego i okrutnego panowania, w wodach tego regionu, Nehebku przybierała przeróżne postaci. Ten owłosiony potwór z pewnością jest jej kolejnym wcieleniem. — A krew — dodał Jhatil, potakując. — Ta mała zostawiła za sobą drogę usianą trupami tak, że najgorsza morska bestia nie potrafiłaby jej dorównać. Chadim przygryzł dolną wargę. — Widzieliście księżyc w pełni tej nocy? To oznacza początek Miesiąca Ryb, środek Roku Węża. Gwiazda Yamy znajduje się w Domu Abwharima.

Khertet uciął gwałtownie ten wywód. — Tylko głupcy i szaleńcy pozwalają, by ich życiem kierowały gwiazdy. Nie wiem, jakim sposobem, ale Cymmerianin raz jeszcze wymordował moją załogę i opanował statek. Na kły Seta! Chciałbym, żeby ta wasza Nehebku istniała naprawdę, gdyby tylko mogła przybyć i zabić tego barbarzyńcę. Pewnie ten knur stoi teraz na górze za sterem i zaśmiewa się, kierując „Panią” do jakiejś ukrytej pirackiej przystani. Zapadło ponure milczenie. Patrzyli strapieni na ściany własnoręcznie wykonanego więzienia, gdy nagle Khertet zmarszczył brwi, a Chadim przechylił głowę lekko na bok, jak gdyby starali się złowić jakiś odległy dźwięk.

Jhatil stając chwiejnie na beczce, przyłożył ucho do sufitu pomieszczenia.

Okręt przechylił się gwałtownie, jak pod uderzeniem jakiejś ogromnej pięści. Jhatil zamachał rękami w powietrzu i spadł na deski. Ledwo umknął spod przewracającej się beczki. Khertet stał mocno na nogach i z niedowierzaniem obserwował, jak statek dygocze i zaczyna przechylać się na jedną burtę, jakby się zderzył całą siłą z olbrzymią turańską galerią wojenną.

— Nehebku — wyszeptał Chadim. Oczy miał szeroko otwarte, usta; rozdziawione. Rzucił się na deski, głowę ukrywając w dłoniach. Szlochał w nieukrywanym przerażeniu.

Z głębokiego snu wyrwał Conana ogłuszający huk. Dźwigając się na nogi, usiłował otrząsnąć się z dziwnego odrętwienia, jakie pozostawił po sobie spoczynek. Natychmiast uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku — nigdy chyba nie spał tak twardym snem. Nawet delikatne promienie świtu nie zbudziły go.

Oparł się o maszt. W miarę jak z jego oczu opadała ciężka mgła, coraz wyraźniej zaczynał dostrzegać pozostałości po rzezi. Wpatrywał się w nasączony krwią pokład, pokryty stosami rozszarpanych ciał. Cuchnęło tak, że odrażający zaduch nie pozwalał oddychać. Choć Cymmerianin umysł wciąż nieco zamroczony, to jego ciało pulsowało energią i werwą, jakiej od dawna nie czuł nawet za dnia. Ale jak mu się udało wydostać z ładowni? Uniósł dłonie, by dotknąć twarzy i zdrygnął się ze zdziwienia. Tam, gdzie przedtem były okropne rany, teraz pod palcami wyczuwał prawie całkowicie zagojoną skórę, jakby dużo czasu upłynęło od chwili, gdy został tak paskudnie okaleczony. Ciarki przeszły mu po plecach na myśl, że jest to zjawisko niewytłumaczalne — zastanawiał się, czy nie śni. To cudowne ozdrowienie przyjął z mieszaną radością. Zawsze miał głęboko zakorzeniony, instynktowny lęk przed wydarzeniami, które noszą na sobie choćby niewyraźny ślad działania sił magicznych. Rana na łydce — po nożu Chadima — także zniknęła. Nie było nawet śladu, gdzie wbiło się ostrze. Jedynymi obrażeniami były pręgi po drobnych otarciach na ramionach, nogach i torsie. — Na Croma — wyszeptał — co to za czary? — z trudem usiłował przypomnieć sobie wypadki, które doprowadziły go do miejsca, gdzie się znajdował. Pamiętał tylko, jak zapada w sen ostatniej nocy...

Potem obrazy w jego umyśle pojawiały się jak sceny z niewyraźnego koszmaru — jego przemiana i krwawa rzeź, która dokonała się potem. Na myśl o makabrycznej uczcie, dostawał mdłości.

Ale musiał porzucić te niepokojące, mroczne wspomnienia. Nie miał teraz dość czasu, by zastanawiać się nad ohydnyymi czynami, jakie popełnił przemieniony, bo statek zaczął nagle dość mocno przechylać się na jedną z burt. Wiatr wciąż popychał go naprzód zygzakowatym, niepewnym kursem. Conan myślał, że huk, który go wyrwał ze snu, spowodowało zderzenie z rafą. Za rafą dostrzegł na wodzie dziwny, wzburzony kształt, przypominający wir. Nie wyglądał naturalnie, nie przypominał żadnego z tych, jakie widział podczas wszystkich swych lat spędzonych na morzach. Conan zadygotał, pomimo że było dość ciepło. Uczucie grozy przeszło go na wylot. Obserwując dziwne zjawisko, ujrzał jak woda pieni się, chwilami jakby uwalniając pęcherze powietrza ponad powierzchnię, a pod postacią półprzeźroczystych tumanów unosi się gorąca para. „Pani” schwytała w wir, powolnie porusza się po szerokim okręgu.

Bez jednego odgłosu, bez żadnego plusku, ze środka wzburzonej toni wody, wynurzył swój łeb pokryty łuskami czerwony lewiant. Skorupiaki i oceaniczne wodorosty okrywały jego mdałą, kostropatą skórę. Olbrzymia głowa przypominała Conanowi o tym, co go czekało

Moore Sean U - Conan i kłątwa szamana

w Luxur. Po obu stronach łba poruszały się rytmicznie dwa szeregi skrzeli, a na monstrualnym łbie miał parę ślepi, z których każde było wielkości głowy Conana. Te przerażające oczy wytrzeszczały się jak chorobliwe, pomarańczowe guzy. Ogon potwora nie był widoczny, bez wątpienia zanurzony był głęboko pod wodą.

Potwór rzucił się prosto w stronę „Pani” z otwartą, ukazującą kły, paszczą. Mógłby naraz połknąć trzech ludzi. Conan stanął jak ż hipnotyzowany niewytłumaczalną, odwieczną mocą wzroku potwora. Wyglądało na to, że wnętrza najgłębszego piekła otworzyły się by wypluć z siebie najbardziej przeraźliwego, diabelskiego węża, jaki kiedykolwiek tam się wyległ.

Gdy ociekający wodą pysk potwora zmierzał w stronę Conana, wojownik dostrzegł w jego paszczy zaklinowany między kłami kawałek strzaskanego kila. Cymmerianin od razu pojął przyczynę mozolnego wirowania „Pani” po dziwnym okręgu. Szczęka monstrem przegryzła belkę tak grubą, jak obwód człowieka w pasie i wyrwała kawały drewna uszkadzając na dobre statek. Z gęby węża wydobył się strumień gorącej pary prosto w oczy Conana.

Wojownik ostonił twarz ramieniem i przerwał hipnotyczne działanie podłej bestii.

Cymmerianin odskoczył w bok czując, jak o jego stopy ociera się gorący brzuch węża.

Kły, podobne do szabli, minęły go o szerokość dłoni i zamiast na nim zatrzasnęły się na podstawie masztu. Gruba, drewniana belka pękła jak zapalka i runęła na burtę. Conan usunął się zwinnie, dając nura pod zataczającym łuk karmazynowym łbem.

Nieuustraszony barbarzyńca chwycił największy miecz, jaki leżał w jego zasięgu i odrzucił z obrzydzeniem rękę, która go jeszcze trzymała. Zebrał się w sobie, pewnie stanął na nogach i przygotował do następnego ataku potwora. Walczył już wcześniej z dziećmi Seta. Wiedział, że dobrze wycelowane pchnięcie mieczem przeszyje miękkie podniebienie węża i może ugodzić w mózg wstrętnego monstrem. Musiał tylko zatopić ostrze pewnie, głęboko i za pierwszym razem, zanim wir wessie statek i wchłoną go parne otchłanie.

Powietrze wokół stawało się nieznośnie gorące i ciężkie od zgniłego fetoru. Drewno statku skrzypiało, woda wokół kipiła i huczała.

Wijąc się na różne strony, bestia znów uderzyła na Conana, który wyzywająco stał naprzeciw niej, jak wrośnięty w pokład. W paszczy potwora znów zajaśniały zęby, jak sztylety z wypolerowanej kości słoniowej, twarde i zakrzywione.

Ale Cymmerianin tylko na to czekał. Skoczył na spotkanie nurkującej głowy węża i wraził swoje ostrze w obnażone, różowe mięso ohydneho podniebienia. Gorący obłok pary spowił go, nim zdążył puścić rękojeść szabli, ale udało mu się uniknąć uścisku olbrzymiej szczęki, gdyż przeturlał się po pokładzie.

Sięgając po następną szablę, Cymmerianin dźwignął się z desek i czekał, by się przekonać, czy udało mu się przeszyć mózg stworzenia. Czy jedno pchnięcie to dosyć? Nigdy przedtem nie potykał się z tak olbrzymim wężem!

Gdy bestia wycofywała swój łeb, Conan dojrzał rękojeść sterczącą jej z paszczy. Wbite ostrze wyglądało niczym lichy kołec w tej wielkiej masie mięsa. Statek wciąż zataczał kręgi i powoli tonął, morze już do połowy przykryło kadłub. Zrozpaczony barbarzyńca czuł, jak czas nieubłaganie ucieka. Jeszcze chwila i będzie musiał skakać za burtę, by płynąć jak szalenciec, jeśli nie chce by wir zamknął nad nim swą pieniącą się gardziel.

Cisnął na bok szablę, bo nowy plan zaczął układać mu się w głowie. Ustawił się pośrodku pokładu, nogami zaparł o ławki wioślarskie i oczekiwał kolejnego ataku morskiego giganta. Głowa potwora kołysała się na karku tak grubym, że gdyby nawet ktoś zechciał usiąść na nim jak na koniu, to i tak nie byłoby to możliwe. Teraz potwór błyskawicznie wyrzucił łeb do przodu, kierując się na Conana po raz kolejny, zamierzając pożreć tę dla niego drobną, ale złośliwie wymykającą się zwierzynę.

Uginając nogi, Conan objął ramionami strzaskany maszt i wytrzymał siły próbując go dźwignąć. Siłował się z tą ciężką, nieporęczną belką, by skierować jej koniec na potwora. Ciężar masztu przekraczał jego własny co najmniej trzykrotnie i barbarzyńca poczuł, jak kręgosłup wygina mu się pod masą drewna. Grubszy koniec masztu był roztrzaskany i stanowił wyszczerbione, stożkowate ostrze. Conan starał się umieścić ten koniec nad swoją głową, przesuwając uchwyt dłoni i prostując kolana. Przeciągnął pal nieco do przodu, tak by drugi koniec, wystający nieco za burtę, oparł się o pokład. Stał teraz z gigantyczną włócznią gotowy, by odeprzeć atak potwora.

Waż, dzięki jakiejś tajemniczej inteligencji, wydawał się być świadomym podstępem Conana. Wykręcił kark starając się uderzyć z innej strony, lecz jak przewidywał to Cymmerianin, statek przesunął się także po swoim okręgu. — Spróbuj zjeść to, na Crom! — krzyknął wojownik, obracając potężną drzazgę dokładnie w kierunku zbliżającej się głowy potwora. Muskły chodziły na jego ramionach naprężone do bólu. Bestia odchyliła nieco swój łeb rąbnęła nim w złamany maszt, lecz ostry koniec ominął jej paszczę o długość

miecza. Pal natomiast przebił błyszczącą, różową gałkę oczną i z oczodołu wyciekła żółtawa posoka.

Impet potwora był tak duży, że maszt, wyłupiwszy oko, zagłębił się we wnętrzu masywnej czaszki. Strumienie wewnętrznych płynów trysnęły z otwartego oczodołu, ochlapując maszt i rozsiewając fetor tak okropny, że Conanowi zaczęły łzawić oczy. Galaretowate ślepie zsunęło się po tkwiącym w mózgu palu i upadło na pokład.

Wyrzucając z siebie odpychające wyziewy przeszyty na wskroś lewiatan osunął się po maszcie i zwałił w konwulsjach. Miotając się jeszcze, szarpiąc bezsilnie, potwór próbował uwolnić głowę, ale drugi koniec masztu zaklinował się na dobre między ławkami wioślarskimi. Bestia jeszcze raz wyrzuciła z siebie kłęby pary, szczęki kłapnęły po raz ostatni, łeb lewiatana runął na deski pod nogi zwycięzcy. Conan zrobił krok do tyłu. Z wysiłku kręciło mu się w głowie. Spojrzał w stronę wiru tam, gdzie było całe ciało węża. Ruchy statku nieco się uspokajały, woda przestawała się pienić, lecz „Pani” nadal tonęła, kręcąc się w kółko — w miejscu, z którego wynurzył się leżący teraz nieruchomo wąż. Conan zastanawiał się, gdzie mógł spoczywać jego ogon. Zwierzę było z pewnością co najmniej trzykrotnie dłuższe od statku.

Inne węże, które kiedyś zdarzyło mu się zabić, całe wiły się w agonii, natomiast ten pozostawiał swoją drugą połowę zanurzoną w wodzie przez cały czas trwania walki. Czyżby był zakotwiczony gdzieś głęboko, wśród podwodnych skał lub nawet na dnie oceanu? Ale Cymmerianin nie miał czasu, by zastanawiać się dłużej. Rozważał, jak uratować się z tonącej „Pani”. Więcej szalup na statku już nie było, więc należało pośpiesznie sklecić tratwę.

Przywłócił zniszczone drzwi od ładowni, która — zauważył z niepokojem — wypełniona już była wodą. Za pomocą długich lin okrętowych i kawałków jednej z klatek sklecił prowizoryczny i raczej niezdatny do długiej żeglugi mały statek. Miał nadzieję, że nie rozpadnie się przed przetransportowaniem go na jakąś wyspę, lub południowe wybrzeża. Przywiązał do tratwy długą linę i opuścił mały, niezdatny statek na wodę. Gdyby tylko udało mu się znaleźć jakiś prowiant... z żalem rzucił okiem na ładownię. Zdawał sobie sprawę, że na płądowanie statku nie miał już czasu. Brak słodkiej wody zmniejszy szansę na przeżycie. Nawet z małą beczką mógłby przetrwać tygodnie.

Spocony podbiegł do drzwi kwatery oficerskiej, gdzie powinno znajdować się jakieś jedzenie i coś do picia. Może mesa nie została zalana tak bardzo, jak ładownia.

Gdy Conan zbliżył się do wejścia, z wnętrza doszły jego uszu jakieś stłumione krzyki.

Zawahał się, po czym przyłożył ucho do ściany, dobiegł go znajomy głos.

— Drżycie tu, jeśli chcecie potopić się jak psy! — Głośne przekleństwa Kherteta przedarły się przez drzwi.

— Nehebku obedrze twoje butne ciało ze skóry i pogruchoce twoje kości, stygijski bękartie! — odkrzyknął Chadim, głosem, w którym dało się wyraźnie wyczuć panikę.

Słowa Jhatila nie pozwoliły Khertetowi oponować. — Dość, obydwaj! Woda sięga już po kolana, a wy marnujecie czas. Może gardziel Nehebku jest już pełna mięsa tej mały i nie trzeba martwić się o los takich lichych kęsków, jak my. Cokolwiek zresztą czeka nas na pokładzie, lepiej zaryzykować i wyjść, niż tracić resztki powietrza na obrzucanie się obelgami.

Conan przypominał sobie coś niewyraźnie: ścigał swe ofiary, aż do drzwi i nie był w stanie przedrzeć się przez nie. W pamięci miał jeszcze dźwięki panicznego stukania i chrobotania po drugiej stronie, a po swojej teraz zauważył, że na twardym drewnie są szerokie szczyrby, jakby zrobione jakimiś wielkimi pazurami. Przyłożył dłonie do drewnianej powierzchni i okazało się, że tamte musiały być o wiele większe niż jego. Drzwi zabarykadowano, z pewnością w obronie przed nim, wcielonym w tamto stworzenie. Stracił nadzieję na zdobycie beczki z wodą, więc rozejrzał się szukając najlepszej broni spośród licznie porzucanej. Zanim dotarł do zrobionej przez siebie tratwy, drzwi kwatery oficerskiej otworzyły się z hukiem. Wyskoczył przez nie Khertet, a jego śniada twarz poczerwieniała, gdy zobaczył na pokładzie Cymmerianina. Kapitan uniósł swój wąski, mistrzowskiej roboty miecz, wykuty z przedniej stali.

VI

BEZLITOSNA ZEMSTA

— Ty! — wykrzyknął Khertet w stronę Conana.

— Barbarzyński psie, zaraz... — cofnął się zatrzymując wzrok na zabitym lewiatanie.

Skrwawiona głowa bestii leżała sobie, jak gdyby nigdy nic, na zakrwawionym pokładzie. Jej ocalałe oko zastygło w śmiertelnym zapatrzeniu.

Mężczyźni patrzyli na siebie, podczas gdy statek wciąż powoli tonął. Khertet znalazł się teraz pomiędzy Conanem a tratwą. — Stygijska szumowino! Dołącz do swych ludzi w piekle! — wrzasnął Conan w nagłym przypiływie wściekłości. Skoczył z szybkością pantery i uniósł ostrze miecza celując w kark Kherteta.

Stygijczyk w porę odparował atak Conana, odkręcił się i skontrował, trafiając Cymmerianina w ramię.

Nie zwracając uwagi na ranę, barbarzyńca ponownie dziko uderzył. Nie było czasu na długotrwałą szermierkę, poza tym Conan wiedział, że broń Kherteta wykuta z wytrzymałego i szlachetnego metalu była mocniejsza i lżejsza niż jego. Musiał więc próbować pokonać kapitana wykorzystując swą siłę. Napiął mięśnie i z całej siły rąbnął szablą, lecz i teraz Stygijczyk zablokował cios, aż iskry sypnęły się z obu ostrzy w momencie zderzenia. Ostrze Conana pękło.

— Na zęby Croma! — zaklął, odrzucając strzaskaną broń. Khertet roześmiał się w głos i zrobił szybko krok w kierunku przeciwnika, by zadać ostateczne pchnięcie. Lecz „Pani” zmieniła nagle położenie i kapitan stracił równowagę, Stygijczyk potknął się i runął na pokład. Jego miecz uderzył o deski, daleko poza zasięgiem jego ręki. Śmiech Kherteta zmienił się w głośny jęk bólu, gdyż rozpaczliwie próbując się podnieść, zorientował się, że ma skręconą nogę. Zaczął gorączkowo szukać noża przy swoim pasie.

Na pokład skoczył Chadim ze sztyletem w dłoni, a tuż za nim Jhatil trzymający korda.

Conan natychmiast — wyrwany z zaciśniętych palców jednego z martwych marynarzy — nóż cisnął w pędzącego Chadima, który już podnosił dłoń, by zadać cios sztyletem. Rzucony nóż trafił Vendhyanina w pierś, zagłębił się między żebrami i wyszedł z drugiej strony przesytego ciała. Zakrwawione ostrze sterczało między łopatkami Chadima i Jhatil z rozpędu nadział się na nie. Chadim padł martwy z przekłutym sercem, a pod nim uwięziony Jhatil szarpał się tonąc we krwi, która tryskała z jego własnego gardła.

Conan sięgnął po upuszczony miecz kapitana. Chwytał śliską rękojeść w chwili, gdy Khertet rzucał się na niego ze sztyletem i drasnął ostrzem ramię Conana. Barbarzyńca wolną ręką chwycił nadgarstek Kherteta, wykręcił go tak mocno, że aż usłyszał trzask kości. Sztylet wypadł z bezwładnych palców Stygijczyka i Conan odepchnął złośliwego przeciwnika daleko od siebie. Lecz uparty eks-admirał wyłuskał jeszcze szablę z dłoni jakiegoś martwego wioślacza i, ściskając ją w zdrowej ręce, napał na Cymmerianina. — Śmieciu! — wysapał, przybierając pozycję doświadczonego szermierza i zbliżając się powoli i ostrożnie do Conana. — Nawet z tym marnym ostrzem wyślę cię do piekła! — Z zawrotną szybkością zrobił wypad do przodu. Conan uniósł obie ręce, w których trzymał miecz, okręcił się, by uniknąć uderzenia Kherteta i szerokim łukiem uderzył Stygijczyka tak potężnie, że ostrze miecza całe zagłębiło się w jego czaszce. Wyciągnął broń z rozplątanej głowy eks-admirała, i rzucił się w kierunku tratwy. Ciało konającego w spazmach uprzykrzonego przeciwnika przechyliło się za burtę i wleciało do wzburzonego oceanu.

Cymmerianin zwinął cumę i chwycił za wiosło. Robił wszystko, żeby oddalić się od kipiącego wiru. Choć po śmierci morskiego potwora woda uspokoiła się nieco, Conan wyczuwał nienaturalne ciepło zmaconego oceanu, którego fale gniewnie miały tratwę. Potężnymi uderzeniami wiosła, stopniowo zaczął oddalać się od okrętu śmierci. Spojrzał za siebie, gdzie zwały wody ciągnęły skazaną na zagładę „Panią” na dno. Na powierzchni unosiło się to, co zostało po maszcie, a padlina węża, spokojnie pogrążała się w stonę odmęty. Pot spływał strumieniami po skórze Conana. Wody oceanu ogrzały tratwę, a słońce z bezchmurnego nieba zaczynało rozlewać blask. Barbarzyńca czuł, jak jego skóra pozbywa się drogocennej wody, ale nie był w stanie temu zapobiec. Gdy odpłynął od statku na odpowiednią odległość, odłożył wiosło, by oszczędzać siły. Nie zmęczył się wprawdzie, ale jego puls był dziwnie podwyższony, a serce waliło mocniej niż powinno po takim wiosłowaniu. Wcale nie myślał o tym, że nie ma zapasów. W swych podróżach niejednokrotnie przemierzał już samotnie pustynie i był w stanie długo wytrzymać pragnienie i głód. Tratwa swobodnie dryfowała, a on myślał o uderzającym podobieństwie między południowym morzem i pustyniami wschodu. To były takie same jednostajne przestrzenie, gdzie rządził ten sam władca. Ze swojego wysokiego tronu niepodzielnie panowało zgubne słońce tkwiąc bezlitośnie nad tymi dwoma pustkowiami, zbierało daninę potu od każdego, kto odważył się wkroczyć w jego królestwo. Nawet bezwzględni władcy Stygii czy Turami potrafili okazać więcej litości, niż okrutne słońce.

Conan mniej przejmował się brakiem żywności i wody, niż tajemnicą swojej niedawnej przemiany. W miarę jak słońce przesunęło się po niebie, coraz bardziej dawało się we znaki i coraz większy ogarniał go strach przed wschodem księżyca. Czy szamańska kłątwa dosięgnie go znowu? Efekty jej działania szokowały nawet zahartowanego Cymmerianina. Nie żałował

Moore Sean U - Conan i kłątwa szamana

ludzi, którzy zginęli. Drażniło go jedynie, że tracił nad sobą kontrolę, tracił swoją tożsamość. Na statku Conan–Cymmerianin przestał istnieć. Stał się bezmózgim krwiożercą. Na myśl o tym, że zjadał się ludzkim mięsem, zawartość żołądka podchodziła mu pod gardło. Kiedyś w Zambouli — mieście bezprawia — zetknął się z darfarskimi kanibalami. Te psy o mrocznych sercach były plagą ziem południowych. Czyhali w pobliżu Conana licząc, że będzie dzielił się z nimi wszystkim, co padnie jego łupem. Ale jednocześnie kłątwa pomogła mu wydostać się z więzienia na statku i uniknąć przerażającego losu, który gotowano mu w Luxur. Zwyciężył morskiego potwora i musiał znaleźć jakiś sposób na przezwycięzenie czaru szamana.

WYTań potargane, ciężkie od potu włosy i poczuł nagły zawrót głowy. Zamknął oczy i wyciągnął się na deskach tratwy. Nie było zbyt wiele miejsca, by mógł wygodnie ułożyć swoje potężne ciało. Tępy ból w przedramieniu przypominał mu o cięciu, jakie odebrał w krótkiej walce z Khertetem i przyjrzał się zaognionej ranie.

Draśnięcie było niewielkie, wąskie i nie dłuższe niż jego kciuk, lecz na krawędziach tworzył się purpurowy obrzęk. Rozpoznawał nazbyt wyraźne oznaki działania trucizny — opuchlizna w odcieniu charakterystycznym dla Purpurowego Lotusa. Powinien domyślić się, że Khertet w prawdziwie stygijskim stylu zatrzał swój nóż.

Cymmerianie nie potrzebowali uciekać się do tego rodzaju niegodziwych praktyk, polegali na swojej sile i odwadze. Conan uważał, że używanie trucizny nie przystoi mężczyźnie.

Dobrze, że trucizna działała powoli i nie przeszkoziła mu w ucieczce.

Walcząc z utratą przytomności, Cymmerianin usiłował poruszać swym ciałem. Zanurzył ostrze miecza w wodzie wiedząc, że ten metal jest bardziej odporny na korozję, niż czysta stal. Oczyszczony miecz zalśnił w słońcu. Zaciskając zęby wykonał trzy głębokie nacięcia na przedramieniu, po czym włożył rękę do wody. Poczuł, jak sól wyżera z rany truciznę. Gdy ból osłabł, wyciągnął rękę z wody, potrząsnął nią i zaczął wysysać i wypluwać krew z pozostałością Lotusa. Robił to tak długo, aż przestał czuć gorzki smak jadu.

Na powierzchni rany nie było już trucizny, lecz wysięk przy wioślowaniu sprawił z pewnością, że przekłuty Purpurowy Lotus dostał się wcześniej do krwi. Siłą woli walczył z jego działaniem, aż w końcu osłabł i osunął się na deski tratwy. Spoglądał w górę, jak ciemne i gęste chmury zaczynają gromadzić się nad nim. Podmuchy wiatru uderzały w tratwę i ochładzały ciało Conana. Barbarzyńca poznając oznaki nadciągającego sztormu, resztką sił próbował zabezpieczyć się przed nim. Obwiązał grubą linę wokół swojej talii, przymocował ją do desek, a miecz wbił w drewno tratwy najgłębiej, jak mógł. Wiedział, że to będą trudne chwile, ale nie beznadziejne. Tropikalne burze zwykle kończyły się tak szybko i nagle, jak się zaczynały. Wiele takich przeżył i na lądzie, i na morzu.

Usiłował czuwać, ale nie zdołał przezwyciężyć skutków zakażenia Purpurowym Lotusem.

Gdy niebo pociemniało już zupełnie, Conana trzymał już mocno w swych objęciach sen.

Przebudził się czując na swym ciele gorący piach. Blask słońca raził go w oczy. Na moment osłepiony, za chwilę patrzył na wąski pasek plaży, który oddzielał go od morza.

Plecy miał obolałe, ciężkie liny wciąż łączyły go z grubą deską tratwy. To jedno, co pozostało z całej konstrukcji. Domyślał się, że gdy spał, sztorm roztrzaskał kruchy statek, a jego samego woda wyrzuciła na brzeg.

Przespał odrętwiające działanie trucizny, a rana na ramieniu zasklepiła się. Mimo dojmującego pragnienia i głodu czuł się chyba lepiej, niż kiedykolwiek ostatnio. Nie przypominał sobie, by teraz podczas snu miał jakieś koszmary. Najlepsze w tym wszystkim to, że dotarł na ląd. Nawet jego miecz, wciąż tkwiący w kawałku deski, znalazł się nieopodal. Słona woda nie potraktowała zbyt dobrze ostrza miecza, ale pomyślał, że zajmie się tym później.

Spoglądał teraz na plażę, szukając jakichś znaków szczególnych, ale widok nie budził w nim żadnych skojarzeń. Błękitnie skrząca woda łączyła się łagodnie z pyłem miękkiego piasku plaży i rozciągała daleko, jak wzrok sięgał. Z drugiej strony plaży piach ustępował miejsca wysokiej, gęstej roślinności. Ponad tym wznosiły się drzewa palmowe, których lekko zwężone ku górze pnie kołysały się wraz z podmuchami miłej, południowej bryzy.

Nie było żadnych śladów człowieka czy zwierzęcia. Usiłował wyswobodzić się mocując z linami, ale najpierw wilgotne, i potem wysuszone sznury skurczyły się i należało użyć miecza. Gdy był już uwolniony i zaczął rozcierać nogi i ręce, aż krew na nowo zaczęła w nich krążyć. Zamierzał rozejrzeć się w terenie, by ustalić, gdzie się właściwie znajduje. Przedtem jednak postanowił poszukać pitnej wody i jedzenia.

Ruszył w kierunku niedużej palmy. Wdrapał się na nią z łatwością aż pod same liście i strącił kilka orzechów. Z góry lepiej obserwując okolicę, zorientował się, że jest na jednym końcu wysepki, która ma kształt półksiężyca. Plaża położona była tam, gdzie wyspa miała

lekkie wklęsnięcia. Dwa zakrzywione końce wyspy tworzyły płytką zatokę. Pokryta zielenią wyspa zdawała się nie mieć mieszkańców, choć Conan nie mógł mieć co do tego pewności, póki nie zbadał przeciwległego końca. Widział tam coś o szarobiałym dziwnym odcieniu, co wyglądało jak polana i nie stanowiło raczej fragmentu plaży.

Conan zdecydował, że zbada, co tam jest. Zsunął się z drzewa i nasycił owocami palmy. Z żołądkiem pełnym słodkiego, pożywnego jada czuł się gotowy, by ruszyć na zwiedzanie wyspy. Resztki odzieży stracił w noc swej przemiany, ale teraz pomyślał o tym jedynie przez ułamek sekundy. Wstydlivość nie była cechą jego charakteru. Szedł wybrzeżem ściskając swój miecz niczym nagi dzikus z jakiegoś leśnego plemienia. Wypatrywał jakichkolwiek śladów — ludzkich czy innych. Brzeg przypominał nieco brzegi Zambabwei, lecz wody tamtej krainy nie były aż tak błękitne, piach nie tak miękki i czysty. Słychać tu było jedynie łagodny szum wielkich palmowych liści i delikatny szmer fal. A gdzie podziały się ptaki? Plaża spowita była ciszą, jak gdyby wyspa nosiła tajemniczą maskę milczenia, jakby coś kryło się pod obfitą roślinnością. Conan pozostawał czujny, brak naturalnych odgłosów lasu niepokoił go.

Trzymając się plaży kroki kierował w stronę zachodzącego słońca. Żadne ślady życia nie mały czystości piachu. Brak było także stworzeń morskich, od których roiło się w okolicy podobnych wybrzeży. Gdy patrzył na wyspę ze szczytu palmy, nie wydawała mu się wielka. Pomimo to doszedł dopiero do połowy wyspy. Zwiększył tempo, by zbadać dziwną polanę, która wzbudziła jego zainteresowanie.

Stopniowo odcienie plaży zaczęły się zmieniać. Miękki, bladoróżowy piach mieszał się z grudkami białymi i szarymi. Kiedy oczom Conana ukazała się wreszcie polana, zobaczył, że tworzą ją kamienie różnej wielkości i różnych kształtów, ułożone w płaski pagórek otoczony wąskim pasem piachu. Na pagórku nie rosły żadne rośliny.

Największą ciekawość Conana wzbudziła jednak, stworzona wyraźnie przez ludzi ścieżka prowadząca do owego pagórka. Cymmerianin w podnieceniu ruszył, by zobaczyć to tajemnicze miejsce. Po drodze natknął się na duży, częściowo zakopany w piasku kamień i zatrzymał się, by go obejrzeć. Zmiotł pył z okrągłej powierzchni, i odruchowo cofnął się. — Na Croma! — krzyknął, a skóra mu ścierpła.

To, co odkrył, nie było żadnym kamieniem, lecz czubkiem dużej, dziwacznie zdeformowanej czaszki. Jej obwód był dwa razy większy, niż obwód czaszki Conana. Pośrodku biegła falista bruzda. Barbarzyńca odgarnął jeszcze więcej piachu i dojrzał oczodoły wielkości dużych kurzych jaj, skierowane prosto na niego. Oczodoły znajdowały się niemal po przeciwległych stronach czaszki. Nie było żadnych otworów, które mogłyby wskazywać, gdzie znajdowały się uszy czy nozdrza. Nierówne czoło zwężało się niżej w dziwny pysk, zakończony złamanym rogiem. Wsunął koniec miecza w jeden z oczodołów i podniósł czaszkę, by obejrzeć ją dokładniej. Rzędy poszczerbionych, zagiętych do tyłu zębów sterczały wewnątrz masywnego szarego dzioba.

Wygląd znaleziska świadczył o istnieniu jakiegoś nienaturalnego, rzadkiego gatunku ptaków. Po ostrych zębach w dziobie Conan od razu wiedział, że stworzenie nie żywiło się roślinami. Zastanawiał się, co stało się z resztą szkieletu.

Upuścił z powrotem w piach paskudną skorupę i rąbnął mieczem między gapiące się na niego puste oczodoły. Za pierwszym razem ostrze ześlizgnęło się po krawędzi czaszki, ale drugi potężny cios strząsnął łeb i położył kres straszliwemu wpatrywaniu się trupiej głowy. Conan ominął rozsypane szczątki i wkrótce dotarł do polany. Krew odpłynęła mu z twarzy na widok tego, co pojawiło się przed nim. Wziął głęboki oddech.

Na piasku leżały, poukładane w wysokie sterty, wybielałe czaszki tworząc rozległe hałdy. Rozciągały się wszędzie, aż po brzeg wyspy, jak jasny, wypłowiały dywan z kości. Woda obmywała je, poruszając nieznacznie te na krawędziach stert, nadając całości tajemniczy, przepełniający lekkość ruch. Większość z nich była wielkości tej, którą Conan odkrył pierwszą, a pozostałe były jeszcze większe.

Nigdzie nie widział żadnych innych kości — żeber czy nóg — jedynie pozbawione korpusów czaszki. Niespokojna ciekawość pchnęła go, by rozgrzebać ostrzem miecza jedną ze stert. Szukał jakichś informacji o naturze tych martwych stworzeń. Na spodzie kości zdawały się być starsze i łatwiej się kruszyły. Niektóre zaczęły rozpadać się pod ciężarem czaszek nad nimi. Nieprzeliczone skorupy, możliwe, że wiekowe, stanowiły makabryczną plażę śmierci. Na horyzoncie jakiś ruch przyciągnął uwagę Cymmerianina. Zaskoczony, dostrzegł niezwykle łodzie, które pojawiły się dość nagle i szybko przesuwały w stronę wyspy. Naliczył osiem małych statków, na każdym po czterech ludzi, a na ostatnim jedynie dwóch. Oślaniając oczy dłonią, wpatrywał się długo, aż wreszcie mógł wyraźniej obejrzeć wioślarzy.

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

To byli mężczyźni niepodobni do żadnych, jakich wcześniej spotykał. Ich oliwkowe, olbrzymie ciała pokrywały jasne wzory. Wiosłowali z energią, która zadowoliłaby najbardziej surowego poganiacza. Łodzie pokonywały przestrzeń bardzo szybko, ale wydawały się niezgrabne i toporne. Wioślarze siedzieli na grubej, środkowej belce, niewątpliwie wyciosanej z drzewa palmowego. Zakrzywione belki poprzeczne, jak drewniane ramiona, trzymały mniejsze prnie po obu stronach głównego trzonu, które zapewniały stabilność łodzi. Każdy wiosłarz trzymał jedno wiosło i uderzał nim raz z jednej, raz z drugiej strony. Conan oceniał, że prosty kształt łodzi dostosowany był jedynie do krótkich podróży. Niemożliwe byłoby kontrolowanie takiego statku na wzburzonych wodach. Prawdopodobnie ci ludzie przybywali z pobliskiej wyspy, lub nawet może z niezbyt oddalonego, dużego kontynentu, bo ta wysepka była zbyt jałowa, by mogła stanowić ich dom. Mężczyźni wyglądali na nieuzbrojonych, lecz Conan nie wierzył, że są niegroźni. Kanibale, prymitywni czciciele kultu pradawnych bogów zła, nie byli czymś niezwykłym czy rzadkim na ziemiach południa. Conan skrył się pośpiesznie w gęstych zaroślach i oczekiwał ich przybycia z sercem bijącym coraz szybciej, w miarę jak się przybliżali. Niektórzy mężczyźni mozolnie wiosłując, nieustannie oglądali się za siebie. Gdy zbliżyli się do brzegu, Conan zauważył, że teraz wszyscy wpatrują się w niebo. Cymmerianin także podniósł wzrok, i nie wierzył własnym oczom.

Z lazurowego nieba opadało stado ptaków, kierując się ku wiosłującym gorączkowo ludziom. Ptaki trzepotały w oddali, jednak w ich wyglądzie było coś nienormalnego. Południowe słońce świeciło prosto w oczy barbarzyńcy, może ten blask tworzył jakąś iluzję. Patrząc z tej odległości Conan nie mógł mieć pewności, ale dostrzegał podobieństwo do sępów, olbrzymich ptaków — większych od ludzi.

VII

WYBRZEŻE CZASZEK

Gdy łodzie znalazły się przy brzegu, ludzie zaczęli popychać je w kierunku plaży. Chwilę później ukryty wśród gęstych krzewów Conan zobaczył, jak kolorowo wymalowani wiosłarze wyskakują z łodzi wciągając je na piach.

Mężczyźni przypominali nieco rdzennych mieszkańców Starej Zembabwei. Mieli szerokie, płaskie nosy, osadzone nad grubymi wargami, oczy głęboko osadzone, wystające kości czoła z rzadkimi brwiami. Lecz nawet wodzowie wojowniczych plemion Zembabwei nie byli tacy wysocy i masywni, jak ci tutaj o oliwkowej skórze. Conan wątpił, czy jego głowa dosięgałaby ramion najmniejszego tubylca. Jednocześnie byli tak szerocy w pasie, jak Cymmerianin w barach. Nie mieli żadnej odzieży z wyjątkiem prostych przepasek. Nienaturalnie wystające pępki sterczały im z wydatnych, ale nie opasytych brzuchów. Każdy miał na głowie pojedynczy kosmyk włosów — młodszy krótki z jednym węzłem, starsi dłuższy z kilkoma węzłami.

Pierwszy dotarł na plażę najwyższy, najwymyślniej udekorowany mężczyzna. Jego długie, białe włosy były ciasno splecione ze sznurem o dwunastu supłach, które oddalone były od siebie co najmniej na szerokość dłoni. Głębokie bruzdy znaczyły jego czoło, a od karku po pas biegła postrzępiona blizna. Naszyjnik z kolorowych muszli — niebieskich, fioletowych, zielonych i czerwonych — ozdobił jego krótką, grubą szyję i migotał w południowym słońcu.

Gdy inni mężczyźni wyciągali łodzie na brzeg zarzucony czaszkami, on odwrócił się w ich kierunku. Uniósł ramiona ku niebu, rozpostarł ręce i wydał z siebie dziwny, głęboki okrzyk. Conan nigdy nie słyszał takiego dźwięku, wydobywającego się z ludzkiego gardła. Ten dziki, gardłowy głos, jakoś podniecał ogień do walki, tłący się w piersi Cymmerianina. Patrzył, mrużąc oczy, jak pozostali ludzie naśladują gesty i okrzyk mężczyzny, jednocześnie nieznacznie przyklękając.

Lecz jeden z przybyszów — posępny i młody — nie przyklęknął. Jego muskulatura wyglądała jak wyrzeźbiona pod rysunkami żółtych trójkątów, pokrywających jego pierś, ramiona i nogi. Zza uszu wyrastały mu dwa kosmyki włosów i splecione były razem na karku. Wyraźnie odróżniał się od reszty. Nie zwracając uwagi na młodzieńca, stary mężczyzna przemówił.

Conan spodziewał się, że język tych ludzi będzie gardłowy, jak język mieszkańców Zembabwei. Ku jego zaskoczeniu, był mieszaniną dwóch znajomych dialektów. Zembabwańskie nazwy przedmiotów mieszały się z innymi, wyraźnie vendhyańskimi słowami. Conan wysilił uwagę i starał się zrozumieć przemowę.

— Moźni Ganakowie — rozpoczął białowłosy mężczyzna głosem przypominającym

grzmot i natychmiast przyciągnął uwagę pozostałych. Żaden ze słuchających nie przejawiał zniecierpliwienia, żaden nie spuszczał wzroku z uroczyście wyglądającego starca. Jedyne młodzieńca jakby to wszystko mało obchodziło. Stał za plecami innych, opierając wielkie ręce na biodrach.

Cymmerianina dziwiło, czemu nie poszukają jakiegoś schronienia przed ścigającą ich skrzydlatą chmarą, albo przynajmniej nie zajmą jakiejś lepszej pozycji do prawdopodobnej walki?

Stary mówił dalej. — Walczyliście dziś dzielnie. Wystaliście wiele Kezatij na mroczne łądy. Lecz wielu ich ocalało — być może nazbyt wielu. — Przerwał i opuścił ramiona. — Ojcowie naszych ojców, tak jak i ich ojcowie, stali na tych świętych brzegach. Świadectwem ich męstwa są kości naszych odwiecznych wrogów. — Zakreślił ręką krąg, wskazując na stosy czaszek. — Naszym obowiązkiem jest uczcić pamięć o nich. Jest nas niewielu, ale jesteśmy silni! — Zaciśnął palce w pięść i wyciągnął ją w kierunku zbliżającej się powietrznej chmary.

— Wielu spośród was ma synów i córki. Dziś niektórzy z nas mogą odejść na mroczne łądy Muhingo. Lecz plemię przetrwa... jeśli pokonamy skrzydlatych nieprzyjaciół. Niech brzegi pokryją się krwią Kezatij!

— Muhingo, Muhingo... — zaintonowali mężczyźni i zaczęli się kołysać przestępując z nogi na nogę. Dalej za nimi skrzydlaci drapieżcy zbliżyli się na tyle, że Conan słyszał wyraźnie rytmiczne uderzenia skrzydeł. Niebo pociemniało od nich. Jedyne niewzruszony młodzieniec odwrócił się, by spojrzeć na nadlatujące stworzenia.

— Walczcie dla swych potomnych! — ryknął mówca, znów wznosząc ramiona i zaciskając dłonie w pięści.

— Muhingo...

— Walczcie dla swoich kobiet! — człowiek machnął wzniesionymi pięściami w powietrzu nad swoją głową.

— Muhingo... — Wszystkie głosy zdradzały napięcie, mężczyźni gorączkowo powtarzali gesty starca. Tylko wymalowany na żółto wojownik nie intonował razem z innymi.

— Walczcie dla swych synów i córek!

— Muhingo! — głosy zły się w jeden szmer i dziwna przysięga rozbrzmiewała po pokrytej czerepami plaży.

Na chwilę głosy ludzi zagłuszyło trzepotanie skrzydeł armii Kezatij.

Conan schowany obserwował całą scenę, jak zaczarowany. Ci Ganakowie byli albo niezwykle odważni, albo wyjątkowo głupi, by z pustymi rękami stawać do walki z tymi stworami. Dopiero potem spostrzegł, że niektórzy z nich trzymają wiosła. Na jednym końcu każde wiosło było wyżłobione i zaopatrzone w ostrą muszlę. Unosząc ostre końce swoich solidnych wiosel, wojownicy zbierali się w sobie, by przyjąć falę skrzydatego przekleństwa. Olbrzymie ptaki dotarły już tak blisko brzegu, że Cymmerianin mógł rozpoznać ich okropne, przerażające cechy. Łby i karki miały pokryte pomarszczoną, grubą i zapewne twardą skórą. Wyglądem przypominały nieco sępy. Czaszki rozrzucone po plaży z pewnością należały do stworzeń takich, jak te. Na całym ciele miały upierzenie w odcieniach czerni, czerwieni i ciemnego bursztynu. Każda z krótkich, grubych nóg kończyła się pięcioma zakrzywionymi szponami długości ludzkich palców. A najbardziej wstrząsające było to, że ich oczy wyglądały jak ludzkie.

Przenikliwe skrzeki, towarzyszące atakowi ptaków, wypełniły uszy Conana przywodząc mu na myśl jakiś rozpaczliwy wrzask konających na torturach. Zakrzywione wielkie dzioby, karmazynowe niczym zaschnięta krew, kontrastowo odznaczały się na ich — jeśli można tak powiedzieć — obliczach. Przeraźliwe krzyki, okrutne rysy, zdeformowane głowy — to były cechy właściwe sępom. Lecz te diabelskie ptaki, nie miały zamiaru żywić się padliną, zdecydowanie wolały żerować na żywych istotach.

Pierwsza fala Kezatij opadła z nieba. Wyciągały szpony, krzyczały w nieopanowanej furii. Te niezwykle ptaki były nieco mniejsze niż ich ofiary, ale liczba ich przewyższała twardych Ganaków co najmniej dziesięciokrotnie. Mknęły prosto na wzniesione wiosła, nie zważając na ostre muszle, którymi były zakończone.

Conan nie potrafił usiedzieć bezczynnie i patrzeć, jak ci mężni wojownicy przyjmą taki potworny atak. Nie był jakimś młodocianym szczeniakiem, by kryć się w krzakach, gdy zaczyna się rozpaczliwa walka. Z Ganakami nie łączyły go więzy krwi i nie był im nic winien, ale ci mężczyźni mieli rodziny. Jeśli po prostu siedziałby i przyglądał, jak giną, ich krew splamiłaby jego dłonie tak samo, jak szpony sępów. Kierując się swoim barbarzyńskim honorem, Cymmerianin postanowił wziąć udział w tej raczej beznadziejnej walce ze złośliwymi Kezatjami.

Choć jego broń trochę zmatowiała po długim kontakcie ze słoną wodą, miecz był jakby przygaszony, gdy Conan wznosił go ku słońcu, ale woła walki — przeciwnie. Była niczym gorący płomień. Wyskoczył z zarośli jak dziki kot i rzucił się, by dołączyć do ludzi. Przemierzył dzielącą go od miejsca bitwy przestrzeń i dotarł do brzegu, zanim oliwkowi wojownicy zauważyli jego nagłe zjawienie się. Otworzyli oczy szeroko ze zdumienia, ale nie mieli czasu, by zareagować jakoś inaczej. Conan pojawił się w chwili, gdy Kezatje właśnie uderzyły.

Ganakowie poruszali się z zadziwiającą szybkością, jak na ludzi tak solidnej postury. Ci, którzy nie mieli wiosła, odskoczyli w bok, unikając rozpostartych szponów i łapali napastników za nogi zaciskając palce w żelaznym uchwycie. Lżejsze od nich bestie nie umiały wyrwać się ludziom. Ściągnięte na ziemię szamotoły się i wierzgały nogami, usiłując dziobami dostać twarzą swych wrogów, kalecząc niekiedy oliwkowe ciała.

Krzepki Ganak, stojący na prawo od Conana, stał się z dwoma ptakami. Wiosło mężczyzny przeszło jedno atakujące stworzenie, ale on sam nie zdołał usunąć się przed atakiem drugiego. Kezatja zatopiła swoje straszne szpony w twarzy wojownika i powaliła na ziemię. Zerwała mu skórę z głowy i wydłubała oczy. Mężczyzna próbował bronić się na oślep, ale Kezatja zatopiła dziób w jego brzuchu. Jednym szarpnięciem najeżony zębami dziób rozerwał ofiarę, wypruwając wnętrzności.

Rozwścieczony bestialstwem ptaka Conan rzucił się w jego stronę. Zakręcił mieczem nad głową i ciął okrutnie. Ostra stal trafiła w korpus zwierzęcia, rozcinając go na połowy, które runęły na ziemię.

Rozpruty Ganak, który, co niezwykle, wciąż oddychał, podniósł głowę w górę i uśmiechnął nieznacznie do barbarzyńcy, po czym opadł na piach. Conan spojrzał na rozerwany brzuch człowieka, otwarta rana była tak głęboka, że widać było kręgosłup. Kezatjom drogo przyjdzie zapłacić za śmierć tego wojownika — pomyślał.

Nurkujące dzioby, napierające szpony wypełniły przestrzeń nad Cymmerianinem, dając mu świetną okazję, by zrealizował swój zamiar. Ostrze jego miecza niczym błyskawica przecięło powietrze i ptasia głowa spadła pod jego stopy. Nagle fala Kezatij wycofała się, unosząc znów ku niebu. Przygotowywały się do następnego ataku. W czasie przerwy wszyscy Ganakowie trzymali swe wiosła oparte o ziemię z wyjątkiem białowłosego, najstarszego mężczyzny, który z poszarzałą twarzą patrzył na Conana. Inni nerwowo odwracali oczy od Cymmerianina, jakby bali się spojrzeć mu w twarz. — Kulunga... — wyszeptał olbrzymi wojownik, a Conan zauważył, że wzrok przestraszonego mężczyzny skierowany jest na miecz, a nie na niego samego. Krew Kezatij, rzadka i purpurowa skapywała z lśniącego ostrza.

Conan chciał przemówić, ale nagły wrzask spadających znów Kezatij zagłuszyłby jego słowa. Cymmerianin nastawił miecz, by zmierzyć się z drugą falą podniebnych ohydnych napastników. Rozglądając się zliczył pięciu Ganaków, którzy nie mogli dalej walczyć, ale martwych Kezatij leżało przynajmniej ze trzydzieści. Wiosła—włącznie zebrały swoje żniwo.

Trzydzieści trupów nieznacznie uszczupliło krzywodziobą, krwiożerczą armię. Conan zdecydowany walczyć do końca i dopaść tyle podłych stworzeń, ile mu się tylko uda, naprężył swoje ramiona, rozstawiając nogi tak, by mógł się poruszać szybciej i zwinniej. Kilka kroków dalej Ganak, który przemawiał przed bitwą, podniósł wiosło jednego z zabitych i skierował jego ostry koniec w kierunku nadlatujących rozwrzeszczanych stworzeń.

Conan spojrzał prosto w oczy sępa—olbrzyma, zanim rozciął go jednym uderzeniem na dwie części. Trzy inne bestie rzuciły się równocześnie w jego stronę, wyciągając szpony jak małe sztylety i rozdziawiając dzioby. Cymmerianin próbował odskoczyć, by ominąć dwa nadlatujące ptaki, a zaatakować trzeciego, lecz potknął się o czaszkę leżącą na ziemi i rąbnął mieczem na oślep, trafiając jednego ptaka. Dwa pozostałe zaskrzeczały triumfalnie, wyciągając pośpiesznie głowy w stronę nieosłoniętego ciała Conana.

Cymmerianin usłyszał nad sobą świst, gdy białowłosy Ganak wiosłem przeciął w powietrzu drogę Kezatij. Powstrzymał jednego ptaka, drugiego trafił i połamał mu skrzydło.

Dzielnie dzierząc wiosło Ganak trzepnął Kezatję płaskim końcem na tyle mocno, by zmiażdżyć jej grubą czaszkę. Drugi, niezdolny do lotu, ptak wrzasnął ohydnie, opuścił skrzydła i na swych wykrzywionych nogach skoczył na leżącego Cymmerianina.

Conan pchnął mieczem i skutecznie powstrzymał napastnika, przekłuwając mu brzuch. Skoczył na nogi i dobił stworzenie jednym ciosem, gdy poczuł, jak coś ostrego wbija mu się w kark. Gwałtowny ból szarpnął nim, kiedy wielki ptak wyrwał mu pęk włosów z głowy. Za plecami usłyszał tępy klekot dzioba.

Obracając się na pięcie machnął mieczem i udaremnił kolejną próbę ataku. Stał przedarła się przez twardy dziób i odcięła czubek mięsistego łba. Lecz coraz więcej drapieżnych

ptaków zlatywało na niego z góry, niczym deszcz czerwonopiórych demonów z najbardziej plugawych piekielnych obłoków. Conan sieknął kolejną bestię i błyskawicznie odwrócił się, by przerwać napaść następnej.

Podejrzewał, że szturm z powietrza był przemyślaną taktyką. Przebiegłe umysły kryły się w tych sępich głowach. Stworzenia cały czas zmuszały barbarzyńcę, by zmieniał położenie i kręcił się wkoło. Dwa lub trzy ptaki skupiały się na nim i skłaniały, żeby pośpiesznie się przesuwał, inaczej wbijałyby dzioby w jego kark. Śmiercionośna chmura unosiła się wciąż w pobliżu, odciągając go od sterty martwych ciał i spychając na brzeg wody.

Kilka kroków obok długowłosey Ganak zwinnie wywijał wiośłem, powalając Kezatje na ziemię i przekłuwając ostrą muszlą te, które dźwigały się z piachu zbyt wolno. Cymmerianin nie mógł pozwolić sobie na to, by zerknąć na pozostałych Ganaków — grad dżgających i szarpiących dziobów skupiał całą jego uwagę. Krew tryskała z licznych ran na jego twarzy, ramiona lśniły od potu. Czuł, że zaczyna się męczyć. Energia, jakiej dostarczyły orzechy kokosowe, szybko pierzchała z zmęczonego ciała i miał jej coraz mniej. Jednak wrodzona żywotność Cymmerianina równała się żywotności dzikiej bestii. Walczył dalej, nakazując ramionom, by nie wypuszczały broni i rąbały opierzone karki.

Conan zmienił taktykę. Zaczął wycofywać się znad brzegu w kierunku ganackiego wojownika. Jakby odgadując jego zamiary, ptaki starały się utrudnić mu wędrówkę po polu śmierci. Ale Ganak także zaczął przesuwać się w stronę Conana i w końcu spotkali się.

Walczyli wsparci o siebie plecami do czasu, aż rozmigotany horyzont jał pochłaniać czerwieniejące słońce. Gdy pierwsze oznaki nadchodzącej nocy naznaczyły niebo, skrzydłata armia przerwała napór. Stworzenia zataczając szerokie kręgi wzbily się nieco w powietrze, po czym skrzecząc znów opadły w dół.

Krótką przerwą pozwoliła Conanowi uzmysłowić sobie, jak bardzo jest wyczerpany.

Zmagał się ze sobą, starając ustać na nogach. Próbował czujnie odebrać kolejny szturm.

Rękojeść miecza była śliska, co utrudniało utrzymanie jej w dłoni. Resztką sił, a może samej silnej woli, palce miał cały czas kurczowo zaciśnięte na wilgotnej powierzchni. Kezatje mknęły z powrotem ku niemu. Conan wziął ciężki, głęboki oddech.

Skrzydlate bestie zniżyły swój lot po to tylko, by porwać ciała zabitych Ganaków. Uniosły się w górę i wkrótce zniknęły w zachodzącym słońcu. Gdy ich drażniące wrzaski zaczęły cichnąć, cudowna cisza zapadła na plaży. Gdzieś dookoła dochodziły tylko jęki rannych oraz głośny oddech barbarzyńcy szarpiący jego utrudzone płuca.

Wszędzie leżały ciała pokonanych Kezatij; wtem wysoki Ganak, który walczył do samego końca, odwrócił się do Cymmerianina i zginając nieco kolano pochylił się nad masą pierzastych trupów. Gdy przemówił ochryplym, zmęczonym głosem wyglądał jak podwładny kłękający przed królem. Conan był zaskoczony, a słowa mężczyzny były dla jego wycieńczonego umysłu zwykłym bełkotem. Krew i pot tłumiły jego zmysły. Conan wypuścił miecz z bezwładnej ręki, i jak długi runął wprost na przemawiającego Ganaka.

— Kulunga! — krzyknął zaskoczony Ganak, wyciągając ręce, by chwycić upadającego barbarzyńcę. Złapał go, dźwignął i zająztał w półprzymknięte oczy. Lecz wyczerpany Conan zwiślał bez czucia na rękach olbrzymiego starca i nie reagował na nic. Ganak odciągnął Conana od miejsca bitwy, ułożył na plaży i zaczął ochlapywać jego twarz morską wodą.

— Jesteś głupcem, Jukona — mężczyzna, który to powiedział, śmiał się, wycierając krew na swoim ciele pomalowanym w żółte trójkąty. Wbił swoje wiośło głęboko w warstwę ciał i podszedł do białowłosego Ganaka.

Jukona wstał z piachu i skrzyżował ręce, mięśnie na jego ramionach uwydatniły się jeszcze bardziej. — Drwij ze mnie, jeśli musisz, Ngomba. Lecz drwisz z niego — wskazał na Conana — a w wiosce będziesz musiał walczyć ze mną. — Uśmiechnął się lekko, lecz jego oczy były niczym czarne lustra lśniące lodu.

Ngomba wzruszył ramionami, a na jego usta powrócił drwiący uśmiech. — To nie Kulunga, starcze. Kulunga jest szeptem, który żyje na wargach i w umysłach marzycieli i głupców. A ja nie jestem żadnym z nich. — Westchnął, otarł pot i krew z twarzy i spojrzał na garstkę poranionych i wyczerpanych Ganaków, ślaniających się na nogach. Łącznie z Jukoną i Ngombą z trzydziestu wojowników ocalało jedynie siedmiu.

Jukona odezwał się ponownie, ale tym razem nuta wątpliwości pojawiła się w jego głosie.

— Jeśli on nie jest Kulunga, to z całą pewnością Kulunga go przysłał. W walce używał atnalagi. To dziwne, że jest taki mały, ale na Muhingo, nigdy jeszcze żaden nasz wojownik — nawet ty, Ngomba — nie zabił tak wielu Kezatij! Ngomba zachmurzył się. — Noc jest jeszcze młoda. Jukona marszcząc brwi przypatrywał się Conanowi. — Nie możemy go zostawić tutaj. Kezatje wrócą o świcie, by zebrać padlinę. Musimy zabrać przybysza do Ganaku.

Ngomba spojrzął na starca obojętnie. — Jeśli uważasz, że to konieczne. Mamy jeszcze coś do zrobienia, zanim wrócą Kezatje. Trzeba oderwać ich głowy, by ich duchy nie nawiedzały tego miejsca.

Jukona przytaknął i zwrócił się do kilku ocalałych wojowników. — Ja zaopiekuję się przybyszem. Po powrocie czeka nas wielka uczta! Na Muhingo, zwyciężyliśmy Kezatje! Przez wiele księżyców nie będą śmiały napadać na nas. Obyśmy już nigdy więcej nie musieli oglądać wybrzeża czaszek!

— Obyś miał rację, starcze — odrzekł Ngomba. — Tylko że zbyt wiele ich po dzisiejszej walce ocalało. Jesteś jak głaz, Jukona, jeśli zapadniesz tej nocy w sen. Ja z otwartymi oczyma zamierzam unosić się na falach niepewności.

Przez chwilę grymas zniecierpliwienia pojawił się na twarzy Jukona, ale nie powiedział więcej ani słowa.

Wkrótce dołączyło do nich pięciu pozostałych wojowników. Bez słowa stanęli, czekając na instrukcje Jukony. Byli poranieni, mieli poszarpaną skórę, skrwawione głowy. Poważniej rannych zabrali Kezatje. Jukona i Ngomba zdawali się już nie przejmować tym, co się stało w ciągu tej bitwy, która ciągnęła się tego popołudnia. Reszta wojowników powłócząc nogami, posępnie kręcili się w pobliżu. Strata tak wielu współplemieńców odarła ich zwycięstwo z radości. Zgodnie z poleceniem Jukony, umieścili Conana na jednej ze swoich łodzi.

— Będę wiosłował z przodu — rzucił stary Ganak. — Pomja, ty będziesz pilnował, by przybysz nie wyleciał z łodzi. Bunoab, ty będziesz wiosłował z tyłu.

Ngomba wpatrywał się w ziemię, gdzie leżał miecz Conana. Pochylił się i sięgnął po niego.

— Ngomba, nie! — wykrzyknął Jukona i skoczył w kierunku młodego Ganaka.

— Niby czemu? — spytał młodzieniec, ale ręka jego zawisła tuż nad rękojeścią.

— Jedynie Kulunga, lub jego wybraniec mogą dotykać atnalagi. . Czy chcesz ściągnąć na nas gniew Muhingo? Zostaw to, powiadam!

Ngomba jednak ujął miecz potężną ręką, która swobodnie mogłaby władać orężem dwa razy większym, niż miecz Conana. Jukona cofnął się, osłaniając ręką twarz. Pięciu Ganaków otworzyło szeroko oczy. Mamrocząc coś, mężczyźni padli na piach. Ngomba niezdarne trzymał miecz, ważąc go w dłoni. — Co mówisz, Jukona? — parsknął — jedynie Kulunga, lub jego wybraniec?

Jukona patrzył na niego z niedowierzaniem. Ngomba wzniosł skrwawione ostrze nad głowę i wskazał nim zachodzące słońce.

— Do łodzi! Ja, wybraniec Kulungi poprowadzę was do domu. — jego głos, choć wyczuwało się w nim kpinę, był głosem człowieka, który nie zniesie sprzeciwu.

Ganakowie podnieśli się z ziemi i przygotowali swe łodzie do drogi. — Co z nim? — niepewnie, jakby błagalnie spytał Jukona wskazując Cymmerianina, który leżał nieprzytomny. Ngomba przez chwilę patrzył w dal, zastanawiając się. Jego ciemne oczy załśniły, gdy spojrzął na Conana. — Zostanie tutaj. Wyrzucicie go! Niech tu leży. Kulunga ocali go... jeśli jest tego wart.

Jukona zacisnął zęby, ale nie sprzeciwił się Ngombie. Ganak wyjął Conana z łodzi, zataszczył go pod najbliższą palmę i posadził z plecami opartymi o pień. Gdy Ngomba nie patrzył w ich stronę, narysował coś pośpiesznie na piasku obok Cymmerianina. Gdy skończył, wstał i dołączył do reszty wojowników.

Liczba łodzi przekraczała liczbę wiosłarzy. Jedną wciągnęli na brzeg i ukryli w zaroślach razem z wiosłem. — Wrócimy tu po to — rzekł zupełnie niepotrzebnie Ngomba. Sprawiało mu przyjemność słuchanie swojego głosu, wydającego polecenia.

Ganakowie wpełznąli łodzie do wody, wsiedli do nich i zaczęli odpychać się od brzegu, zapierając o dno wiosłami. Pierwszy płynął Ngomba, za nim Jukona, Bunoab, Pomja i pozostali. Gdy znaleźli się na głębokiej wodzie, każdy usiadł pośrodku łodzi i zaczął wiosłować. Powoli oddalali się od krwawego wybrzeża czaszek. Gdy ostatnie promienie słońca rozpięchły się, Ganakowie zniknęli już za ciemniejącym horyzontem.

VIII

KU SERCU DŻUNGLI

Gdy Conan otworzył oczy, zastanawiał się przez chwilę, czy bitwa z Kezatjami odbyła się, czy była jedynie koszmarem. Ale w jasności poranka zobaczył dowód na to, że bój nie był wytworem jego pogrążonego we śnie umysłu. Przypomniawszy sobie, jak upadł stojąc twarzą w twarz ze starym wojownikiem. Gdzie teraz podziewali się Ganakowie? To oni musieli ułożyć go pod drzewem.

Noc bez koszmarów przywróciła mu trochę sił. Wciąż ścigało go wspomnienie tamtej jego przemiany i czuł, że nie wszystko z jego głową jest w porządku. Stałe nawroty nienaturalnie głębokiego snu były niepokojące. Nawet po ciężkiej walce jego drzemka powinna być tak lekka, jak spoczynek pantery. Pragnął zgłębić istotę podłej klątwy szamana, albo jeszcze lepiej — przerwać jej działanie. Z tym problemem nie bardzo umiał uporać się. Instynktownie sięgnął po miecz, ale okazało się, że broń zniknęła. To go zdenerowało. Wstał i rozejrzał się dookoła, by zobaczyć, czy Ganakowie są gdzieś obok, może zatopieni we śnie. Ale otaczała go tajemnicza cisza i intuicja mówiła mu, że znów był na tej wyspie całkiem sam. Zamierzał ruszyć się stąd, zrobił pierwszy krok i natychmiast cofnął stopę. W ostatniej chwili zauważył rysunek na piasku.

Ślady dużych stóp obok mówiły mu, że znaki musiał narysować któryś z Ganaków. Od nierównego półksiężyca — domyślił się, że oznaczającego wyspę — odchodziła strzałka. Obok czubka strzałki były wypisane różne symbole. Strzałka wskazywała coś, co — prawdopodobnie mogło — być drugą wyspą, znacznie większą od tej. Wzdłuż krawędzi wyspy naniesione zostały jakieś małe kółka, a mniej więcej w środku anonimowy artysta narysował kształt miecza.

— Na brodę Belial! — zaklął barbarzyńca i z wściekłością kopnął piach obok niejasnej mapy, prawie zacierając rysunek. Ci Ganakowie pięknie okazują swą wdzięczność za jego pomoc w walce. Niewątpliwie te dziwne symbole wyjaśniały wszystko, lecz dla Cymmerianina były tak samo niezrozumiałe, jak magiczne runy khitańskich czarowników. Przygnębiony przyglądał się im długo, by je zapamiętać na później, jak gdyby upływ czasu mógł nasycić je znaczeniami.

Wreszcie zniechęcony dał za wygraną i ruszył naprzód. Poranne słońce oświetlało ślady ludzkie. Idąc po nich ku zaroślom znalazł w gąszczu kilka wiosła i łódź. Może chcieli, by sam powiosłował na drugą wyspę, może spotkali już takich jak on — Kulunga? — którzy przybywali do nich z tej wyspy, na której on się teraz znajdował. Jakiegokolwiek były przyczyny pozostawienia go, kurs, jaki miał teraz obrać, był oczywisty.

Wspiął się na pobliskie drzewo i strącił trochę orzechów. Łapczywie wychłęptał mleko i zjadł miąższ, po czym natychmiast zabrał się do przeciągania łodzi na brzeg. Przed wyruszeniem odtwarzał w pamięci kontury wysp przedstawione na rysunku. Miał nadzieję, że ta duża wyspa, której się jedynie domyśla nie jest zbyt odległa.

Łódź ganacka była dość prosta w obsłudze, choć przystosowana dla wiosłarza o większej posturze, niż Cymmerianin. Conan skrócił sobie wiosło, by łatwiej mu było nim pracować. Wkrótce rytmicznymi uderzeniami wiosłował popychając łódź poprzez spokojne fale. Za kilka chwil plaża była już daleko. Nagle niepokojące myśli zaświtały w głowie wojownika, że aż przerwał wiosłowanie. Uświadomił sobie, że nie wie, co się stało z ciałami sępów. Nie mógł przypomnieć sobie, by je widział po obudzeniu się — jedynie głowy porzucane były po całej plaży. Czy Ganakowie odcięli głowy od korpusów i wszystkie korpusy wrzucili do oceanu? Conan przemierzył wzdłuż i wszerz wiele krain i spotykał się z różnego rodzaju dziwactwami, z niesamowitymi czy odrażającymi obyczajami. Choć mało znał Ganaków, to po tym, co tu widział, zaliczył ich do jednych z najniezwyklejszych ludzi, z jakimi się zetknął. Pokręcił głową i próbował nie rozmyślać dalej nad zagadką tych trupich głów. Teraz pochylił się mocniej nad wiosłem, pragnąc jak najszybciej znaleźć się daleko od wybrzeża. Szybko pracował wiosłem uderzając w wodę tak silnie, że muskuły chodziły pod jego opaloną skórą.

Zanim słońce znalazło się w zenicie, majaczył przed nim cel podróży. Zadowolony, że upłynęła szybko i spokojnie, zwolnił tempo.

Usadził się nieco wygodniej i obserwował zbliżającą się linię brzegową. Ogarniające go podniecenie, odeгнаło zmęczenie.

Ta wyspa zdawała się bardziej obiecująca, niż poprzednia. Ciemnozielona dżungla pokrywała większą część nierównego wybrzeża, przechodząc w zwartą ścianę gęstej roślinności w centralnej części wyspy. Kilka sprawnych ruchów wiosła zaniósło go w pobliże białej plaży. Mewy i kraby łączyły sobie pośród zielonych chwastów różowych muszli. Delikatny szum oceanu i głosy morskiego ptactwa łączyły się z pluskiem wody pod uderzeniami wiosła Conana. Ta wyspa wyglądała zdrowo i naturalnie. Bardziej odpowiadała wojownikowi to, co tu znajdował, niż wrogość kryjąca się w ciszy zalegającej na plaży, którą zostawił za sobą.

Na pewno ten kawałek lądu był większy, niż poprzedni. Na pierwszy rzut oka nie wydawał się tak rozległy, lecz gdy barbarzyńca podpłynął bliżej, rozmiary wyspy stały się oczywiste. Oceniał, że jest sześć, może siedem razy większa, niż ta o kształcie półksiężyca. Tutaj dżungla rozciągała się wszędzie, gdzie sięgnął wzrokiem. Plaża pięła się lekko do góry,

ustępując miejsca krzewom na wysokość człowieka, które dalej mieszały się z paprociami i drzewami obrośniętymi pnączami. Wiele tych drzew wyrastało na imponującą wysokość, wyższe niż te, które Conan widział w Kush — lub nawet te, rosnące na niedostępnych, groźnych brzegach rzeki Zarkheba, gdzie nie żył żaden człowiek, od czasu zatonięcia Atlantydy.

W istocie ta ziemia miała tak samo pierwotny charakter, jakim przeniknięte były lądy na południe od Kush. Conan szczerze wątpił, by jakiś kartograf kiedykolwiek nanosił tę wyspę na mapę.

Kierując łódź do miejsca oznaczonego na mapie wyrysowanej w piasku, Conan szukał na plaży śladów życia. Z wyjątkiem długonogich ptaków, pełzających wszędzie krabów, nie widział żadnych oznak życia. Dżungla na pewno skrywała stworzenia wszelkiego rodzaju, a Conan nie chciał tracić nadziei na odnalezienie szlaku prowadzącego na kontynent. Ganak narysował mapę z jakiegoś powodu, który Cymmerianin zamierzał zbadać.

Gdy woda była już dość płytka, wyskoczył z łodzi. Rozkoszował się skałą i piachem pod stopami. Spokojna zatoka obfitowała w małe ryby, które miały się i pierzchały spod nóg Conana. Obserwował czujnie czystą wodę, spodziewał się niebezpieczeństw, czyhających gdzieś w pobliżu. Zdarzyło mu się, że nadepnął na dużą skałę, ale poczuł, że coś się rusza pod stopami. Conął się i dźwignął w górę, chwytając się łodzi. To, na co stąpnął, nie było skałą, lecz skorupą olbrzymiego głowonoga, tak wielkiego, że mógłby z łatwością pokonać na raz połowę Conana. Toporne szczytce mieszały się z kolorem piasku i skały i były niedostrzegalne, nawet dla bystrego oka Cymmerianina. Na szczęście, gdy ruszyły się, wzburzyły wodę i Conan w samą porę to zauważył. Nigdy nie widział mięczaka tak ogromnych rozmiarów. Najwyraźniej zwierzę czekało na jakąś ofiarę, żeby się jeszcze podtuczyć. Conan wskoczył do łodzi i pozostał w niej jakiś czas.

Żałował, że nie ma przy sobie miecza. Pozbawiony broni, z ciałem nieosłoniętym, uzbrojony był jedynie w spryt, siłę i instynkt. Dzięki tym cechom, wygrał niejedno starcie w przeszłości i one będą musiały wybawić go z obecnych tarapatów. Mamrocząc przekleństwa, powtarzał sobie, że winien wyostrzać zmysły i baczniej uważać, inaczej ta wyspa może stać się jego grobem.

Wyciągając łódź na brzeg, rzucał uważne spojrzenia w stronę kołyszącej się równo szmaragdowej dżungli. Zalane słonecznymi promieniami liście palm szeleściły delikatnie w gorącej, morskiej bryzie, kusząc cieniem chroniącym przed rozpalonym słońcem.

Barbarzyńca zignorował to zaproszenie. Zostawił łódź na niewielkim, piaszczystym wzniesieniu, prowadzącym prosto pod drzewa. Wiosło zabrał ze sobą. Walka kijem była sztuką uprawianą na Wschodzie, która raczej nie odpowiadała Conanowi, poza tym taka broń miała ograniczone użycie w walce wręcz. Ale to, ostro zakończone wiosło mogło okazać się przydatne.

Cymmerianin przyglądał się uważnie plaży, szukając śladów, któreby mogli iść ludzie. Nie znalazł nic, lecz zauważył, że dżungla nieco przerzedza się w miejscu, które zostało zaznaczone na ganackiej mapie. Przywołując w pamięci jej obraz, przypomniał sobie jeden szczegół — kółko z jakimś znakiem w środku. Mogło to oznaczać niebezpieczeństwo, choćby ostrzeżenie przed jakimś mięczakiem—olbrzymem... Marszcząc brwi, usiłował przywołać inne symbole, było ich około tuzina rozsianych po całej mapie.

Gdy szedł do miejsca, gdzie dżungla się przerzedzała, zauważył, że biały piasek staje się coraz bardziej wilgotny, a jego biel zmienia się w kolor kości słoniowej. Trawa zaczynała gęściej porastać ziemię, wreszcie tworzy ciemny dywan, kryjący podmokły grunt. Pomimo łagodnego wiatru, słodkawy odór bagiennej zgnilizny unosił się w powietrzu.

Na odległość rzutu włóczni przed Conanem pojawiło się siedem ganackich łodzi. Ruszył ku nim przez błoto, w które zapadał się aż po kostki. Ciężkie chmary granatowych much unosiły się w pobliżu łodzi, prawdopodobnie zwabione tłustymi plamami zaschniętej krwi na deskach. Kezatje zostawiły swoje piętno na Ganakach, którzy przeżyli.

Conan zatrzymał się na chwilę i drapiąc w głowę zastanawiał się, jaką drogą mogli pójść Ganakowie po zostawieniu w tym miejscu łodzi. Głębiej ku sercu lądu, murawa stawała się bagnem pełnym trzciny i pnaczy mieszających się i płaczących z pozostałą roślinnością dżungli. Conan świetnie potrafił tropić, ale nawet piktyjski zwiadowca nie mógłby odnaleźć śladów w tej splecionej, rozrastającej się wszędzie zieleni.

Conan uparcie sprawdzał łodzie, a następnie teren, by znaleźć nawet najbardziej ulotny znak. Na pewno w jakiejś niezbyt wielkiej odległości musi być położona wioska. Jeżeli tak, to nie może znajdować się w pobliżu tego bagniska. Jego bystre oczy nie odnalazły żadnych śladów w tym gąbczastym gruncie, bo tam, gdzie stąpnął, gliniaste podłoże wypełniało się natychmiast wodą i unosiło powoli z powrotem, zacierając ślad stopy.

Moore Sean U - Conan i kłątwa szamana

Opędzając się od uprzykrzonej muchy, która przyczepiła się do jego łydki, Conan zauważył jakiś jasny przedmiot nieopodal jednej łodzi. Muszla z naszyjnika starego Ganaka! Podniósł ją, dziwiąc się, że jest tak delikatna i lekka. Taka błyskotka miałaby niezłą cenę na targowiskach miast śródlądowych.

Zastanawiał się, czy to przypadek, że leżała, gdzie leżała, czy też została upuszczona celowo. Wybierając drugą możliwość, schował czerwony przedmiot w dłoni i udał się w kierunku, który wskazywał zwężający się czubek muszli. Następnie znalazł trzydzieści kroków dalej, ta była w kształcie klina, w kolorze purpury. Więc jednak stary wojownik znaczył drogę. Na tę myśl blado się uśmiechnął i począł kroczyć dalej ścieżką rozdzielającą bagnisko i ścianę drzew. Dróżka wiła się pośród coraz gęściej rosnących drzew; w końcu pnie przesłoniły niemal całkiem oddalający się ocean.

Ptasi zgiew i brzęczenie owadów wypełniło las. Towarzyszyły mu gryzące muchy i roje moskitów. Drażniło go to, ale czujnie nasłuchiwał innych dźwięków, które mogłyby ostrzec go przed bardziej niebezpiecznymi mieszkańcami dziewiczej puszczy. Nie słyszał ujadania małp, zwierzęcych skowytów, ani ryków drapieżników. Nieobecność tych dźwięków nie była szczególnie uspokajająca. Tam, gdzie są ptaki, są też czające się drapieżniki. Uważał na węże leżące w liściach przy ścieżce, ominął kilka wiszących lian, z charakterystycznymi ornamentami — podobnymi do oczu lub łusek.

Roślinność, dzięki wilgotnej glebie był niezwykle bujna i w tysiącach odmian zieleni.

Liście w kolorze szmaragdów na czarnym aksamicie, gdzieś liście jaśniejących drzew cytrynowych. Wszędzie rosły kwiaty o niepowtarzalnych kształtach i nadzwyczajnych barwach. Conan starał się omijać je, nie dotykając płatków. Wiedział, że takie piękno często skrywa śmiertelną truciznę. Ich aromaty układały się w bukiet — od lekkiej słodczy, jak subtelne perfumy, do najbardziej ostrej goryczy. Starał się nie wdychać powietrza nasyconego tymi intensywnymi zapachami, na ile to było możliwe. Wiele drzew pochylało się pod ciężarem owoców. Musiał bez przerwy tłumić w sobie pragnienie zerwania ich i skosztowania.

Conan musiał teraz zwolnić, by przyzwyczać się do szarzejącego światła. Spojrzał w górę i na twarzy pojawił mu się posępny grymas. Łagodna bryza przechodziła w porywisty wiatr, a po ciemniejącym niebie przetaczały się ciężkie chmury. Kilka chwil później rozpętała się burza, wichur zawył wśród drzew, i z niebios runęła ulewa. Krople cięży skórę Conana z siłą, która powodowała przykre wrażenie użądleń. — Na zęby Cromo! — rzucił przekleństwo w stronę niesamowitych obłoków, po czym skoczył pod szeroki, omszały pień ogromnego drzewa.

Ostonięty od wiatru i nawałnicy, patrzył z przerażeniem, jak płytka woda stopniowo podnosi się powyżej jego kostek, zmieszana z błotem i szlamem. Cymmerianin zdał sobie sprawę, że strumienie wody zatrą szlak wyłożony muszlami. Potrząsając ze złością zmokniętą głową, oparł się o miękką korę drzewa. Deszcz przynajmniej rozproszył roje owadów. W jednej dłoni ścisnął garść muszli, w drugiej trzymał wiosło i stał oparty o pień potężnego drzewa, czekając na koniec burzy.

IX

WYRZUTEK

— Ujrzyście wybrańca Kulungi! — obwieścił Ngomba, wywijając mieczem przed tłumem wytrzeszczających oczy Ganaków.

W świetle poranka dumny, muskularny wojownik stał na szczycie pagórka usypanego z wysuszonego błota, wznosząc miecz, który skrzył się w słońcu. W pewnej odległości od tego miejsca rosła dżungla, jak zielony mur, a sam pagórek w centrum polany, na której zebrali się Ganakowie, otaczały zarośla wysokich traw. Teren sąsiedował z wioską Ganaków, założoną wiele pokoleń wcześniej przez przodków Ngomby.

U podnóża pagórka stało pięciu wyniosłych acz wyglądających na zmęczonych Ganaków i spoglądali na tłum mężczyzn, kobiet i dzieci. Rzesza wysokich, ciemnoskórych współplemieńców z uwagą słuchała słów Ngomby. Za nimi, dwudziestu jeden starców siedziało na długich ławach, zmontowanych z prostych pni ustawionych tak, by tworzyły trójkąt wokół podwyższenia.

Starcy siedzieli nieruchomo, wyglądali jak wyrzeźbieni z drewna takiego jak ławki pod nimi. Ich pomarszczone twarze nie zdradzały żadnych emocji — usta ani się nie śmiały, ani nie wyrażały gniewu. Ciemne oczy, skupione na Ngombie, lśniły niczym czarne perły.

Większa część plemiennej starszyny miała na sobie krótkie spódniczki z białych i czarnych muszli, tak sprytnie nanizanych i połączonych, że tworzyły ciężki ale elastyczny materiał na

okrycie. Barwne wzory pokrywały ich ciała, podobne do tych noszonych przez Ngombę, lecz z przewagą koloru pomarańczowego czy bursztynowego niż żółtego. Wielu nie miało żadnych ozdób, ale za to wszyscy starcy zapuścili długie kosmyki włosów, sięgające — gdy siedzieli — aż do ziemi.

Ngomba przemówił ponownie. — Jukona, czy podejmiesz moje wyzwanie? Czy też ustąpisz przed wybrańcem? — spytał szyderczo. Jukona pozostawał poza trójkątem wyznaczonym przez ławy, stał z rękoma spoczywającymi na biodrach.

Wreszcie prostując się Jukona odpowiedział tak donośnym głosem, że musiał zagrzemieć jak piorun w uszach słuchaczy. — Nie jesteś wybrańcem. Wybrańcowi Kulungi ukradłeś atnalagę i nie nadajesz się na wodza wojowników.

Wśród zebranych dało się słyszeć pomruk. Jukona poczekał aż szmer ucichnie i założywszy ręce na piersi, spojrzał srogo na rzucającego wyzwanie. — Ja jestem gotowy. A ty? Wojownicy u podnóża pagórka zaczęli szeptać między sobą w podekscytowaniu, kobiety usilnie starały się uspokoić niesforne dzieci. Uwagę wszystkich odwrócił od Jukony jeden z członków starszyny, który dźwignął się z ławki. — Nie! — zagrzemiał. Jego głos był silniejszy niż głos Jukony.

Zapanowała cisza; nawet dzieci przestały baraszkować. Starzec, który wstał, był postury jeszcze potężniejszej niż Jukona. Gdy się podnosił, zagrzecotała jego spódniczka z lśniących czarnych muszli. Hebanowy naszyjnik rozłożył się równo na jego torsie, a splot długich włosów zakotyłał się na lekkim wietrze, jak srebrzysta lina. — Nie będzie pojedynku. Po trzykroć Jukona dowiódł swej wartości, a teraz poprowadził wojowników do zwycięstwa. Ngomba, musisz złożyć tę broń. Nie jest twoja, byś mógł ją dźwżyć. Ten, który walczył u twego boku, jest przyjacielem Ganaków — źle postąpiłeś pozostawiając go. Dość już, Ngomba, usłyszeliśmy. Teraz zejdź na dół. To, że trzymasz atnalagę nie czyni cię wybrańcem. Jeśli ty jesteś tym, który uwolnić ma nas od naszego pradawnego wroga, to nie najlepiej byłoby wybrać cię na wodza wojowników.

Skonfundowany Ngomba opuścił miecz, lecz pozostał na pagórku. Zaciskając zęby, wbił ostrze w twarde, zaschnięte błoto, zagrzebując je głęboko, aż po rękajeść. — Usłucham twych słów, Y'Taba, Przewodniku Duchowy.

Ogromny Ganak ruszył w stronę pagórka i tłum rozstał się przed nim. — Jesteś młody, Ngomba, i słabo znasz legendę o Kulundze. Nawet Jukona być może zapomniał wiele z tego co wiemy o wybrańcu Muhingo. — Wyciągnął dłoń w stronę młodego wojownika. —

Ngomba, zejdź na dół, bym mógł podzielić się opowieścią ze wszystkimi.

Y'Taba poczekał aż młodzieniec dołączy do reszty słuchaczy, po czym powoli wgramolił się na pagórek. Z wprawą doświadczonego mówcy spojrzał na zebranych. Głębokim głosem wypowiadał słowa które całkowicie pochłoneły uwagę zgromadzenia. — W minionych wiekach, nasi przodkowie walczyli między sobą, gdy wódz ich stracił życie. Wielu wojowników zginęło, gdyż kłócili się o wybór wodza i żaden z kolejno wybieranych nie odpowiadał ogółowi. — Ucichł, zamknął oczy, jakby chciał uczcić pamięć tych, którzy w zamierzczłej przeszłości oddali życie. — Wówczas Muhingo, Bóg Wojny, który przyjmuje poległych w swych chmurnych krainach, zstąpił do Ganaku. I zapłakał, bowiem bracia mordowali braci, a siostry mordowały siostry, i krwawe łyż Muhingo spadły na ziemię, przez co teraz nasza gleba jest czerwona. Potem Bóg Wojny polecił Y'Tabie sprowadzić wszystkich ocalałych Ganaków na plac zebrań — gdzie się dziś zgromadziliśmy. Lecz serce Y'Taby przepełniło się bólem, bo znalazł tylko jednego żywego wojownika, mądrego mężczyznę o imieniu Kulunga. Większość z naszych została wybita. Jedynie bardzo młodzi i bardzo starzy przeżyli tę głupią wojnę. Muhingo zapytał Kulungę, czemu nie walczył ze swymi braćmi. Mądry wojownik odrzekł: „Nasi skrzydlaci wrogowie zbliżają się, Władco Wojny, Muhingo. Widzę jak nadciągają z daleka i jeśli będziemy bić się między sobą, na pewno zgładzą nas”. Ludzie zobaczyli, że mówi prawdę, bo horda Kezatij zamajaczył na nieboskłonie. Zadrżeli w obliczu pewnej śmierci, niesionej na skrzydłach dzieci zła. Zaczęli błagać Muhingo o litość i prosić, by ich obronił. I odrzekł im: „Muhingo nie może uratować was przed dziećmi złego brata Ezata. Zgubiło was wasze szaleństwo... chyba że Kulunga jest w stanie powstrzymać mordercze bestie. Twoje serce jest czyste, Kulunga. Czy staniesz przeciw nim?” — Kulunga przyjął wyzwanie i Muhingo ucieszył się. Z kamienia, w którym zamieszkiwały dziwne duchy, zrobił potężną broń: atnalagę. Wręczył ją Kulundze, który stanął samotnie do walki z Kezatjami. Tego wielkiego dnia, jeden człowiek uratował całe plemię, jako że nasi wrogowie nie mogli oprzeć się atnaladze. Tak Kulunga został wodzem wojowników. Zanim odszedł na mroczne łądy, w mądrości swojej dał nam obyczaj zwany Ghanuta, dzięki któremu wybieramy teraz naszych wodzów. Muhingo zabrał Kulungę i atnalagę. Przyrzekł Y'Tabie, że jeśli Ganakowie znów będą zagrożeni przez Kezatję, Kulunga wybierze jednego wojownika i

przekáže mu atnalagę.

Y'Taba uśmiechnął się. — To jeszcze nie dzisiaj, gdyż Jukona i nasi wojownicy zwyciężyli dzieci Ezata. A to — uniósł ostrze ku niebu — nie jest zrobione jak broń opisana w naszych legendach. Jest zbyt prosta, choć barwa i sposób używania są podobne. To nie jest atnalaga. Musimy odszukać njeni i... — nagle poruszenie przerwało przemowę Y'Taby. Udekorowany muszlami starzec odwrócił się, by zobaczyć co się dzieje. Z pobliskich zarośli wybiegła grupka ganackich kobiet.

Choć nie tak wysokie, jak wojownicy, kobiety wyglądały na bardzo waleczne. Ich mięśnie były mocno rozbudowane, ich bieg miał lekkość biegu gazeli. Zaostrzone, duże muszle, przywodzące na myśl noże, trzymały zatknięte za przepaski z węzowej skóry. Każda niosła też zakończoną ostrym kawałkiem muszli, włócznię. Wszystkie miały długie włosy opadające na ramiona tylko z lewej strony głowy. Pot lśnił na ich nagich, jędrnych piersiach. Kolorowe spirale — wymalowane w odcieniach żółci i zieleni — pokrywały niemal całkowicie ich delikatną skórę.

Jedna z kobiet miała na sobie naszyjnik, podobny do naszyjnika Jukony. Na ciasno związanym włosiu umocowane były opalizujące muszle, rozdzielane miejscami przez kły węża. Ta kobieta odróżniała się od pozostałych, była niższa i drobniejsza, za to bardziej muskularna. Wszyscy ludzie z tego plemienia mieli ciemne oczy, ale oczy Sajary były koloru morza i skrzyły się niczym drogocenne kamienie. Jej twarz była tak doskonała, że wyglądała na tle innych kobiet, jak egzotyczna orchidea pośród traw.

Zbliżyła się do starego Ganaka stojącego na pagórku. Patrzył na nią z lekkim zaniepokojeniem, ręce oparł na biodrach.

— Wybacz, Y'Taba, Przewodniku Duchowy — rozpoczęła, nieco zasapana po biegu.

— To chyba pilne wieści, Sajaro? — Jego chłodny ton krył w sobie reprimendę za nieusprawiedliwione zamieszanie.

— W Ganaku jest obcy — wyjaśniła. — Nie jest Ganakiem. Niski i jasnoskóry, o oczach tak błękitnych, jak morze i włosach tu i tu... — dotknęła dłonią boków, przodu i tyłu swojej tysej głowy.

— Mężczyzna? — zapytał Y'Taba.

Uśmiechnęła się, a pozostałe kobiety zachichotały.

— Tak, ale bez żadnych znaków mówiących coś o jego pochodzeniu. — Jej usta z uśmiechu szybko zmieniły się w grymas smutku. — Widziałyśmy, jak wchodzi do Krainy Śmierci!

Y'Taba znieruchomiał i szeroko otworzył oczy. Ganacy wstrzymali oddech. Zrobiło się poruszenie wśród starszyny. — Więc jest zgubiony. Ngomba, czy widzisz teraz, jakie zło wyrządziłeś? Krew naszego przyjaciela jest na twych rękach. Jukona, do ciebie jako wodza wojowników, należało nie dopuścić do tego.

Jukona zwiesił głowę. — Ale, Przewodniku Duchowy, pokazałem przybyszowi drogę i rozrzuciłem muszle, tak by się nie zgubił... — przerwał, napotykając lodowate spojrzenie Y'Taby. — Przewodniku, przeklinam swą bezmyślność, lecz może on jeszcze żyje. Jest wyjątkowo silny, jak na kogoś takiej postury. Niech Kraina Śmierci weźmie moje życie, jeśli bogowie życzą sobie tego. Pójdę tam, by odszukać wojownika, który walczył razem ze mną na wyrzeżu kości. — Wielki ganacki wojownik zamknął dłonie w pięści i skrzyżował ręce na piersi. Ukloniwszy się lekko, począł odsuwać się od Y'Taby.

Ngomba jedynie zachmurzył się i zacisnął mocno wargi. Sajara spoglądała na mężczyznę zmieszana, a w oczach widać było pytanie.

Y'Taba nie zwracał na nią uwagi. — Jukona, wodzu wojowników, twą bezmyślność można wybaczyć, bo twoje serce jest szczere. Niech Muhingo prowadzi cię i przywiedzie z powrotem z Krainy Śmierci. Ale, Ngomba — spojrzał na zasępiętego młodzieńca, który wcale nie unikał jego wzroku. — Ngomba, co zrobisz z tobą? Jesteś olbrzymim, zdrowym drzewem, które rodzi gorzkie owoce. Poczuliśmy wyraźnie dość ich smak, a teraz je wyplujemy. Odejź! Zabierz jakąś łódź i opuść Ganaku. Niechaj Ataba, który potrafi wejrzeć w ludzkie serca, osądzi cię w swym miłosierdziu, gdy się spotkacie.

Y'Taba westchnął i odwrócił się od młodego wojownika. Wszyscy ze starszyny, nawet ci z wymalowanymi trójkątnymi symbolami, powstali z ławek i również odwrócili się od Ngomby. Ganakowie patrzyli na wyrzutka, niektórzy chłodno, inni ze współczuciem. Twarz Ngomby była z kamienia. Bez słowa, jak w transie, odsunął się od reszty wojowników i począł oddalać się od placu zebrań.

— Ngomba... — Sajara odezwała się nieśmiało pełnym bólu głosem. Młodzieniec odwrócił się. Ich oczy spotkały się na moment i dziewczyna spuściła wzrok.

Nie zobaczyła, jak łza spływa po jego policzku, by rozpuścić się w wilgotnej czerwonej

glinie u jego stóp. Powiedział tylko przez zęby. — Głupcy! Myślicie, że zwyciężyliśmy Kezacje? Od wieków stacamy z nimi potyczki na wybrzeżu kości, żeby nie niepokoiły nas tutaj. Ale pozostały ich setki — zbyt wiele! Wkrótce przybędą i zatopią wioskę Ganaków we krwi. — Pomachał mocno zaciśniętą pięścią w kierunku Y'Taby. — Przyjdzie dzień, że pożałujesz tego, stary głupcze... i dzień ten jest coraz bliżej.

Głos mu się załamał, wzrok padł na rękojeść, która wystawała z ziemi pagórka. Rzucił się ku wzniesieniu szybciej niż ktokolwiek mógł zareagować i wyrwał miecz z ziemi. Przedarł się przez tłum, roztrącając kobiety i dzieci, i „przeskoczył” przez długą ławę ogradzającą plac zebrani. Minął nieduży strumień i popędził ku drzewom. Gdy dotarł do ściany dżungli, wymamrotał do siebie pod nosem, czego Ganakowie już nie słyszeli. — Poszukam tego obcego w Krainie Śmierci. Odpowie mi za to, że uspił czujność moich ludzi i dał fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

Zacisnął dłoń na rękojeści miecza i spojrzał na swą twarz odbijającą się w lśniąącym ostrzu. — Bez tej broni jest niczym. Jeśli odnajdę go pierwszy, odeślę go bogom i oni będą decydować o jego losie. — Napiął wszystkie mięśnie i wkroczył sprężystym krokiem w gęstwinę, znikając z oczu mieszkańców wioski.

Wzburzeni Ganakowie szemrając odwrócili się znów do Y'Taby. Lekkie podmuchy południowego wiatru zaczęły narastać i wzmacniać się, chmury sunęły po niebie powoli przesłaniając słońce.

— Zapomnijcie o nim — polecił starzec swym ludziom, w jego głosie wyczuwało się zmęczenie. — Zebranie skończone. Trzeba nam uczcić zwycięstwo. Sajara, chodźmy dołączyć do twoich podopiecznych w miejscu uroczystości. Opowiem ci co zdarzyło się podczas twojej nieobecności,

Gdy mówił ostatnie słowa, ulewa rozpełtała się na dobre, krople miotane przez wiatr siekały zgromadzonych. Y'Taba stał jeszcze na pagórku nie zwracając uwagi na deszcz. Obserwował swoich ludzi, szukających schronienia pod czerwonymi dachami prostych, plecionych z trzciny chat.

Wielu Ganaków śpieszyło w stronę niskiego pomieszczenia, zbudowanego na kilku nierówno rozmieszczonych drzewach. W odróżnieniu od chat pomieszczenie skonstruowane było nie z trzciny, lecz z lekkiego materiału, w kolorze kości słoniowej, którego prosta powierzchnia była miejscami poszarpana. Za stoły służyły wielkie głązy. Zastawiono je gęsto różnobarwnymi owocami, miskami z muszli wypełnionymi sokami, płaskimi naczyniami, także z muszli, zawierającymi ryby najróżniejszych rozmiarów i kształtów.

Przewodnik Duchowy plemienia otoczył ramieniem Sajarę i zaprowadził ją do reszty Ganaków. Jeszcze po raz ostatni obejrzał się przez ramię i zatrzymał wzrok na zaroślach, w których zniknął Ngomba wraz z orężem obcego wojownika.

Woda spływała strugami po Conanie, jakby chciała zabrać resztki jego cierpliwości. Drzewa niezbyt dobrze chroniły przed ulewą, a gdy zniknęło całkowicie dzienne światło, Cymmerianin poczuł się jeszcze gorzej. Lepiej spędzać noc na plaży niż w dzikich chaszczach wilgotnej, rojącej się od wszelkich podłych stworzeń dżungli. Postanowił udać się przez las, w kierunku który dotychczas wytyczały muszle i zawrócić, gdyby nie znalazł żadnych śladów Ganaków. Może znajdzie jakieś pożywienie i zabije wzmagający się głód. Nigdy nie przepadał za takimi dusznymi, pełnymi robactwa miejscami. Teraz bardziej niż kiedykolwiek pragnął opuścić tę wyspę i odnaleźć drogę na kontynent — tam mógłby poszukać leku na po trzykroć przeklęty szamański czar. W czasie wszystkich dni najemniczego życia, o ile pamiętał, nigdy nie przytrafiło mu się tyle nieszczęsnych wypadków pod rząd. Bez swego miecza czuł się nagi. Trzy stopy wyostrzonej stali były wielkim dobrodziejstwem w chwilach takich jak ta. Wyjątkowo irytujące było zwłaszcza to, że stracił świetną broń, jak właśnie ta zabrana Khertetowi. Oczywiście, Conan widział, że gdy zajdzie potrzeba, potrafi walczyć gołymi rękoma. Zaciskając pięści otrząsnął się z ponurych rozmyślań i skoncentrował na otoczeniu.

Deszcz przegnał uciążliwe moskity i muchy, co więcej zacierał zapach człowieka chroniąc przed jakimiś leśnymi drapieżnikami. To było mu na rękę.

Przedzierając się przez gąszcz, ostrożnie ominął śpiącą żmiję, której zwinięty ogon był grubszy niż jego własne udo. Roślinność stawała się coraz bardziej gęsta, utrudniając przedzieranie się, aż w końcu nie mógł już iść dalej. Już wiedział, że na próżno byłoby szukać w tej okolicy jakiegokolwiek osady, więc wycofał się i zawrócił.

Conan spieszył się, na ile to było możliwe, żeby zdążyć jeszcze zobaczyć ślady własnych stóp. Deszcz ustawał i nagle przestał padać. Nikłe światło przeciskało się przez wielkie liście nad głową barbarzyńcy — bez wątpienia chmury się rozpierzchnyły. Zrobił następny krok i

spojrzał niepewnie. Przed nim, lekko na prawo przez dżunglę przebiegał szlak, tak słabo dostrzegalny, że pobieżny rzut oka mógłby go nie wyłowić z morza roślinności. Conan czujnie obserwował regularną, całkiem nawet szeroką dróżkę, częściowo zarośniętą, lecz z pewnością utworzoną ludzkimi dłońmi.

Ścieżka wyglądała na zaniedbaną, różne rośliny próbowały tu wtargnąć, lecz żadne drzewa ani krzewy nie rosły bezpośrednio na niej. Cymmerianin potarł dłonią swój policzek, był zły na siebie, że przedtem nie zauważył szlaku. Zapewne ten uporczywy deszcz zakrył go jeszcze bardziej.

Wszedł na ścieżkę bez wahania z nadzieją, że zaprowadzi do wioski Ganaków lub przynajmniej gdzieś, gdzie będzie mógł spędzić noc. Przedkładając pośpiech nad ostrożność, kroczył krętym szlakiem, w końcu tracąc orientację. Drzewa po obu stronach pięły się wciąż wyżej i wyżej i barbarzyńca doszedł do wniosku, że wijąca się jak wąż droga niesie go głęboko do serca dżungli.

Owady otoczyły go brzęczącą chmurą, gryzły i było ich wszędzie gęsto. Węże leżały wśród poszycia, co przypominało mu znów o nędznym losie, jaki gotował dla niego Khertet, chcąc zawieść go do Stygii. Na szczęście te stworzenia o rozdwojonych językach najwidoczniej czyhały na inne ofiary. Trzymał się od nich na bezpieczną odległość i żaden go nie atakował. Ptaki śpiewały w koronach drzew i chętnie słuchało się ich głosów. Któryś ze skrzydlatych mieszkańców lasu spłynął w dół ze swej wysokiej siedziby, porwał kilka małych węży i niosąc w dziobie łup, odleciał gdzieś, by móc się nimi w spokoju zająć.

Conana kusilo, by pożywić się jak ten ptak, ale mięso węża to była ostatnia rzecz, jaką by zjadł. Zobaczył zielonobrazowe owoce wielkości jabłka, zwisające z grubego pnącza ponad nim, które, gdyby podskoczył, mógłby zerwać. Gdy zastanawiał się, czy ich spróbować, wielki, szary ptak zręcznie zerwał jeden owoc, po czym usadowił się na pobliskiej gałęzi i zabrał się do jedzenia. Conan zdecydował się spróbować tego pożywienia. Ptaki przecież w naturalny, instynktowny sposób potrafią unikać trucizny.

Wziął rozbieg, podskoczył i zerwał jeden owoc, z tego samego pnącza, co ptak. Miał szorstką skórkę i dziwny smak, przypominający nieco niedojrzałe orzechy kokosowe. Conan wiedział, że jego żołądek chętnie wypełni się gorzkim miąższem, nasionami i gęstym mlekiem tego owocu. Nie czując już dojmującego głodu, zerwał jeszcze kilka sztuk i ruszył pośpiesznie przed siebie tym samym szlakiem. Zmartwił się spostrzegłszy, że światła, sączącego się przez korony drzew, ubywa.

Z pewnością przemierzył już połowę wyspy po tylu godzinach wędrówki. Pnącza zaczynały tarasować drogę i stopniowo, co dziwne, ptaków było coraz mniej, a owoców rosło coraz więcej.

Na zakręcie natrafił na zwisający, oplatany pnączem konar, który blokował przejście. Na nim skupiały się w ciężkich kiściach owoce. Kopnął zawalający drogę konar i kilka owoców pękło. Wysypały się z nich rozłażące się na wszystkie strony małe pająki.

Świeżo wyklute, bladozielone robactwo posypało się na ziemię w lśniących, zbitych kupkach. Niektóre spadły na Conana. Odskoczył z obrzydzeniem, rozgniatając na miążgę ich ciała na swej skórze. Targnęły nim nagłe mdłości. Opierając się o omszały pień grubego drzewa gwałtownie zwymiotował. Podniósł głowę w samą porę, by dostrzec jakies poruszenie.

Dokładnie nad nim, z grubego drzewa opuszczał się olbrzymi, ochrowy pająk. Był co najmniej dwa razy większy od Conana. Mdłe, zielone włosy pokrywały jego spaste cielsko, odwłok i kolczaste odnóża. Karmazynowe ślepie płonęły wrogością stworzenia, które wyteża swoje zmysły tylko w jednym celu... by wyssać życie z każdej ciepłokrwistej istoty, która pojawi się w zasięgu jego zakrzywionych, ociekających śliną szczęk.

— Na Baal i Pteora! — wymamrotał Conan. — Który to cuchnący kocioł piekielny wyrzucił z siebie to dziwaczne monstrum? — Ugiął nogi i odskoczył, by uciec przed tymi potwornymi kleszczami szczęk, zanim spadną na niego. Jakby przewidując ten ruch, złośliwa bestia rozciągnęła przednie odnóża i wyrzuciła sieć utkaną z perlistych nici. Skok wrzucił Conana prosto w objęcia pułapki. Błyskawicznie spowity w grube, śmierzące nici, barbarzyńca rzucał się, jak oszalały na wszystkie strony, za każdym razem o włos unikając atakującego pająka. Raz jeszcze pożałował, że nie ma miecza. Olbrzymi pająk okrecił się, by spojrzeć na Conana. Jego obrzmiały korpus uniósł się nieco, gdy schylił się ku swej już spętanej zdobyczy. Cymmerianin miotał się jeszcze, ale zaciskające się nici krępowały go skuteczniej, niż żelazne łańcuchy. Wyteżając się, aż żyły na skroniach pociemniały od nabiegłej krwi i gorąca krew zahuczała w jego głowie, nadludzkim wysiłkiem Conan wyswobodził swe ramiona. Pająk kłapnął szczęką i zacisnął ją na talii Cymmerianina tak mocno, że wojownikowi na długą chwilę zaparło dech. Dusząc się i wierzgając nogami,

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

barbarzyńca patrzył przerażony, jak z pustych w środku zębów bestii wycieka żółty śluz, sącząc się prosto w jego otwarte rany. Jak wiele czasu mu zostało do momentu gdy zmoże go ten jad? Nie — nie godził się na to, by skończyć życie w żołądku tej potwora.

Rozwścieczony Cymmerianin wyrzucił przed siebie ramiona i chwycił dłońmi szczęki bestii, naprężając każdy mięsień do granicy wytrzymałości. Pierś Conana uniosła się, ścięgnię napięły jak stalowe liny pod skórą zlaną potem.

Jego ciałem targnął nagle dreszcz. Zamroczyło go, gdy trucizna zaczęła rozchodzić się po organizmie. Czuł morderczy ucisk szczęk, poniżej żeber. Trzymały go z niesamowitą siłą. Był pewien, że bestia strzaska mu kości i zmiażdży wnętrzności.

Jęcząc, Cymmerianin zebrał resztki siły, zmuszając swoje napięte ramiona do jeszcze większego wysiłku. Powoli, jak na torturach, szczęki wycofywały się z jego przebitych boków. Mocował się dalej, aż jego ramiona zaczęły drżeć spazmatycznie, w końcu usunął olbrzymie zatrute szczypce.

Zwierzęcy okrzyk wydobył się razem z pianą z ust Conana, gdy rozerwał potworne kleszcze, rozpoławiając łeb pająka na dwie bluzgające jadem części. To, co zostało mu w rękach, cisnął na szarpnany konwulsjami korpus stworzenia.

— Wracaj do piekieł! — wysapał, patrząc, jak z pająka wycieka śluz, a odnóża podrygują bezładnie w makabrycznym tańcu śmierci. Dziwne charczenie i syki wydobywały się z rozdartego drapieżcy, obłądne zawrodoenie diabelskiego chóru.

Conan wyczerpany i odrętwiały, stracił równowagę i runął na ścieżkę. Zamroczony, nadludzkim wysiłkiem poczołgał się do drzewa, by oprzeć się o pień.

Tracąc siły, czuł się tak, jakby zapadał w mech pokrywający korę. Nie mógł nic zrobić, by serce przestało tłoczyć truciznę, której działanie rozpoznawał coraz wyraźniej. Kilka chwil później głowa bez czucia opadła mu na udręczoną pierś. Gdy zmierzch spowił gęsty las w granatowy całun, Conan już tego nie widział.

X

DRAPIEŻNICY NA ŚCIEŻCE

O świcie promienie wczesnego słońca przemieniły ciężkie od rosy liście w lśniący ocean szmaragdu. Jukona prawie nie widział otaczającego go piękna, dla niego dżungla była wrogim królestwem śmierci, pełnym niebezpieczeństw czyhających na każdym kroku. Niekiedy ktoś ze starszyny plemiennej opowiadał o zamierzonych czasach, których nie mógł pamiętać ani ojciec Y'Taby, ani ojciec jego ojca... o czasach, gdy Ganakowie żyli w Krainie Śmierci.

Jukona nie dawał wiary tym opowieściom. Kraina Śmierci miała obfitować w stworzenia tak niesamowite i tak wstrętne, że uważano, iż zostały spłodzone przez najbardziej nienawistnych bogów zła. W miarę jak Jukona zagłębiał się w gąszcz, coraz częściej myślał o tym, że nawet i te mroczne bóstwa opuściły dawno Krainę Śmierci i zapomniały o niej. Wzory, które miał wymalowane na skórze mlekiem, owoców vankula, chroniły przed ukąszeniami owadów. Ich ochronne działanie zdawało się być jeszcze silniejsze w gęstwinach dżungli. Wojownik nadepnął nagle na węża, którego nie zauważył i poczuł, jak wąskie zęby niby szpilki wbijają się w jego nogę. Słyszał o wężach, których ukąszenie przynosiło natychmiastową śmierć, ale ten, na którego wszedł, nie miał takich długich zębów, jak opisywane przez starych Ganaków. Teraz nieco wolniej i uważniej przekradał się między drzewami, wypatrując na ziemi podobnych pełzających gadów.

Ganackie kobiety potrafiły znacznie lepiej tropić niż mężczyźni, jednak Jukona nie mógł prosić Sajary, by razem z nim wkroczyła w Krainę Śmierci. Kobiety były świetnymi zwiadowcami i myśliwymi, przynajmniej te, które nie chciały zakładać rodziny i nie rodziły dzieci. Nie były szkolone, jak wojownicy. Ale dawno temu, gdy skrzydlate dzieci Ezata odważyły się napaść wioskę Ganaków, kobiety zmuszone były chwycić za broń i wziąć udział w walce.

Jukona zdrygnął się na myśl o hordzie Kezatij spadających na Ganaku. Miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał widzieć czegoś takiego. Ganakowie całkowicie polegali na swych wojownikach, których zadaniem było chronić najmłodszych i najstarszych. Za parę lat następną grupą chłopców przejdzie inicjację i wkroczy w wiek, kiedy się jest już wojownikiem. Do tego czasu jedyną armią broniącą wioskę przed napadem Kezatij będzie Jukona i jego siedmiu wojowników.

Ngomba w jednym miał rację: ostatni atak Kezatij zebrał tragiczne żniwo. Jukona poprowadził dwustu ludzi podczas inwazji potwornych ptaków na Kamienną Wyspę, gdzie w mrocznych jaskiniach gnieździły się te bestie. Ocalało tylko trzydziestu mężczyzn, którzy

powiosłowali jak szaleni na wybrzeże kości, by zmierzyć się z ostatnią falą sępów.

Trzydziestu wojowników nie dałoby rady pokonać Kezatij, lecz bogowie przysłali im jeszcze jednego, jasnoskórego wojownika z potężną bronią.

Ngomba pozostawił przybysza na łaskę i niełaskę bogów, a Jukona nie zdołał mu się przeciwstawić. Powinien wiedzieć, że pretensje Ngomby były bezpodstawne, a broń przybysza nie była atnalagą. Lecz w tym momencie mądrość całkiem go zawiodła, gdy Ngomba pochwycił miecz obcego wojownika. Jukona cieszył się, że przybysz odnalazł mapę wyrysowaną pośpiesznie w piasku i trafił za nimi na Ganaku. Ale niestety trafił do Krainy Śmierci.

Gęsta roślinność i wysokie liściaste drzewa oddzielały wioskę Ganaków od krawędzi Krainy Śmierci. Nikt z Ganaków nie zbliżał się do mrocznego serca wyspy, nie polowano tu, ani nie wysyłano ludzi na zwiad. O miejscu w głębokiej dżungli krążyło wiele niesamowitych legend: Przez szereg pokoleń Kraina Śmierci zabierała na zawsze tych, którzy nie wahali się tam pójść. Przepadło tak kilku najsilniejszych i najdzielniejszych Ganaków.

Jukona znał drogę. Jego dziad opisał mu kiedyś, jak odnaleźć stary szlak. Jak dotąd droga była dokładnie taka, jak mówił. Niedaleko skraju wioski, nad rzeką od wieków rosnęło drzewo o trzech pniach. Odliczył trzy razy po trzydzieści kroków, od tego drzewa prosto na zachód, po czym dostrzegł niewyraźną ścieżkę.

Droga do Krainy Śmierci, porośnięta niską roślinnością i młodymi drzewkami, ukazała mu się w szarzącym świetle. Tutaj, niezbyt daleko od brzegu dżungli, drzewa rosły rzadziej. Jukona wziął głęboki oddech i powoli wszedł na krętą ścieżkę, która — żywił nadzieję — miała go zaprowadzić do przybysza. Wzrok Jukony błędził po trawie w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu, choćby najlżejszego odcisku stopy.

Wokół niego gromadziły się wielkie chmary owadów, które niekiedy próbowały kąsać, zanim nie poczuły zapachu vankuli. Ptaki były tutaj znacznie większe, niż te nieopodal wioski, a ich dzioby i zakrzywione szpony upodabniały je nieco do Kezatij. Ich widok rodził w nim instynktowną nienawiść. Gdyby miał przy sobie swoje wiosło, mógłby przegonić błyskawicznie całą pewnością krewnych swoich wrogów. Niestety, wiosła były zbyt długie i nieporęczne, by mógł nosić je w dżungli. Bardziej odpowiednia byłaby włócznia służąca do polowania, używana przez kobiety. Ale wojownicy nigdy nie nosili włóczni, które nie były przydatne w walce z Kezatijami.

Jakiś szelest w zaroślach tuż obok sprawił, że Jukona zastygł w bezruchu. Obrócił się tym w kierunku, próbując dojrzeć, co mogłoby się tam czaić. Najpierw przykucnął, potem ruszył w tamtą stronę. Mimo swej okazałej masy, poruszał się bezszelestnie, prawie nie zdradzając swej obecności, jak ludzie wychowani wśród dzikiej przyrody. Wydawało mu się, że znów posłyszał jakiś szelest, lecz w tym samym momencie nagły podmuch wiatru przemknął z hałasem po koronach drzew, zagłuszając inne odgłosy. Jukona dotarł do zagajnika tuż przy ścieżce i zaczął badać grunt. Cierpliwie przeczesywał każdą piędź ziemi i odnalazł trochę przygniecionej trawy, gdzie odcisnięty ślad przypominał kształt wielkiej stopy.

Szukał jeszcze innych oznak czyjejś obecności w pobliżu. Zastanawiał się, czyje mogły być to ślady, bo przecież stopy przybysza nie zostawiłyby tak dużych odcisków. Jukona niespokojnie wpatrywał się w drzewa, w których panowała cisza. Tysiące opowieści o nikczemnych bestiach, krwiożerczych demonach, dzikich nienazwanych monstrach kotłowały się w jego głowie, aż na jego skórze pojawił się zimny pot. Czy — a jeśli tak, to jakie — stworzenia Krainy Śmierci grasują na tej ścieżce w poszukiwaniu ofiar?

Jukona ze strachu z trudem przełykał ślinę, ale wyprostował się, i postanowił, że nie pozostawi przybysza samego. Nie zrobi tego drugi raz. Był przecież wodzem ganackich wojowników, jego obowiązek to przejść każdą próbę, jaką zgotują mu bogowie. Znów począł posuwać się naprzód mrocznym szlakiem, lekceważąc wzmagający się wiatr i deszcz, który spadł z chmurnego nieba.

Gdy bogowie wiatru wiedli między sobą zagorzały spór, ich matki zapłakały nad nimi, lejąc srebrne łzy — łzy, które rozpędziły robactwo i przyniosły nieco ulgi w parnym dniu. Jukona z radością witał łagodny deszcz. Jego krople rozmyją wszelkie zapachy, które zazwyczaj naprowadzają drapieżniki, a szum wody zgłuszy kroki. W opowieściach o Krainie Śmierci istniały stworzenia, które specjalizowały się w uderzaniu z ukrycia, bez ostrzeżenia i błyskawicznie — potrafiły rozerwać wojownika na części, zanim mógł w ogóle zorientować się, że został zaatakowany.

Jukona przyspieszył kroku. Mało podnoszące na duchu opowieści powracały jak echo w myślach i zalegały ciężko w jego duszy.

Przez zmrużone oczy Ngomba obserwował Jukonę. Śledził wodza wojowników, który

Moore Sean U - Conan i kłątwa szamana

mógł pokazać mu drogę do Krainy Śmierci. Mało brakowało, a kilka chwil wcześniej Ngomba zdradziłby się, więc teraz starał się stapać ostrożniej. Jukona był wprawdzie stary, ale wiek nie przytępił mu słuchu.

Młody wojownik skradał się w pewnej odległości od ścieżki. Raz skupiał się na Jukonie, a potem na dżungli — wypatrując dzieci Damballaha. Ukąszenie diabelskich węży przynosiło gwałtowną śmierć. Bywało, że któryś przepelznął do wioski i błyskawicznie ukąsił śmiertelnie któregoś z Ganaków, zanim inni odkryli zdradziecką wizytę gada. Jukona, stary głupiec popełniał głupie błędy. Kiedyś przez nieuwagę nadepnął na węża i został ukąszony. Miał szczęście, że gad nie należał do gatunku jadowitych, z tego diabelskiego pomiotu. Ngomba nie był tak niezręczny.

Teraz Ngomba poruszał się ostrożnie, ukradkiem, ale szybko i z łatwością wytrzymywał tempo narzucone przez wodza. Nie wierzył w fantazje na temat Krainy Śmierci. Starszyzna rozkoszowała się tymi koszmarnymi opowieściami i powtarzała je po to, by nastraszyć dzieci. Ngomba wiele razy planował wyprawę do Krainy Śmierci, ale nigdy nie znajdował dostatecznych powodów, dla których miałby ryzykować życie aż do teraz.

Gdyby odnalazł obcego żywym, rzuciłby mu wyzwanie i wziął jego broń na własność prawem zwycięzcy. Jukona ze swoją obecnością w pobliżu odkryłby ciało i wtedy winą za śmierć przybysza obarczyłby zwierzęta zamieszkujące Krainę Śmierci. Młody Ganak potrzebował broni, to była jedyna szansa na powstrzymanie zagłady, która zbliżała się coraz bardziej, mknąc na skrzydłach dzieci Ezata.

Ludzie z wioski odrzucili go, ale on ich nie opuścił. Będzie czekać na dzień odkupienia.

Tego dnia on Ngomba wyzwolił Ganaków od lekkomyślności Y'Taby i Jukony. Przywitają jego powrót z otwartymi ramionami. Sajara zostanie jego kobietą; a on sam zajmie miejsce wodza wojowników. Plemię rozkwitnie pod jego silną ręką, dorośli i dzieci nie będą już musiały lękać się Kezatij. Oblicze Ngomby rozjaśniła duma, nie zapomniał jednak po co znalazł się w dżungli — wciąż śledził Jukonę i każdy krok przybliżał go do celu.

Conan obudził się w piekle. Uśmiercony pajęczym jadem, znalazł się na torturach, w sidłach jakiegoś bezimiennego diabła, skrępowany niezrywalnymi pętami. Tysiąc niewidzialnych demonów dźgało, całe jego ciało rozpalonymi gwoździami. Jęknął, nic nie widział tylko czerń. Próbował poruszyć się, ale jego członki jak z ołowiu nie były mu posłuszne.

Uniósł powieki i pojął, że czerń, która go otaczała, była jedynie ciemnościami nocy w dżungli. Oczy Conana wkrótce przywykły do nikłego światła bladych, księżycowych promieni, przedzierających się gdzieś tam przez korony drzew. Piekący ból w bokach powalonego Cymmerianina promieniował z głębokich ran zadanych szczękami pająka. Conan prawie nie czuł palców, jego ramiona i nogi równie dobrze mogłyby być zrobione z drewna, rzeźbami na wzór ludzkich kończyn.

Kilka metrów od niego leżało ścierwo pająka, wypełniając powietrze ciężkim smrodem tak intensywnym, jak smród z morza rozkładających się ścieków. Struga tłustego, zakrzepłego płynu, lśniła w bladym świetle, rozciągając się od rozpołowionego łba bestii, aż po miejsce, gdzie dowlokła ona swój porażony korpus, by zdechnąć.

Odurzony przez niemilośliwy odór, Cymmerianin na próżno próbował się podnieść.

Pulsujący ból rwał w nogach, stopniowo rozprzestrzeniając się na resztę ciała. Może pajęczy jad powoli przestawał działać. Miał nadzieję, że jego działanie ustąpi szybko. Leżał w bezruchu, oparty o pień drzewa, i stanowił łatwy łup dla wszelkiego rodzaju paskudztw, które mogłyby się do niego przypętać.

Leżał tak, zły potem, wsłuchując się w szum wiatru. W ciszy lasu nawet jego oddech zdawał się być hałasem. Po pewnym czasie udało mu się poruszyć szczęką, a po chwili nawet dźwignąć głowę, by lepiej zobaczyć, co dzieje się wokół. Radość sprawiło mu, że zdołał odwrócić wzrok od padliny pająka, obserwował cieniste drzewa i wypatrywał jakiegoś ruchu, ale dżungla najwyraźniej drzemała.

Światło księżyca przynosiło ze sobą niepokój. Conan zastanawiał się, czy szamańska kłątwa pochwyti go tej nocy, czy nie. Jakże zadowolony z siebie musiałby być kaklański szaman, gdyby wiedział, że jego przedśmiertne zaklęcie zadało Conanowi cios strasliwszy, niż najpotężniejsze uderzenie miecza. Ten złośliwy szaman z za grobu wzięił umysł i ciało barbarzyńcy w niewidzialnym potrzasku.

Jeszcze za młodu zdarzyło się Conanowi znosić trudy niewolniczego życia, kiedy został schwytyany przez Hyrkanińczyków. Stał się własnością okrutnych panów i o wiele za długo cierpiał, dźwigając kajdany. Ze wszystkich wstrętnych szumowin, jakie przyszło mu poznać w ciągu swego życia, nikt bardziej nie zasługiwał na pogardę, niż handlarze niewolników.

Doprowadzili go niemal do obłędu, nim zdecydował się na ucieczkę, jakiej nie zaplanowałby nikt o zdrowych zmysłach. Żywo wciąż pamiętał tryumfalną radość w dniu, gdy zerwał łańcuchy. One zresztą — o ironio — posłużyły mu jako broń, którą uśmiercił swych gnębi — cieli. Łańcuchy, które najpierw go skuły, potem utorowały mu drogę do wolności.

Ale więzów szamańskiego czaru nie dawało zrzucić tak łatwo. Z doświadczenia wiedział, że jeden mag potrafi zniweczyć działania drugiego. Nie uśmiechał mu się pomysł szukania pomocy u jakiegokolwiek czarownika, ale — jak na razie — nie widział innej możliwości. Kiedy paraliż powoli ustąpił z jego kończyn, światło zachodzącego księżyca było już bardzo nikle. Conan oswobodził się z pozostałości pajęczej sieci i z zadowoleniem zauważył, że straciły swą moc. Uwolnił nogi i natychmiast wstał. Oparł się o drzewo, aż całkiem odzyskał równowagę.

Szybko wkroczył z powrotem na szlak. Szedł często spoglądając do góry, żeby się ustrzec w porę czyhających pajaków, gotowych zarzucić na niego swą ohydą pajęczynę. Ścieżka nagle skręciła w lewo, Conana zawadziło o leżący za zakrętem pień powalonego drzewa, który spowodował, że wykręcił sobie nogę w kostce, stracił równowagę i przewrócił się na bok. Upadł na murawę i znalazł się twarzą w twarz z dużą ludzką czaszką. Pośród płasających cieni dżungli rozdziawiona szczęką zdawała się poruszać. Trupie oczodoły wpatrywały się w niego, jakby rozgniewane zjawieniem się człowieka.

Nieopodal czaszki leżały porozrzucone kości. Conan wsparł się na łokciach i spojrzał ostrożnie przed siebie. Na ścieżce leżała sterta szkieletów Ganaków. Podniósł jedno żebro i obejrzał je dokładnie. Po głębokich wyłobieniach w kości poznał dzieło zabójczych szczęk olbrzymiego pająka. Rozmiary stosu świadczyły, że jeden tylko pająk nie mógłby zebrać tylu ofiar.

Na myśl o tym zadrzał. Nie lękał się człowieka czy zwierzęcia, którego mógł pokonać gołymi rękoma. Ale teraz był osłabiony, zamroczony wciąż pajęczym jadem i wolałby nie napotkać zgrai tych podstępnych bestii.

Kostka bolała go, ale nie był poważnie ranny. Zaczął bezgłośnie, ciszej niż skradająca się pantera wycofywać się. Liście zaszeleściły nieznacznie i Conan zastygł w oczekiwaniu. Pojedynczy promień księżycowego światła przedarł się przez gęste listowie drzew, rzucając odrobinę jasności na upiorną stertę szkieletów.

Uwagę barbarzyńcy zwróciło nagłe poruszenie za stosem kości. Równocześnie za plecami usłyszał, spowite w miękką całun leśnej ciszy, syknięcie. Z lewej strony zaskrzypiał głośno pień drzewa, jakby pod jakimś wielkim ciężarem.

Conan przykucnął. Kilka metrów nad nim wielki, kołyszący się lekko na wietrze, liść odchylił się nagle. Barbarzyńca skoczył błyskawicznie w bok, upadł na prawe ramię i przeturlał się po ziemi. Lepkie nici pajęczej sieci przyczepiły mu się do stopy, ale jego ruch sprawił, że naprężyły się i pękły. Coś zielonego i obłego zważyło się na ścieżkę i lazło w kierunku Conana. Kości ułożone w stertę, zagrzechotały, gdy to coś rozrzuciło je na wszystkie strony.

Conan poderwał się na nogi. Ścieżka już roiała się od syczących pajaków. Ruszyły na niego, kierując się prawdopodobnie węchem. Poruszały się niezgrabnie, ich oczy patrzyły z nienawiścią. Wciąż więcej i więcej pajaków opadało z drzew. Wyginały kolczaste odnóża, przewalając swe brzuchy na lewo i prawo, pełzły w kierunku łupu.

Conana przeszył dreszcz, czuł jakby krew przestała w nim krążyć, gdy stał znieruchomiał naprzeciwko maszerujących potworów. Na widok tej śliniącej się, piekielnej hordy większość choćby aesirskich dzikich wojowników zdjęta byłaby strachem. Cymmerianin zabijał wiele różnych potworów w trakcie swych wędrówek. Podejmował walkę i pokonywał kreatury, które wypełzały z najciemniejszych rozpadlin piekła, ale teraz te bestie wyjątkowo mroziły mu krew w żyłach. Nie był w stanie zmierzyć się z całą armią tego paskudztwa, więc rzucił się do ucieczki. Biegł klucząc między drzewami. Zagłębiał się mroczne ostępy dżungli, a gałęzie smagały jego nagie ciało, zostawiając czerwone, grube pręgi. Nie znosił tych pajaków prawie tak mocno, jak nie znosił czarowników.

Zwolnił dopiero, gdy dotarł do zwartego rzędu drzew. Prześladowcy zostali w tyle, tupot ociążałych odnóży i syki zamieniły się odległy szmer. Ale bestie nie zamierzały rezygnować ze zdobyczy, ściagały Conana z nieubłaganym uporem Piktów na wojennej ścieżce.

Bieg przez las sprawił, że Conanowi krew zaczęła szybciej krążyć. Nie zważając na ból cały skoncentrowany był na tym, by znaleźć jakiś prześwit w zwartej ścianie pni i konarów.

Zacisnął zęby, bo coraz wyraźniej słyszał było kłapanie szczęk zbliżających się pajaków.

Conan tracił nadzieję, gdyż drzewa tworzyły mur, który zakręcał, kierując go znów ku ścieżce. Stłoczone, ściśnięte razem grube pnie rosły tak blisko siebie, że w żaden sposób nie można było przecisnąć się między nimi.

Moore Sean U - Conan i kłątwa szamana

Wejście na drzewo nie dawały schronienia. Pająki demonstrowały już umiejętności wspinania się. Barbarzyńca przestawał łudzić się, że uda mu się uciec. Jeszcze chwila i pajęczyna zaciśnie się wokół niego, zostanie powalony na ziemię, rozszarpany na kawałki, i zjedzony.

Nie potrafił pogodzić się z tym, że ma stać się jeszcze jednym trofeum rzuconym na stertę szkieletów. Zadyszany, rycząc z wściekłością przypartego do muru lwa, odwrócił się twarzą do okrażających go bestii.

Oparty plecami o ścianę drzew, poświęcał cenne sekundy decyzji, w którym kierunku uderzyć, żeby przedrzeć się przez krąg napastników i uciec. Zdołałby zabić może jednego lub dwa potwory, może nawet więcej, jeśli tylko nie wpadł w uścisk śmiercionośnych szczęk. Tymczasem ośmionogie pająki przygotowywały się do ataku z pieczołowitością właściwą turańskim generałom. Mniejsze, bardziej ruchliwe pająki rozproszyły się po lesie, razem z większymi pajakami tworzyły żywą pajęczynę. Uszy Conana całkowicie wypełniły hałasy nadchodzących stworów.

Ucieczka była niemożliwa.'

Zaciskając dłonie w pięści, barbarzyńca zbierał się w sobie, czekając na atak.

XI

ZDRADA I TERROR

Jukona przystanął i otarł z czoła pot. Zapadające ciemności utrudniały mu marsz. Posuwał się powoli, uważne tropienie zmęczyło go. Pocił się jednak nie z wysiłku, bardziej dlatego, że czuł, iż jest obserwowany. Mieszkańcy Krainy Śmierci czatowali wszędzie wokół. Węże nie były największym zmartwieniem, można je omijać. Pamiętał, jak kiedyś nadepnął na jednego jakiś czas wcześniej i został ukarany za swą niezdarność ukąszeniem. Teraz zmysły miał wyostrome i wzmógł czujność. Kiedy zielone bestie zbliżyły się, był przygotowany na spotkanie z nimi.

Opowieści jego dziada przestrzegały przed złośliwością pajaków—tkaczy. By je powstrzymać, niósł ze sobą w worku kilka ich jaj — galaretowatą ikrę, okryte cienkimi, skórzastymi skorupkami. Bestie szczególnie troszczyły się o bezpieczeństwo swego niewyklutego potomstwa, i zwykle nie atakowały kogoś, kto niósł takie jajo. Jukona nie wiedział czemu takie kreatury troszczą się o dzieci, lecz umysły anansi były niezgłębione.

Stwory pozwalały mu przejść, choć zarazem wpijały się w niego pełnymi nienawiści spojrzeniami, którymi witały każde ciepłokrwiste stworzenie — a zwłaszcza dwunożne. Zastanawiał się, jak Conanowi udało się ustrzec przed nimi. Możliwe, że miał jakiś talizman. Ale Jukona był zaniepokojony — słyszał odgłosy wcześniej dziwnego zamieszania daleko przed nim, gdy bogini księżycowa zaczęła opuszczać powoli nocne niebo.

Zrobił jeszcze kilka kroków naprzód i zatrzymał się, wpatrując się w zacienioną ścieżkę. Dostrzegł coś wielkiego zawałającego drogę i stanął osłupiały.

Szeroko otwartymi oczyma gapił się na leżącą przed nim padlinę tkacza.

Czyżby zabił go przybysz?... A może coś znacznie gorszego, coś co mogło zcaić się pośród liści nad głową Jukony.

Nocną ciszę zmaciły nagle docierając do uszu Jukony odgłosy walki. Słyszał nawet, jak inne stworzenia w pośpiechu przemykają pomiędzy gęsto i bujnie roślinami. Po chwili dziki okrzyk przeszył dżunglę. Stary wódz rozpoznał ten głos: okrzyk wojenny przybysza, słyszał to już na wybrzeżu kości, gdy atakowały ich Kezatje.

Popędził w kierunku, z którego dobiegał głos, zastanawiając się, jakie stwory gnębię dzielnego, obcego wojownika. Chociaż ten mąż nie był Ganakiem, Jukona z radością oddałby swe życie, by go obronić.

Biegając przez dżunglę Jukona potknął się o wyciągniętą nogę Ngomby. Runął ciężko, jak długi i stracił oddech. Z błyskiem w oku wymalowany żółto wojownik uniósł broń, by zadać cios Jukonie i machnął nią z siłą wystarczającą, by powalić drzewo. Gdy błyszczące ostrze spadało na kark leżącego Ganaka, krągła rękojeść wyślizgnęła się Ngombie z dłoni. Jukona odebrał uderzenie płazem w czaszkę, tak potężne, że wbiło mu twarz całkowicie w wilgotną glebę. Ngomba cofnął się, patrząc jak stary wojownik powoli przewraca się na plecy i jęcząc unosi głowę, by spojrzeć w płonące oczy napastnika. Zza ucha oszołomionego uderzeniem wielkiego mężczyzny zaczęła na ziemię kapać krew.

— Winienesz być mnie usłuchać, Wodzu Wojowników — wyszeptał Ngomba. — Sam sprowadziłeś na siebie zgubę. Lepiej, żebyś zginął zanim poprowadzisz naszych ludzi na śmierć.

Ngomba przeciął swój kciuk ostrzem miecza i wbił go w ziemię. Na czole Jukony

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

namalował trzy znaki pozwalające wojownikowi przeprawić się na mroczne lądy Muhingo. Ngomba wszystko to zrobił z ciężkim sercem, ale nie mógł pozwolić staremu wojownikowi iść uratować intruza. Teraz z satysfakcją wsłuchiwał się w odgłosy wydawane przez tkaczy w bezlitosnym pościgu za obcym. Ngomba schylił się, by podnieść worek z jajami, które chroniły go przed pajakami. Był przekonany, że wszystko co czyni tej nocy, znajduje usprawiedliwienie. Bogowie wojny zabrali Jukonę, zanim głupia, bezmyślna ufność zdołała zgubić wszystkich Ganaków. A bogowie zła wysłali swe dzieci, bestie Krainy Śmierci, by dopadły obcego. Ngomba poczuł, że sprzyjają mu tak samo bogowie światła, jak i bogowie ciemności.

Spokojny udał się w stronę domu. Czas wracać do wioski, by oznajmić, ludziom o tym, co się wydarzyło i objawić wypełniające się przeznaczenie.

Ledwie zrobił kilka kroków, gdy do jego uszu dobiegły dziwnie znajome dźwięki.

Wysłuchując się w napięciu natychmiast rozpoznał uderzenia skrzydeł. Odgłosy dochodziły z daleka, nie były jeszcze wyraźne, raczej jak pierwsze burzowe chmury pojawiające się na nieboskłonach, uprzedzające nadciągający sztorm.

Kezatje zbliżały się tak, jak się obawiał. Ale przybyły tak szybko, nie jest jeszcze gotów! Z hałasu, jaki czyniły, odczytywał, że jest ich więcej, niż mógłby się spodziewać — musiało być ich ponad setka.

Skrzydłami biły powietrze powoli: musiał je zmęczyć długi lot. Ngomba obliczał, że dotrą do wioski przed świtem i zaatakują w momencie, gdy mieszkańcy będą odzyskiwać siły po uczcie na cześć zwycięzców.

Przeklinał głupotę Y'Taby i Jukony. Ich zaślepienie, naiwna wiara sprowadziły być może śmierć na Ganaków... i śmierć jego ukochanej Sajary. Przed oczami miał jej wyraźną postać. I zobaczył, jak jej ciało zostaje rozszarpane wśród zamętu walki dziobami i szponami. To nie może stać się rzeczywistością! Krew w nim zawrzała, bardziej gorąca niż oddech boga słońca. Zaciśnął palce na broni, to nią zdoła uratować Sajarę.

Popędził jak szalony krętym szlakiem, myśli kotłowały mu się dziko w głowie. Ludzie wygnali go, lecz teraz potrzebowali jego pomocy. Nie mogą umrzeć przez błędy Y'Taby.

Dzięki Ngombie przejrzą na oczy, zobaczą głupotę ich dotychczasowego wodza i przekonają się, kto jest wybrańcem. Gdy przegna Kezatje, zdobędzie uznanie, zostanie uhonorowany. Cała społeczność będzie domagając się, by został ich nowym wodzem.

Wówczas złączy się na zawsze z Sajarą.

Wcześniej Jukona nie zezwalała im na ślub. Sajara była jego jedyną córką, a on nigdy nie lubił Ngomby. Ale stary głupiec już odszedł, a Y'Taba z radością odda Sajarę temu, kto uratuje Ganaków od skrzydlatych bestii — nie będzie miał wyboru, musi przystać na żądania wybrańca Kulungi.

Ngomba podniecony gnał przez las. Przestał nawet zwracać uwagę, że coś mu może zagrażać. Żaden wąż, żadne inne stworzenie z Krainy Śmierci nie powstrzymają wybrańca przed spełnieniem jego przeznaczenia.

— Sajara! — wrzasnął szaleńczo i wzniósł broń. Biegł, a serce waliło mu jak młot.

Conan wycofał się pod drzewo, tak by zgraja opastych pajaków nie mogła go zamknąć w pierścieniu okrażenia. Wyciągnął przed siebie ręce, gotowy chwycić bestię, która zacznie na niego nacierać. Choć był nieuzbrojony, drogo zamierzał sprzedać swe życie, zanim padnie. Szelest liści nad jego głową ostrzegł go przed atakiem z góry. — Na zęby Croma! — krzyknął Conan i odskoczył w bok. W tej samej chwili w miejsce, gdzie stał, ciężko opadł jeden wielki pajak.

Conan źle wymierzył skok i znalazł się na grzbiecie innego pajaka. Włóknisty korpus potworka był tak mocny, że utrzymał potężny ciężar mężczyzny. Pajak syczał i szarpał się, by zrzucić intruza. Wszędzie wokoło złowieszcze cienie włóchatych potworów przysuwały się, przybliżały kłapiąc szczękami pełnymi jadu. Obrzydliwy, gęsty zapach wypełniał powietrze niczym zgniły diabelski oddech. Setki złych, niewidzialnych w ciemności oczu skupiały się na swoim łupie, emanując tak intensywną nienawiścią, że Conan niemal fizycznie czuł te spojrzenia na swoim nagim ciele.

Jakieś ostre szczęki zawadziły o jego łydkę, wyciągnięte ręce dotknęły krępego, szczeciniastego korpusu.

Barbarzyńca zmusił się do głębokiego wdechu nieczystego powietrza, ugiął nogi i odbił się w górę, próbując złapać drzewa ponad sobą. Dłonią chwycił jakiegoś konaru i podciągnął się na gałąź. Szczęki pajaków na dole hałaśliwie kłapały.

Ale za chwilę złowroga zielona horda poczęła wspinać się na drzewa, ze zręcznością niebywałą jak na tak masywne stworzenia. Conan balansował na śliskiej i kołyszącej się

gałęzi. Zerknął w górę, szukając dalszych gałęzi, ale w jego zasięgu nie było żadnej. Światło księżyca zniknęło całkowicie, została tylko delikatna poświata, wystarczająca, by móc rozejrzeć się w otoczeniu. Ściana drzew rozciągała się wszędzie i była nie do pokonania. Sterczące konary wginały się dziwnie splątane razem w drewnianych uściskach. Cymmerianin zauważył, że pnie zwężają się stopniowo, ku górze. Błyskawicznie przyszedł mu do głowy plan, żeby spróbować wspinaczki. Podskoczył wysoko, jak tylko zdołał, zarzucił ręce wokół pnia i rozpoczął posuwać się na górę. Paręnaście metrów niżej mroczni łowcy szli jego śladem. Odnóża, jak posmarowane klejem, przywierały mocno do śliskiego drewna. Conan wbijał paznokcie w wilgotną korę, nogami niezgrabnie obejmował pień drzewa. Pieniające się szczęki rzucały się w stronę nóg wojownika, opluwając mu stopy kroplami lepkiego śluzu. Cymmerianin przywarł do drzewa i podciągnął się tak gwałtownie w górę, że zerwał sobie paznokieć z jednego palca. Nie bacząc na ból, usiłował uniknąć zaciśnięcia się kleszczy na swojej stopie. Puścił pień wciskając dłonie między drzewo, po którym się wspinał i drzewo obok. Napiął mięśnie ramion i całą swą siłę skupił w rękach, rozpaczliwie starając się rozdzielić dwa drzewa. Gdyby zdołał jakoś rozsunąć je odrobinę, by prześlizgnąć się między nimi. Zatrzasnęłyby się potem za nim, udaremniając pościg. Wziął oddech tak głęboki, że aż poczuł ostry ból w płucach i na ten wysiłek odezwały się wszystkie zadane mu rany z ostatnich kilku dni. Drzewa poruszyły się nieznacznie, przerwa była na trzy centymetry, ale nie więcej. Conan poczuł gorący ból w łydce, gdy najbliższy pająk zatopił w niej swe szczęki. Z dzikim okrzykiem, barbarzyńca wypuścił z siebie powietrze. Jego mięśnie potężnie nabrzmiały, ramiona naprężyły w wielkim napięciu. Drzewa rozchyliły się poddane niezwyklej sile. Conan błyskawicznie przecisnął się między nimi, czując potworne, palące drażnienie szczęk pająka, gdy ześlizgiwały się po jego nodze, przecinając ciało aż po kostkę. Bestia rzuciła się ku otworowi między drzewami, zawzięcie ścigając ofiarę. Jej bulwiaste ślepie załśniły w dzikiej furii, spragniona, mokra od soków gęba, już się rozwarła. W blednącej księżycowej poświacie krew wytoczona z nogi Conana błyszcziała na jej szczękach. Ale Cymmerianin znalazł się już po drugiej stronie ściśniętych drzew. Pnie zatrzasnęły się na łbie złośliwego stworzenia. Trzasnął jak winogrono zgniecione silnymi palcami i mózg rozprysnął się na wszystkie strony. Zdyszany Conan spadł na ziemię, nie miał sił dłużej utrzymać się na drzewie. Błotnista gleba złagodziła uderzenie. Słyszał, jak po drugiej stronie z drzew prześladowcy wydają z siebie wściekłe syki niepokieszeni, że zdobycz wymknęła się niespodziewanie. Cymmerianin rozejrzał się po nowym otoczeniu. Drzewa kończyły się nagle w miejscu, w którym się przedostał. Lekko odrętwiały na skutek kolejnej porcji pajęczego jadu, leżał na rozległej polanie. Oparł się o drzewo. Ochłodził ranę na nodze garścią wodnistego błota. Ta prosta czynność kosztowała go wiele wysiłku. Był słaby, ręce zwisały mu luźno, jakby były przymocowane do ramion tylko sznurkami. W oczach mieniły mu się różne kolory i zaraz zaczął dostawać dreszczy. Ale na szczęście nie stracił przytomności i czekał, aż nabierze w sobie trochę sił. Gdy zaczął wyraźniej widzieć, spojrzął w górę i osłupiał ze zdumienia. Stał przed wysoką, lekko zaokrągloną ścianą olbrzymiego zamku. Jego rozmiary mogłyby konkurować z najpotężniejszą aquilońską fortecą. Był tak ogromny, że łatwo pomieściłoby w swoim wnętrzu całą wioskę. Conan myślał, że upadek zmącił mu umysł. A może była to jakaś gra cieni? Niebo powoli zabarwiło się błękitem wczesnego świtu, co znacznie poprawiało widoczność. Przymykając oczy, barbarzyńca wziął kilka spokojnych, równych oddechów i potrząsnął głową, by rozproszyć majaki. Gdy spojrzął znów, dziwna budowla stała tak jak wcześniej. Ściana tkwiła jak masywny grobowiec, milczący i srogi, kamienny wartownik, strzegący tego co spoczywa w jego sercu. Wojownik leżał nieruchomo, jak zaczarowany, słuchał cichnących skrzeków swych niedoszłych zabójców, którzy widocznie wracali do swych skrytych legowisk. Czy zrezygnowali z pościgu, czy też może umykali przed jasnością dnia, Conan nie wiedział. Cieszył się po prostu, że uciec. Pierwsze promienie słońca dotknęły czubków drzew, rozpraszając też po części grozę, jaką budził zamek. Gapiąc się tak na kamienną budowlę, Conan ziewnął, strudzony po nocnych zdarzeniach w lesie. Ból ramion był niesamowicie dojmujący, ale Cymmerianin był teraz pochłonięty wpatrywaniem się w dziwny cud, u którego stóp się znalazł. Gdy niebo jeszcze bardziej pojaśniało, zauważył, że budowla jest w stanie upadku.

Niektóre potężne kamienie poprzemieszczały się, jakby zmęczone się wiekami tkwienia w jednym miejscu przez wieki. Rysy i pęknięcia znaczyły całą powierzchnię zamku, jak zmarszczki twarzy starca.

Przechylił głowę, by obejrzeć blanki. Tam pozostałości zdobień tkwiły nierówno, jak odłamki zmurszałych zębów w otwartej szczęce. Za ścianą widać było kruszący się minaret, ze zniszczonej, strzelistej wieży został jedynie kawałek.

Conan nie bardzo wiedział, jak dostać się do środka. Choć zamek był zniszczony i najwyraźniej nie zamieszkały, wyglądał na niedostępny. Jego istnienie na tym dziewiczym, zapomnianym lądzie było intrygującą zagadką. Czyje ręce go wzniosły i skąd wzięto tyle kamieni? I dlaczego dżungla nie wchłonęła go jeszcze?

Nowe spostrzeżenie zaniepokoiło Conana. Tam, gdzie kończyła się ściana drzew, na polanie nie widać było ani pnączy, ani liści, ani nawet pojedynczego źdźbła trawy. Na terenie otaczającym zamek nie było niczego zielonego czy żywego. Nawet insekty unikały tego miejsca. Całkowity brak życia nie wróżył nic dobrego.

Barbarzyńca pragnął dowiedzieć się, co znajduje się wewnątrz murów. Uważając na zranioną łydkę, okrążał budowlę powoli, trzymając się jak najbliżej drzew. Mur zbudowany był z tysięcy, idealnie dopasowanych, ciemnobrązowych kamiennych bloków. Conan ocenił, że każdy z nich był co najmniej tak ciężki, jak on sam. Podziwiał to dzieło, zastanawiając się, jak wiele karków zginało się przy stawianiu tej potężnej konstrukcji. Czy było to dzieło pracujących pod batem niewolników... czy ludzie wolnych, którzy w pocie czoła wznosili schronienie dla swych rodzin?

Po przeciwnej stronie Cymmerianin odkrył owalny portal, gdzie niegdyś mogła znajdować się brama. — Na brodę Ymira! — rzekł do siebie otwierając oczy coraz szerzej, w miarę jak przesuwiał wzrokiem po ścianie, powyżej portalu.

Na całej wysokości pokryta była przerażającą płaskorzeźbą nagiej kobiety. Siedząca ze skrzyżowanymi nogami łypała prosto na przybysza. Jej usta były wykrzywione jakby rzucić miała za chwilę jakąś obelgę. Z otwartych ust sterczały ku górze wygięte kły, a jej twarz porastały długie, poszarpane kłaki, wyglądające jak łuszcząca się opalenizna. Miała na sobie naszyjnik z czaszek, bransolety z węży i pas z odrąbanych kończyn. Przez jej uszy przeciągnięte były wąte kości ramion — prawdopodobnie dziecięcych.

Kobieta miała olbrzymie piersi. Z jej nagiego torsu wyrastało dziesięć ramion. W jednej, przypominającej szczypcę dłoni ścisnęła szeroki bułat, w innej, o długich pazurach, tkwiła odcięta, pokrwawiona głowa. Zwieńczone łukiem wejście otwierało się poniżej pępka, w obscenicznym, lubieżnym zaproszeniu.

Conanu świadomił sobie, że widział już wcześniej podobiznę tej dziwnej kobiety, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Szukał w zakamarkach pamięci, lecz nie udało mu się odnaleźć nic, tylko niejasne wrażenie, że wizerunek jest mu znajomy. Emanował wręcz niezmierną nienawiścią i złośliwością, która zmroziłaby krew w żyłach niejednemu zatwardziałemu mężczyźnie. Conan otrząsnął się ze zgrozą.

Oczy kobiety więziły promienie wschodzącego słońca — w każdym oczodole umieszczony był rubin wielkości kurzego jaja. W czasach, kiedy rabował, na pewno wdrapałby się natychmiast na górę i wydułbał jej drogocenne oczy.

Lecz doświadczenie ostudziło jego młodzieńczy zapał. Oparł się pokusie i nie sięgnął po te wyjątkowo duże klejnoty — przynajmniej na razie. Atmosfera całego otoczenia nacechowana była jakimś niewypowiedzianym złem i na każdego łupieżcę mogła czyhać okrutna śmierć. Dreszcz przebiegł po plecach Conana. Zapragnął wycofać się i odejść, lecz lodowate szpony niezrozumiałej bojaźni zacisnęły się na jego sercu. W tej twarzy i w oczach kryła się czarna pustka chaosu.

To odpychające, a jednocześnie hipnotyzujące spojrzenie pochłaniało go. Ból odpłynął z jego członków, tak jakby stracił w nich czucie. Wilgotny zapach polany stał się jedynie mętnym wspomnieniem. Nie czuł słońca na swej skórze, stopy nie dotykały już miękkiego, mulistego podłoża, płuca nie tłoczyły powietrza. Odpływał w obce, bezkresne królestwo. Dwa szkarłatne słońca jaśniały na wprost niego, niczym oczy jakiegoś zgubnego boga. Ich odległy blask był jedynym źródłem światła. Ciemność, gęsta i namacalna, ciężko napierała na niego, wypełniając nozdrza i usta, tak jakby zanurzał się coraz bardziej w dziwny, nieprzenikniony czarny odmęt.

Nie miał mocy, która pozwoliłaby mu przeciwstawić się, temu co z nim się działo. Dusił się nie mogąc zaczerpnąć oddechu, a nie potrafił oderwać wzroku od hipnotycznego, karmazynowego światła. Dwa bliźniacze słońca zniknęły.

Przez chwilę umysł Cymmerianina spowił mrok, otoczyła go surowa, czarna próżnia. Potem bolesna światłość uderzyła jego odrętwiałe zmysły — był z powrotem na polanie.

Zaniknął powieki, podniósł rękę, by zasłonić twarz. Zakasłał głęboko, by płuca znów zaczęły pracować. Wciągając szybko powietrze, czekał, aż oczy przywykną do ostrego światła porannego słońca.

Nagle między nim, a zdradliwą podobizną kobiety, stanął Jukona.

Conan cofnął się o krok. — Na Croma — wysapał, obserwując podejrzliwie olbrzymiego, ganackiego wojownika. Odruchowo sięgnął po miecz, którego nie miał jednak pod ręką.

Wysoki Ganak uniósł ręce ku górze, i rozpostarł swe duże dłonie. — Pokój, cudzoziemcze.

Ja, Jukona, jestem wodzem ganackich wojowników. I twym przyjacielem — w pierwszym momencie Conan myślał, że nie pojmie języka Ganaka, ale okazało się, że rozumienie nie sprawia mu trudności.

— Conan z Cymmerii. Moim przyjacielem nie może być człowiek, który kradnie mój miecz i odwraca się do mnie plecami, po tym, jak pomogłem mu w walce! — odrzekł gorzko barbarzyńca.

Jukona westchnął ciężko i zwiesił głowę.

— Nie miałem zamiaru opuszczać wyspy bez ciebie. Ngomba zarządził, żeby cię pozostawić. Przywłaszczył sobie twą atnalagę... zdaje się, że zwiesz to mieczem? Uwierzyłem, że Ngomba jest wybrańcem Kulungi, tym, którego słowom należy być posłusznym. Ale nie zabronił mi wskazać ci drogę do Ganaku. Zanim odplynęliśmy z wybrzeża kości, napisałem kilka znaków w piachu obok ciebie. Gdy zwiadowczyźnie przyniosły wieści o twym przybyciu do Ganaku, wyruszyłem, by cię odszukać. Ngomba napadł na mnie twoim mieczem, w pobliżu ścieżki tkaczy, i zostawił mnie rannego, bym się wykrwawił na śmierć.

— Tkacze?

— Starsi nazywają te stworzenia anansi — odpowiedział Jukona, drapiąc się po głowie.

— Czy nie znalazłeś mnie, gdy... — Conan wzdrygnął się znów na myśl o rubinowych oczach, które go hipnotyzowały. Jukona stał wciąż pomiędzy nim a ohydny wizerunkiem.

Wskazał tam ręką.

— Kim, na siedem piekieł Zandru, jest ta diablica?

Jukona nerwowo zamrugał oczami, jego twarz wyrażała zmieszanie.

— Nigdy wcześniej tego nie widziałem, ale wyczuwam tu obecność zła. Kraina Śmierci obfituje w niebezpieczeństwa czyhające zarówno na ciało, jak i duszę. Dobrze, że twój okrzyk przerwał mój tępy sen.

Potał głowę, krzywiąc się z bólu.

Conan zmarszczył brwi. — Nie pamiętam żadnego krzyku czy wołania o pomoc.

— Myślę że twój duch opuścił twe ciało. Możliwe, że nie słyszałeś własnego głosu.

Opierałeś się złej mocy na tyle długo, bym zdążył odnaleźć twoje ślady i przedrzeć się przez tamte drzewa. Gdy biegłem do ciebie, widziałem twego ducha, który porzucił ciało unosząc się ku tym oczom w ścianie... — mówił z drżeniem i urwał, jak gdyby obawiał się powiedzieć więcej.

— A jak mnie znalazłeś?

— Leżałem na ziemi, gdzieś tam — wskazał dłonią drzewa po drugiej stronie polany. —

Za drzewami, twój okrzyk ocucił mnie. Zawołałeś tak samo, jak na wybrzeżu kości, gdy walczyliśmy z Kezatjami. Odkryłem martwego tkacza w lesie i odgadłem, że zawędrowałeś aż w samo mroczne serce Krainy Śmierci.

— Dobrze powiedziane — odrzekł Conan, przypominając sobie swą rozpaczliwą ucieczkę.

Jego oczy nagle zwężyły się. — Ale ciebie te przeklęte pająki nie zaatakowały.

— Pająki? To dziwna nazwa. Ale więc, starsi powiadają, że tkacze I nie zaatakują nikogo,

kto niesie ich jajo, skorupę pełną ich nie wyklutego potomstwa. — Ganak przykucnął i

podniósł obły, pokryty skórką obiekt, o którym mówił. — Na razie jesteście bezpieczni.

Mówi się, że słoneczne promienie wypalają im ślepią, ale kiedy słońce znika, wychodzą na żer ponownie. I mogą polować bez końca, jeśli są głodne. Teraz jednak czas nam wracać do wioski, bo tkacze to nie jedyni niebezpieczni mieszkańcy Krainy Śmierci. Starsi opowiadają tysiące historii o Krainie Śmierci, lecz nigdy nie słyszałem nic o tej ścianie pochłaniającej dusze.

Conan uśmiechnął się niewyraźnie. — Cieszy mnie, że opuścimy tę po trzykroć przeklętą dżunglę A ty, Jukono, cokolwiek by się stało, nie patrz w oczy tej diablicy. Gdy wrócimy, od razu odnajdę tego Ngombę i przekonam go, że grubym błędem jest wchodzić w drogę Cymmerianinowi! Z moim mieczem nie musielibyśmy obawiać się żadnych stworów zamieszkujących te piekielne ostępy.

— Miecz — Jukona potrząsnął głową, przyglądając się barbarzyńcy. — Conan z Cymmerii. Twe słowa i zwyczaje są dziwne, a jednak... moje serce mówi, że można ci zaufać

i żeś jest jak ja wojownikiem i człowiekiem honoru. Czy to bogowie przystali cię do nas? Conan wybuchnął szczerym śmiechem, co boleśnie odczuł na swoich poranionych zębach.

— Jeśli tak, to tacy bogowie, którzy chcieli zrobić sobie okrutny żart moim kosztem! Ale nie, Jukono, przywiódł mnie tu mój kiepski osąd spraw i brak szczęścia, nic innego. Przybywam z krainy położonej stąd daleko na pomoc, za morzem południowym, i dalej nawet. Żaden Cymmerianin nie zawędrował jeszcze tak daleko od dolin i ciemnych lasów, które moi rodacy nazywają domem.

— Kraina... za morzem? Starsi powiadają, że morze ciągnie się bez końca. Bogowie stworzyli jedynie trzy krainy: Ganaku, Zati i pomiędzy nimi, Arawu, gdzie zmierzylśmy się z Kezatjami.

— Tymi olbrzymimi sępami? Na Croma! Nigdy wcześniej nie widziałem podobnych stworzeń, nigdy podczas wszystkich lat moich podróży. — Odwrócił się, żeby nie patrzeć na płaskorzeźbę, i ruszył w stronę drzew na brzegu polany. — Wiele jest znanych krain, i mówię ci, że wiele więcej jest jeszcze nieodkrytych. Ja sam przebyłem piktyjskie wybrzeża, włóczyłem się po stepach Hyrkanii i nawet dalej. Napotkałem na swej drodze ludzi wszelkich ras, lecz nigdy nikogo takiego, jak ty lub twoi wrogowie. Świat pełen jest tak różnych ludzi i stworzeń, że nikt nie zdołałby poznać ich wszystkich.

Uniósł głowę, rzucając spojrzenie na Jukonę, po raz kolejny zdumiony jego wzrostem. Conan był wyższy, niż większość mężczyzn, z którymi się zetknął. To było dla niego niezwykle spoglądać w górę na czyjąś twarz. — Ty wyglądasz dla mnie tak samo dziwnie, jak ja muszę wyglądać dla ciebie.

Jukona podążał za Cymmerianinem, zatrzymując się pod dwoma wysmarowanymi posoką drzewami. Ganak wręczył worek z jajami tkaczy Conanowi i wdrapał się po pniach na górę. Rozdzielił je, jak się zdawało, prawie bez wysiłku. Ściągana na rękach Jukony wyglądały, jak twarde powrozy i były tak grube, jak muskularne łydki barbarzyńcy. Conan przeszedł przez szparę między drzewami, omijając ostrożnie pajęczą, gęstą posokę. Pomyślał sobie, że niełatwo będzie pokonać Ngombę. W walce wręcz, Ganak mógłby go po prostu rozerwać. Conan liczył na to, że młody ganacki wojownik zechce posłużyć w starciu na skradzioną broń. Ten lud chyba w ogóle nie znał się na władaniu mieczem. Stał była potężnym sprzymierzeńcem, ale tylko dla takich, co znali się na szermierce.

Trzymając rozwarte drzewa, Jukona przerzucił nogi na drugą stronę drewnianej zapory i skacząc puścił pnie. Masywne pnie z hukiem zatrzasnęły się za nim.

Kiedy znaleźli się obaj na ziemi, Jukona zanurzył się w bujne zarośla. Szedł szlakiem podeptanych traw do miejsca, w którym wcześniej leżał. — Nie posiadam umiejętności tropienia czy śledzenia, ale jeśli bogowie nam sprzyjają, wystarczy kilka śladów, a znajdziemy Ngombę — oświadczył spokojnie.

Cymmerianin od razu dostrzegł głęboki odcisk stopy, skierowanej ku szerokiej ścieżce, którą on sam także kroczył przez dżunglę. — Tam. — rzucił krótko, wskazując swoje znalezisko.

— Musimy zachować ostrożność — odrzekł Jukona, zniżając głos. — Ze wszystkich moich ludzi Ngomba jest najsilniejszy i najbardziej przebiegły.

— On nawet wygląda inaczej. Czy nie pochodzi z innego plemienia?

Cień żalu czy troski pojawił się na twarzy starego Ganaka. — Przy jego narodzinach, bogowie zabrali życie jego matki. Takie dzieci nazywamy Mkundo. Wychowuje je starszyzna i muszą nosić znaki, które honorują ofiarę ich matek. Ngomba posłuszny jest temu zwyczajowi, ale sądzę, że nigdy nie pogodził się ze śmiercią matki. Gdy był jeszcze chłopcem, bez przerwy pytał o nią. Możliwe nawet, że obwinia za jej śmierć naszych bogów. Nie szanuje Y'Taby i żyje w wiecznym sporze ze mną i starszyzną.

— A co z jego ojcem? Cymmerianie nie tolerują takiego zachowania u swoich dzieci. Kilka razy pasem, szturchaniec lub dwa po uszach nauczyłyby go szacunku dla starszych. — Jego ojciec nie mógł go wychować — powiedział Jukona, jakby z bólem ciężącym głęboko w sercu.

Conan obserwował ścieżkę i stopniowo odnajdywał kolejne znaki, że przechodził tędy Ngombo.

— Więc nam chyba przypadło dać mu zaległą lekcję. Ale dość! Tracimy czas i energię na tę paplaninę, a on się oddala.

Zapadło milczenie i dwaj wojownicy w ciszy skupili się na pościgu. Idąc po dość wyraźnych śladach, posuwali się bezszelestnie naprzód. Uważali, żeby Ngomba nie mógł usłyszeć, jak się zbliżają.

Początkowo nie mieli trudności w odnajdywaniu śladów, wkrótce Conan musiał użyć

wszystkich swoich umiejętności tropiciela, gdyż wielkie pająki miejscami całkiem pozacierały odciski stóp młodego Ganaka. Przez kilkaset kroków posuwali się naprzód prowadzeni jedynie przez intuicję barbarzyńcy aż do czasu, gdy znów zobaczyli oznaki obecności Ngomby. Głębokość śladów stóp i odległości między nimi, dawały do zrozumienia, że Ngomba zaczął biec na pewno szybko i na pewno nieostrożnie.

To, co zastanowiło Jukonę, to kierunek w jakim śpieszył Ngomba. — Pobiegł w stronę wioski — powiedział powoli zdumiony Jukona, przygryzając w zdumieniu dolną wargę. — Ale przecież Y'Taba wygnał go, to niemożliwe, żeby wracał!

— Może zmienił kierunek, nim dotarł do wioski. Musimy się przekonać. I nie wolno nam pozwolić, by opuścił tę wyspę.

Jukona mruknął coś pod nosem, czego Conan nie zrozumiał. Przyspieszyli kroku, jak tylko mogli. Słońce przetaczało się majestatycznie po niebie, ogrzewając dżunglę. Pomimo wilgotnego powietrza język Cymmerianina wysechł jak ogon zamorańskiej, pustynnej jaszczurki. Chętnie oddałby sakwę złota w zamian za dzbanek pełen piwa. Ale najbliższa beczka takiego trunku była prawdopodobnie o jakieś dwa tygodnie podróży morskiej od miejsca, w którym się znalazł... Jednak to był problem, którym zaprzętać będzie jego uwagę później.

Z trudem posuwał się naprzód, z jednej strony pilnie obserwując murawę, z... drugiej uważając na Jukonę. Choć olbrzymi wojownik uratował go przed chciwą ludzkich dusz diablicą, zdecydował, że nie będzie do końca ufał Ganakom. Raz odwrócili się od niego, mogą to uczynić po raz wtóry. Ci ludzie zdawali się być wielce przesądni, a barbarzyńca nigdy zbyt dobrze nie rozumiał ludzi całkiem pokładających wiarę w bogów. Przez lata nauczył się, że bogowie pomagają tylko tym, którzy najpierw pomogą sobie sami.

Jeszcze raz próbował przypomnieć sobie gdzie, lub kiedy widział wcześniej podobiznę tej diablicy — a może bogini. Pamiętał, że wizerunek był niezbyt starannie wyciosany w kamiennym bloku, mniejszy niż ten tu na ścianie, mniej precyzyjny. Mglisty obraz jej twarzy i ciała o dziesięciu ramionach ożył w jego umyśle. Choć próbował z całych sił, nie mógł wydobyć z ciemnego zakątka pamięci innych okoliczności, w jakich zetknął się z tym wizerunkiem.

Nie chcąc zbyt gnieźić się tym, skupił uwagę znów na szlaku. Tu, gdzie właśnie szli, drzewa porastały glebę rzadziej, były niższe i mniej masywne. Gdy Conan zobaczył, że ślady skręcają nagle i nie było ich dalej na ścieżce, zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.

Kilka kroków za nim Jukona również zastygł w pół kroku. Nachylił się i szepnął Conanowi do ucha, wskazując trop. — Wioska leży w tym samym kierunku. — Z gorzkim uśmiechem wódz wojowników wyprostował się i zaczął bacznie obserwować przestrzeń między drzewami. Ich pnie były stosunkowo cienkie i rosły w pewnej odległości od siebie, lecz posycie lasu było gęste i sięgało Conanowi po szyję, a po pas Jukonie. Cymmerianin nie mógłby zbadać śladów na ziemi poza ścieżką, ale na szczęście nie było takiej potrzeby. Ngomba gnając przez zarośla, zostawił mnóstwo poszarpanych liści i połamanych gałęzi na swojej drodze.

Barbarzyńca, choć niechętnie, musiał pochwalić młodego Ganaka za jego wytrzymałość. Śledzili Ngombę od świtu, a teraz słońce sięgało zenitu. Nic nie wskazywało na to, by buntowniczy wojownik w którymkolwiek momencie zwolnił bieg. Pędził całą drogę, jakby był ścigany przez najbardziej zjadłego demona. Conan doszedł do wniosku, że raczej nie grozi im, że wpadną w zasadzkę Ngomby. Dokąd mógłby on tak śpieszyć, jak nie do wioski? W końcu dżungla przerzedziła się już niemal zupełnie, aż weszli w teren porośnięty głównie przez trawy i wysokie trzciny. Trzciny rosły, co prawda, na wysokość Conana, ale wyższy od niego Ganak z łatwością mógł rozglądać się po okolicy.

— Jesteśmy już blisko — sapnął Jukona. — Widzę pagórek, ale... o, Muhingo, to niemożliwe! Za mną! — rzucił się pędem. Conan pospieszył za nim, lekceważąc ból i męczenie. Wilgotna ziemia oblepiała im stopy, gdy przedzierali się przez rojne od owadów trzęsawisko. Trzciny smagały świeżo barbarzyńcy, powodując przykre wrażenie chłostania setkami biczy.

Choć nie mógł być tego pewien, Conanowi zdawało się, że słyszy jakiś odległy tumult i szmer podniesionych głosów, mieszających się z czymś w rodzaju zawodzenia płaczek. Najpewniej były to tylko odgłosy wiatru, ale Jukona słyszał to samo i wyglądał na zaniepokojonego. Gnali dalej przed siebie, aż natrafili na wąskie rozlewisko czerwonego, rzadkiego mułu. Conan zahamował z poślizgiem, wpadając w grząski, kręty strumień wody, która przecinała drogę.

Wioska Ganaków rozpościerała się kilkaset metrów dalej, prosto za wstęgą brudnej wody. W centrum osiedla tkwił niewielki pagórek, na którym leżało kilku poszarpanych Ganaków.

Wokół pagórka zalegały porozrzucane tuziny martwych Kezatij.

XII

TAJEMNICZA WIOSKA

— Nie! — Jukona zawył niczym ofiara potwornych tortur, jego głos doszedł aż do wsi. Zaciskając dłonie w pięści, przeskoczył przez rzeczkę. Conan stał tylko i patrzył — ostatnio zbyt często dane mu było oglądać ponure pobojuwiska.

Ci, którzy żyli, kręcili się bezradnie w miejscu, co jakiś czas odwracając twarze w kierunku Jukony po drugiej stronie rzeczki. Wojownik skinął niecierpliwie na Conana, by udał się w jego ślady. Gdy barbarzyńca przeprowadzał się przez wodę, odłączyły się dwie osoby od grupy Ganaków zebranych przy pagórku, i zaczęły biec w stronę wracających z dżungli wojowników.

— Y'Taba! — wykrzyknął Jukona do nadchodzących, po czym szeptem odezwał się do Conana. — To Y'Taba, nasz przewodnik duchowy. Niech nie zwiedzie cię jego wiek. Jego siła dorównuje jego mądrości. Będzie sądził cię po słowach i czynach. Nie mów nic, co mogłoby urazić jego, lub godzić w naszych współplemieńców.

Cymmerianin skinął głową. — A kim jest ta dziewczyna?

To Sajara, Ranioba naszych łowczych i zwiadowczyń... i moja córka. — Jego głos pełen był ojcowskiej dumy.

Conan ledwie rzucił krótkie spojrzenie na Y'Tabę, potężnego Ganaka. Spozstrzegł, że ma on na sobie lśniąca spódniczkę z czarnych muszli. Jego uwagę całkowicie pochłonęła kobieta nazywana Sajara. Była wysoka jak on sam, miała oliwkową skórę, podobnie jak inni Ganacy, włosy wystrzyżone tak, że pozostawał tylko pojedynczy warkocz. Na widok jej muskularnego ciała, okrytego jedynie skąpą przepaską z węzowej skóry, Conanowi zaschło w gardle już zupełnie.

Delikatne, spiralne wzory zdobiły jej nagi tors. Poruszała się miękko i dynamicznie, zgrabnie wyciągając długie nogi. Jej pełne piersi kołysały się łagodnie, gdy tak szła, jakby płynęła nad ziemią.

Cymmerianin od dwóch tygodni nie miał okazji widzieć kobiety od nocy w namiocie Jarała... Wydawało mu się, jakby minęły całe lata. Wpatrywał się w Sajarę, oczami rozpalonymi w ogromnym podziwieniu. Gdy zbliżyła się, ujrzał wyraźnie jej oblicze równie oszałamiające, jak jej ciało. Conan nie mógł sobie przypomnieć, by spotkał kiedyś kobietę obdarzoną tak olśniewającym, egzotycznym pięknem. Władcy potężnych królestw nieraz prowadzili wojny, a w ich armii były kobiety daleko mniej ponętne niż ta.

Conan uzmysłowił sobie, że został w tyle za Jukoną. Przyspieszył, by dołączyć do niego. Gdy stanął przed Y'Tabą, zobaczył, że cała twarz starca poznaczona jest szramami i siniakami, a jego ramiona i szeroką pierś pokrywają czerwone bruzdy. Z ran na czole sączyła się krew, plamiąc srebrnobiałe brwi.

Sajara wyniosła z boju jedynie zadrapania. Ani jej ciało, ani twarz nie ucierpiały zbyt w walce. Za przepaskę miała zatknięty nóż — jedyny, jaki widział u tych ludzi. Na nożu były ślady krwi Kezatij. Broń — zauważył — została wykonana z oszlifowanej i wyostrzonej wąskiej muszli. Marna obrona przed Kezatiami, które potrafiły atakować straszliwie, uderzając równocześnie dziobami i szponami.

Sajara zignorowała wyciągnięte ku niej ramiona Jukony.

Powiedziała tylko chłodno. — Ojczy.

Stary wojownik otworzył usta, by ją powitać, lecz zamiast tego po prostu przytulił ją.

Sajara nie odwzajemniła uścisku, wycofała się i stanęła obok Y'Taby.

Jukona uniósł ręce ku Y'Tapie. — Y'Taba, Przewodniku Duchowy, powracam z Krainy Śmierci i prowadzę ze sobą obcokrajowca. Nazywa się Conan i pochodzi z odległej Cymmerii.

— Witaj w Ganaku, Conanie z... Cymmerii. — odrzekł Y'Taba przygnębionym głosem. Uniósł dłonie w kierunku Conana, który niezadarnie spróbował naśladować ten gest. — Obok mnie stoi Sajara, która jest córką Jukony.

— Witaj — powiedziała miękko i skinęła lekko głową. Nie wykonała żadnego innego gestu i starała się unikać wzroku barbarzyńcy.

Y'Taba ciągnął dalej. — Twój powrót z Krainy Śmierci jest jedynym promieniem światła, rozjaśniającym ten ponury dzień. Nie byliśmy dla ciebie sprawiedliwi. Proszę cię o wybaczenie.

Conan wzruszył ramionami. — Wy nie wyrządziliście mi żadnej krzywdy. Naraził mi się jedynie Ngomba, który przywłaszczył sobie mój miecz.

Przerwał mu Jukona. — Szliśmy za Ngomba aż tutaj. Co się tu stało? Widzę, ale nie mogę uwierzyć... czy Kezatje ośmieliły się napaść na wioskę?

Y'Taba załamał ręce. — Dziś o świcie, tuż przed wschodem słońca, pojawili się nagle na niebie. — Przerwał na moment i kontynuował z jeszcze większą goryczą. — Większość wojowników spoczywa teraz pod opieką Muhingo. Niech przyjmie dobrze tych, którzy zginęli, bo walczyli godnie. Pomiot Ezata przybył zbyt licznie. Gdyby nie Sajara i jej podopieczni, i nieoczekiwany powrót Ngomby, więcej Ganaków znalazłoby się w królestwie szarych obłoków. Nigdy, odkąd sięga pamięć naszych przodków, dzieci Ezata nie ważyły się zaatakować wioski.

Jukona zmarszczył brwi. — Ngomba musiał wyczuć, że zbliżają się Kezatje, ale jak, tego nie wiem.

Zanim Y'Taba zdążył odpowiedzieć, odezwała się Sajara. — Z atnalagą zdołał zabić mnóstwo Kezatij. Gdy krążyły wokół niego, krew tryskała z nich, jak diabelski deszcz. To była okrutna walka. Na niebie było gęsto od ptactwa, tak jak od bagiennych much nad moczarami. Ngomba brał na siebie walkę z najzłośliwszymi. Trzy lub cztery unosiły się wciąż przy nim. — Wyraźnie wyczuć można było w jej słowach podziw. — Przez jakiś czas dawał im odpór... ale ich było zbyt wiele. Nawet Ngomba nie był w stanie stawić czoła im wszystkim.

Conan był równie zainteresowany opowieścią, jak i dziewczyną, która ją snuła. Jego ciekawość co do Ganaków i ich skrzydlatych nieprzyjaciół rosła od dnia starcia na wybrzeżu zasypanym czaszkami.

— Czemu te sępy was atakują?

— Dla pożywienia — rzucił Y'Taba. — Ich wyspa jest jałowa. Wiele lat temu Kezatje ogołociły ją ze wszelkiego życia. Dzieci Ezata zamieszkują Zati, wielką skałę, na której nie ma ani ptaków, ani zwierząt, ani roślin. Nasi wrogowie nie potrafią nurkować i łowić ryb w morzu tak, jak robimy to my. Kiedyś polowały na Arawu, małej wysepce położonej pomiędzy naszą wyspą i Zati. Teraz na Arawu nie ma już życia. Jedyne, co tam zostało, to roślinność. Nawet ptaki zostały tam wytępione.

Conan żywo pamiętał tajemniczą ciszę, spowijającą wysepkę, na której po raz pierwszy zobaczył Ganaków. — Wybrzeże czaszek — wyszeptał.

Y'Taba skinął głową. — Od wieków wysyłamy naszych wojowników, by zmierzli się na Arawu z Kezatjami. Gdybyśmy tego nie uczynili, ich głód przywiódłby je tutaj, gdzie złupićby wioskę i wymordowały nasze rodziny... tak jak to zrobiły dziś. Od czasów, gdy po ziemi stąpał pierwszy Y'Taba, nasi wrogowie nie ważyli się napaść na Ganaku. Pokonaliśmy je na Arawu, skąd zabierają trupy swych własnych zabitych braci, by się nimi pożywiać — zostawiają tylko głowy.

Conanowi zrobiło się niedobrze, ale zapytał: — Ale jeśli pożerają się nawzajem, to jak mogą przeżyć?

— Nie mogą... po tym jak walczą między sobą, zjadając się nawzajem. Te stwory, które przeżyją, głodują. Tak przynajmniej było dotychczas — Y'Taba odpowiedział z powagą. — Ale zawsze po okresie spokoju powracają. Uważamy, że, zanim zdechną, składają jaja, z których po wielu miesiącach wykluwają się małe. Skorupy pękają i te bestie, które się wyklują zaczynają znów pożerać się nawzajem — silniejsze mordują słabsze. Te agresywne i silne szybko rosną, aż zdolne są latać. Z początku szukają żeru na Arawu i pochłaniają wszystko, co zdążyło pojawić się w ciągu kilku lat spokoju na spustoszonej przez ich przodków wysepce. Wiele Kezatij na pewno ginie w walce o jakiegoś schwytanego ptaka czy inne liche jadalne. — Y'Taba, przerwał na chwilę, by spokojnie odetchnąć. — Wiem o tym, bo Ataba, bóg nad bogami, objawił mi to we śnie. Ataba ostrzega nas przed przybyciem Kezatij. Conan, lekko zirytowany, podrapał się po policzku. — Dlaczego czekacie, aż będą zdolne latać? Zniszczcie jaja!

Jukona potrząsnął głową. — Gniazda na Zati znajdują się wysoko wśród skał, wyżej niż czubek któregośkolwiek drzewa na Ganaku. Niektórzy Ganakowie próbowali wdrapać się na tę skałę, ale żadnemu się to nie udało. Nie podobna wspiąć się na Zati.

Conan szczerze w to wątpił. Rzadko widział skalne ściany, na które byłoby niemożliwe wejść. Od dziecka uczył się wspinania na urwiste i kruche skalne ściany oblodzonych gór Cymmerii. Tu na tej wyspie, oczywiście, Ganakowie nie mieliby gdzie ćwiczyć się w takiej umiejętności. Nie przekonany, spytał. — Kto w takim razie, odkrył jaja Kezatij? — Omjdu, którego rodzice byli dawnymi naszymi przodkami. Gdy nasi wojownicy po raz pierwszy stanęli przeciw Kezatjom na Arawu, te podłe stworzenia schwytały Omjdu i paru innych i zaniósły je na Zati... żywych. Pozostali wojownicy wsiedli do łodzi i ruszyli w pościg za nimi. Omjdu niesiony w szponach bestii, zanim został wciągnięty do wnętrza wylęgarni,

zdołał skrócić kark swemu napastnikowi. Przez otwór na szczycie Zati zobaczył jaskinię wypełnioną niezliczoną ilością jaj. Były wielkie, a ich skorupy drżały pod naporem małych wykluwających się Kezatij. Bezradny, przyglądał się, jak inni Ganakowie zjadani są przez podłe stwory, które dopiero co się wykuły. W końcu Kezatje przyszły i po niego, ale on wolał skoczyć ze skały niż znaleźć się w żołądkach tych potwornych ptaków. Nasi wojownicy odnaleźli go połamanego i umierającego u stóp skały. Zanim odszedł na mroczne łądy, opisał wszystko, co widział. Starsi często powtarzają opowieść Omjdu.

— Jego krew płynie w moich żyłach — Sajara dodała z dumą.

— Ty i Jukona jesteście ostatni z tego rodu — przypomniał ze smutkiem Y'Taba, po czym rzucił spojrzenie Jukonie. — Jej brat — twój syn — spotkał się dziś z Muhingo. Spoczywa razem z innymi, którzy zginęli w starciu z Kezatjami.

— Pomja — wyszeptał Jukona, odwracając się ku leżącym na pagórku ganackim wojownikom. Łzy załśniły w jego oczach i popłynęły po starej, naznaczonej czasem twarzy. — Bunoab... Sobhuza... Rozwi! Na Asusę, co to za koszmarny dzień!

— Trzeba nam modlić się do Asusy o pomoc, nie wzywać jego imienia na daremno. — Złajał go Y'Taba. — Możliwe, że gniew bogów spadł na nas, a może bogowie skłóceni są między sobą. Tak czy inaczej, to jest czas modlitwy, choć także czas na podjęcie trudnych decyzji. — Wyprostował się, jego twarz przyjęła spokojny wyraz. — Sajara, dołączysz do starszyzny. Trzeba poruszyć wiele spraw, zanim wrócą Kezatje. Wezmę udział w dyskusji, gdy skończą zajmować się rannymi. Twoje podopieczne też odniosły rany, ale potrafię je wyleczyć. Co do Ngomby, obawiam się, że uleczyć mogą go jedynie bogowie, jeśli mu sprzyją.

Patrząc spode łba, Conan zacisnął pięści. — Jeśli nie zwróci miecza, nawet bogowie mu nie pomogą.

Jukona kiwnął głową. — 1 jeśli przeżyje, bidzie musiał zmierzyć się ze mną. Próbował mnie zabić w Krainie Śmierci. W moim sercu nie ma już miejsca na litość dla niego. Jego dzisiejsze czyny wcale nie zmywają plamy na jego honorze. Nie powinieś mu ufać, Przewodniku Duchowy! Wąż który dziś kąsał wroga, jutro może pokąsać przyjaciela. A ten wąż to najpotężniejszy z moich wojowników — i najbardziej niebezpieczny.

Y'Taba westchnął. — Pokój z tobą, Jukona! Kimkolwiek jeszcze jest Ngomba, przede wszystkim jest Ganakiem i nie jest jakimś zwierzęciem. Do tych spraw wrócimy później. — Dotknął dłonią rany na swoim czole. — Conanie z Cymmerii, swą broń dostaniesz z powrotem. Jeśli Ngomba przeżyje, możesz ukarać go za zło, które wyrządził, w sposób, jaki uważasz za stosowny. My nie będziemy ci przeszkadzać, ale też nie pomożemy ci bo taki jest nasz zwyczaj. Jeśli Ngomba umrze teraz, to potężny Ataba sam wybierze karę dla niego. — Jukona spojrział Jukonie prosto w oczy. — Jeżeli nasi ranni nie przeżyją, ty zostaniesz ostatnim wojownikiem Ganaków.

Wódz wojowników nie odrzekł ani słowa, stał ze wzrokiem utkwionym w ciała poległych towarzyszy broni.

Y'Taba, jakby znużony, powiedział już wolniej. — Conanie z Cymmerii, gdybyś chciał spotkać się ze mną później, chętnie cię przyjmę. Ja sam mam do ciebie kilka pytań. Jukona, my musimy rozmówić się, zanim dołączymy do starszyzny.

Sajara zerknęła w stronę Jukony, który zupełnie zapomniał o niej i powiedziała: — Ngomba nas dzisiaj uratował. Czy nigdy nie zobaczysz w nim wojownika o czystym sercu i dobrych zamiarach? — Odwróciła się od niego gwałtownie.

— Mówi szczerze — westchnął Y'Taba. — Ngomba walczył dziś godnie. Ale Sajaro, trzeba zrozumieć, że Jukona także mówi szczerze, podobnie jak njeni, przybysz, Conan z Cymmerii. Nikt z nas nie może ufać Ngombie. Lecz nie mamy teraz czasu, by o tym rozprawiać. Zanim zajmiemy się leczeniem ran na sercu i duszy, musimy zająć się rannymi. Ngomba, tak jak pozostali, potrzebuje mnie. Sajaro, odszukaj broń należącą do Conana z Cymmerii i przynieś mu ją. Potem zbierz starszyznę. Nasi wrogowie powrócą, i musimy się na to przygotować.

Sajara skinęła głową. Wyglądało na to, że nieco uspokoiła się.

— Spotkamy się w miejscu uroczystości. Moje łowczynie będą potrzebowały trochę czasu, by oczyścić plac zebrań z trupów Kezatij. — Jej twarz nieco spochmurniała, gdy spojrzała na porozrzucaną padlinę olbrzymich sępów.

Y'Taba ruszył w kierunku zabudowań. — Nie będziemy już tego miejsca nazywać miejscem uroczystości. Niech od dziś wszyscy nazywają je miejscem żałoby. Nigdy więcej nie będziemy tam ucztować. Gdybyśmy potraktowali poważnie ostrzeżenie Ngomby, lepiej stawilibyśmy czoło wrogom. — Poczłapał dalej, cicho do siebie mamrocząc. — Spośród nas wszystkich, on jeden wiedział. Trzeba mi przemyśleć to, co się stało i odnaleźć sens.

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

— Chętnie bym coś przekąsił — mruknął Conan. — Na Croma, jestem niemalże zagłodzony na śmierć! — Obserwował rozkoszną sylwetkę Sajary stąpającej przed nim. Swobodne, naturalne kołysanie jej bioder było bardziej podniecające, niż wyćwiczone ruchy tancerki z cesarskiego seraju.

— Racja Conanie — przytaknął Jukona. — Żałoba musi poczekać. Możemy zjeść i napić się, zanim Y'Taba wysłucha naszej relacji o wyprawie do Krainy Śmierci.

— Jak możecie patrzeć na śmierć i myśleć o jedzeniu? — Sajara potrząsnęła głową wzburzona. — Nakażę, by przyniesiono mięso i kuomo dla dwóch ludzi.

— Dla czterech ludzi — doradził Jukona. — Conan z Cymmerii może nie wygląda specjalnie potężnie, ale apetyt wojownika zawsze odpowiada j ego męstwu. Cymmerianin uśmiechnął się i z wielkim trudem oderwał wzrok od Sajary. Nie chciał rozżłościć Jukony gapieniem się na jego córkę. Bez słowa przyglądał się, jak mieszkańcy wioski trudzili uprzając trupy Kezatij, ciągnąc je w stronę bagna na skraju wioski. Widział jedynie najmłodszych i kilku starców. Ganakom nie przeszkadzało, iż ciała ich wojowników spoczywają na wzniesieniu, prażąc się w popołudniowym słońcu, spowite w chmary much. — Nie macie zwyczaju grzebania lub palenia umarłych? — spytał zdziwiony Conan.

Jukona uniósł brew.

— Grzebania? Palenia? Czy to jakiś rytuał z twoich stron?

— Rytuał, można tak powiedzieć. W wielu krajach, które znam, ludzie wykopują dla zmarłych w ziemi doły, nazywane grobami. Przysypują potem ciała piachem, gdy kapłan odprawia modły lub kobiety intonują żałobny śpiew. Stygijczycy mają nawet bardziej wyszukane zwyczaje. Budują obszerne pomieszczenia — grobowce lub nawet piramidy — w zależności od pozycji, jaką zmarły miał za życia. Inne ludy obywają się bez tego wszystkiego, paląc ciała, pozwalają im zmienić się w popiół.

— Kapłan... grobowce... piramidy... ogień... popiół — Jukona pokręcił głową. — Rozumiem nieco z tego, co mówisz, ale nie wszystkie słowa. Starszyzna posiada całą wiedzę Ganaków, może pojmie cię lepiej. Pozwól pokazać sobie wioskę, byś mógł dowiedzieć się czegoś o naszym życiu. — Poprowadził Conana obok długiej ławy wykonanej z drzewa, która z dwoma innymi ławami formowała trójkąt. W centrum znajdował się pagórek z ciałami poległych Ganaków.

— To nasz plac zebrań, gdzie lud zbiera się, by wysłuchać Y'Taby, opowieści starszyny, sprawozdań Ranioby, czy innych, ważnych dla wszystkich nowin.

Conan kiwnął głową. Drewniane ławy były gładko wypolerowanych przez wieki używania. Zauważył, że belki z jednej strony były delikatnie profilowane w czworokąty, z drugiej zaś w stożki. To i jeszcze coś w ich wyglądzie sprawiało, że wydawały mu się dziwnie znajome. Wątpił, by trzy drzewa zwyczajnie wyrosły w tak charakterystycznym, podobnym kształcie. A Ganakowie najwyraźniej nie posiadali umiejętności ciesielskich. — Skąd pochodzą te ławy? — spytał.

Jukona wzruszył ramionami. — Ktoś ze starszych powinien to wiedzieć, albo może Y'Taba. Spójrz tam. To miejsce, które wcześniej nazywaliśmy miejscem uroczystości, gdzie odbywały się uczy na cześć zwycięstwa, gdy nasi wojownicy wracali z Arawu. Zobacz, co Kezatje uczyniły, niech spadnie na nie klątwa Asusy! Zastanawiam się, czy bogini pomoże nam to naprawić.

— Na Croma, przecież to jest... — wyrwało się Conanowi. Szczęka mu opadła. Nawet z tej odległości widać było, że zadaszanie zrobione z wysuszonych liści i gałęzi, podtrzymywane przez kilka drzew to zniszczone płótno żaglowe, niewątpliwie pochodzące z głównego żagla jakiegoś starożytnego okrętu. Poplamiony i poszarpany fragment wisiał na drzewach niczym strzępy wiekowego całunu. To naprowadziło Conana na myśl, która kryła się głęboko w pamięci. Ławy, ze swym charakterystycznym kształtem były fragmentami szkieletu, ocalałymi kawałkami dużego statku. Conan nowym okiem spojrzał na wioskę, której pochodzenie nasuwało wiele pytań.

— Tak — przytaknął Jukona, źle odczytując reakcję Conana. — Teraz to ruina.

— Czy to prezent dla was od bogów?

— To prezent dla Kuhingi, pierwszego naszego przodka. To woal Jhaory. Gdy Kulunga ocaliła wioskę, odbyła się ucza ku czci bogów. Ale Ezat rozżłoszczony, że jego dzieci poniosły klęskę, cisnął na uczujących swe gorzkie łzy, by przerwać świętowanie. Jhaora, która nienawidzi Ezata bardziej niż jakiegokolwiek inne bóstwo, ofiarowała Kulundze ten woal, by chronił jego lud przed łzami Ezata.

Conan udawał zainteresowanie, gdy Jukona ciągnął swą opowieść. Możliwe, że wódz wojowników nie znał prawdziwego pochodzenia zadaszania nad miejscem uroczystości. A jeśli starszyzna znała przeszłość i rozmyślnie skrywa prawdę przed ludem? Conan postanowił

Moore Sean U - Conan i kłątwa szamana

chwilowo oszczędzić Jukonie dalszych pytań. Ale w rozmowie z Y'Tabą zamierzał zażądać paru prawdziwych wyjaśnień. Musiał opuścić tę tajemniczą wyspę, powrócić do Hyborii, gdzie mógłby poszukać lekarstwa na szamańską kłątwę. Im szybciej to zrobi, tym lepiej. Nie chciał już więcej tych dziwnych koszmarów. Co gorsza, zaklęcie mogło zadziałać znowu. Gdyby zadziało któreś nocy, w tej wiosce... wymordowałby ganackę starszyznę i dzieci. Przeszedł go dreszcz, na czoło wyszedł zimny pot.

Zawijały tu okręty, możliwe że wieki temu, ale Conan musiał dowiedzieć się, jaka jest prawdziwa przeszłość tego miejsca. Nawet starożytni żeglarze prowadzili dzienniki pokładowe i trzymali mapy. Jeśli tylko Cymmerianin mógłby się dowiedzieć, w jakim kierunku od wyspy leży kontynent, połowę swych kłopotów miałby z głowy. Jak dostać się na kontynent — to był już całkiem inny problem.

XIII

PIEŚŃ DUCHÓW

Ngomba jęknął, próbując unieść się na łożu z liści i mchu. Jego ciało było jedną wielką, czerwoną masą poszarpanego mięsa. Mniej poważne rany posmarowane były różnokolorowymi maściami, ciemne od krwi liście przykrywały jego głowę i górne części ciała, tam gdzie szpony Kezattij podrywały kawałki skóry.

Nad poranionym Ganakiem stał Y'Taba, obserwując go tak długo, aż zdecydował, co musi zrobić. Ngomba stracił dużo krwi, i jego skóra stała się tak blada, jak skóra przybysza. Soki z jagód jumbura i gurundi, które miały najpotężniejszą moc leczniczą, nie pomogły zasklepić się głębokim cięciom na ciele Ngomby. Y'Taba był przekonany, że cierpienie wojownika było karą, zesłaną przez bogów za grzechy pychy i nieposłuszeństwa.

Ngomba powinien wyzdrowieć. Możliwe, że nawet będzie bogatszy o mądrość, jeśli wyniesie coś z tej twardej lekcji, jaką dał mu ostatni dzień. Y'Taba pamiętał, jak dorasta Ngomba. Uparty chłopak, o ciętym języku, chłopak, który aż do tego dnia nie zaznał smaku porażki. I zawsze szedł swoją drogą bez przeszkód — aż do chwili, gdy Jukona zabronił mu związać się z Sajarą.

Ngomba starał się zdobyć sobie uznanie Jukony. Innych Ganaków w jego wieku zawsze przewyższał siłą i sprawnością, ale ponadto starał się jeszcze nieustannie przekraczać granicę swej własnej wytrzymałości. Gdy Jukona nakazywał wojownikom okrążyć wioskę siedem razy, z szybkością, na jaką tylko było ich stać, Ngomba okrążał ją zazwyczaj dwanaście albo czternaście razy. Gdy słońce już dawno schowało się za horyzontem i wszyscy wojownicy spali w swych chatach, Ngomba siedział zwykle z kimś ze starszyzny i rozmawiał chłonąc wszystko, co tylko usłyszał.

Ngomba uczył się cierpliwości. Z czasem poprosił Jukonę jeszcze raz o zgodę na ślub z Sajarą, tym razem według obowiązującego plemiennego zwyczaju. Ona sama też wstawiła się za Ngombą u Jukony, oświadczając, że wyjdzie za mąż wyłącznie za niego.

Jukona wciąż jednak odmawiał i nie dawał im swego przyzwolenia. Od tego czasu on i Ngomba zostali wrogami. Jeden do drugiego miał żal tak gorzki, jak sok z liści vankula. Młody wojownik wyzwiał Jukonę na pojedynek, zwany u nich Ghanuta. Ale Y'Taba zabronił im walczyć przekonując Ngombę, że winien najpierw wykazać się w starciu z Kezattjami.

Niedługo potem stara Ranioba wyznaczyła Sajarę na swą następczynię. Ślub stał się niemożliwy: Ranioba nie może wyjść za mąż tak długo, aż nie wybierze i nie wytrenuje swojej następczyni. W rezultacie sama Sajara zdawała się jakby tracić zainteresowanie Ngombą, od chwili gdy stała się Ranioba.

Ostatecznie wyglądało na to, że Ngomba poddał się i zrezygnował. Odsunął się od innych Ganaków, spędzał większość czasu samotnie. Jedyne entuzjazm budziła w nim teraz sztuka walki, w której celował. Jednocześnie im z większym zapałem ćwiczył się w walce, tym bardziej zgorzkniał i zgryźliwy stawał się dla otoczenia.

Y'Taba spoglądał na leżącego, zmaltretowanego syna, łaza zwilżyła pokryty zmarszczkami policzek. Żaden z Ganaków nie znał prawdy — ich Przewodnik Duchowy był ojcem Ngomby. Y'Taba nie miał zamiaru tego ujawniać. Bogowie powinni przekląć go za to, jak sądził. Przez jego milczenie, Ngomba cierpiał tak, jak nie powinien żaden Ganak.

Ngomba został poczęty dokładnie w wigilię dnia, gdy on miał zostać Y'Tabą. Okazał słabość w tę noc obłędu i bogowie ukarali go za to.

Starzy powiadają, że kuomo otwiera uszy człowieka na szept Anamobi, Bogini Księżycy, która upodobała sobie rozkosze ciała.

Bogini Księżycy nie musiała nic podszeptywać przyszłemu Y'Tabie tamtej nocy; piękno Nyony, Ranioby wystarczyło za wszystko. Kochał ją, ale Y'Taba, który poświęcił się miłości,

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

traci wiele ze swej mocy, której potrzebuje, by przewodzić duchom zamieszkującym muszle, które Y'Taba nosi na szyi. A Nyona była Ranioba. By móc związać się z nim, musiałyby wyznaczyć i wychować następczynię i zejść z drogi, jaką wybrała.

Po wspólnej nocy ona zniknęła w Krainie Śmierci. Minęło wiele dni. Gdy księżyc znów jaśniał w pełni, zaprzestano poszukiwań Nyony. Uznano, że na zawsze i bezpowrotnie pochłonęła ją Kraina Śmierci.

Gdy znów ją widział, był już Y'Tabą. Nie pamiętał swego poprzedniego imienia — było cieniem w jego umyśle, rozmyte jak ślad stopy w piasku, po deszczu. Tak działo się zawsze od czasów pierwszego Y'Taby. Ale nigdy jego pamięci nie miał opuścić obraz tej nocy, kiedy Nyona wróciła. Jedną z kobiet powiła tego dnia dziecko cierpiące na jakąś wyniszczającą chorobę. Y'Taba użył różnych ziół i jagód, wykorzystał całą swą wiedzę, uciekł się do wszelkiego rodzaju modlitw, próbując wyleczyć to dziecko. Ale bogowie nie dali mu żyć i porwali je na swe mroczne łądy.

Tej bezksiężycowej nocy, Nyona wślizgnęła się niepostrzeżenie do chaty Y'Taby. W ramionach trzymała małego chłopca... ich syna, Ngombę.

Błagała go, by oddał ich syna pod opiekę rodziców zmarłego chłopca, a on przystał na to. Po krótkim, pożegnalnym pocałunku, wyszła zabierając ze sobą ciało zmarłego dziecka i zniknęła. Wiele razy zastanawiał się, co się z nią stało. Może padła łupem bestii z Krainy Śmierci? Może zbudowała ukryty wśród drzew dom? Czasami w marzeniach widział, że Nyona wciąż żyje i przychodzi niekiedy na skraj wioski i obserwuje go oraz ich syna, z ukrycia.

Y'Taba zastonił twarz dłońmi, jego serce pękało pod ciężarem winy, którą dźwigał. Ten ciężar z każdym upływającym dniem stawał się coraz bardziej nie do zniesienia. Może to właśnie jego złe postępowanie spowodowało nieszczęście na mieszkańców wioski? Czy bogowie czekali tak długo, by go ukarać? Jeśli tak, krew wszystkich Ganaków po wieczność będzie płamić jego duszę. Przeszedł go dreszcz, choć w chacie było cieplej niż zwykle.

Przykucnął i położył dłoń na rozpalonym czole Ngomby.

— Miałeś rację, synu — wyszeptał. — Jestem starym głupcem. Niech bogowie przebaczą mi moją pychę i dadzą mi moc, bym mógł cię uleczyć. — Stary przewodnik duchowy zamknął powieki i zacisnął palce wokół swego naszyjnika muszli. Duchy odpowiadały tylko na wezwanie wybranych; ich tajemnica znana była jedynie Y'Tabom, którzy przekazywali ją sobie z pokolenia na pokolenie. Przez całe swe życie Y'Taba wzywał kilka razy na pomoc duchy zaklęte w muszlach.

Odpędzając od siebie szaleńcze myśli, oddychał powoli i głęboko. Przywoływanie duchów muszli przypominało nieco grę, w jaką bawią się często ganackie dzieci. W tej grze rzuca się płaskie kamienie na wodę w taki sposób, by odbiły się od jej powierzchni jak najwięcej razy i dotarły jak najdalej od brzegu.

Y'Taba jednak nie używał kamieni. Koncentrował myśli na swoim wewnętrznym głosie i szeptał słowa przeznaczone dla duchów muszli. Jedną dłonią dotykał spoczonego czoła Ngomby, drugą coraz mocniej zaciskał na naszyjniku. Jego słowa, jego myśli mknęły opadając się i unosząc, aż zniknęły gdzieś w oddali. Nasłuchiwał odzewu, czegoś, co przyszłoby w odpowiedzi do jego skupionego umysłu.

Tak! Usłyszały go. Poczuł na rękę, jakby zaczęły go równocześnie kąsać tysiące mrówek. Dziwne uczucie przenikało rękę i przemieszczało się wzdłuż niej, coraz wyżej i coraz głębiej, aż do kości. Głośnie brzęczenie — pieśń duchów muszli rozprzestrzeniło się, wydobywając z zaciśniętej pięści i ogłuszając Y'Tabę.

Ngomba otworzył usta i krzyknął, ale jego głos utonął w śpiewie duchów. Y'Taba ścisnął muszle tak uporczywie, że z jego dłoni całkiem odpłynęła krew. Pot spływał mu po twarzy, żyły pulsowały potężnie na skroniach. Duchy zbudziły się, ich pieśń brzmiała tak głośnie, aż była niemal nie do zniesienia. Walczył z pokusą otworzenia oczu. Duchy nie były zadowolone z tego, że je niepokoił. Ich pieśń urwała się tak nagle, jak nagle się zaczęła. Nie usłuchały go, oparły mu się. Będzie musiał postarać się bardziej.

Z walącym sercem, rozszalałym pulsem po raz wtóry wezwał duchy słowem. — Na wolę Assusy, Boga Słońca, przybądźcie do mnie — teraz!

Zwarł palce trzymające muszle tak mocno, że jedna pękła mu w dłoni, a kawałki wbiły się głęboko w ciało.

Pomieszczenie spowiła grobowa cisza, a przed Y'Tabą unosiły się duchy. Ukształtowane niby z wody, przeźroczyste i falujące, objawiły się nagle i drżały niczym krople rosy migocząc w mętym świetle wnętrza chaty. Ich postać zmieniała się nieustannie: wysokie, cienkie spirale; przysadziste, pulsujące tuż nad ziemią kule; płaskie, wirujące kręgi.

— Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy ostatni raz ważyłeś się nas zbudzić — ich głos był

jak ciężki, odległy lament. — Znów odpowiadamy na twój zew, po to by oddać cześć Assusie. Mów, w jakim celu nas niepokoisz.

— Uleczcie Ngombę, który leży tutaj przed wami. Obmyjcie jego rany swą życiodajną wodą i niech będzie równie zdrowy, jak niegdyś.

Wirując, zmieniając kształty, duchy przemówiły ponownie. — Wiesz, że złamałeś przysięgę, która wiązała także nas, każąc być ci posłusznym. Złączyłeś się z kobietą o imieniu Nyona.

— To było tak dawno temu — starał się bronić Y'Taba.

— Twój głos nie jest w stanie nakłonić nas, byśmy poddali się woli Assusy. Na Muhingo, którego ulubieńcem jest Assusa, uczynimy to, po co nas wezwałeś. Wiedz tylko, że jeden jedyny raz przybędziemy na twój zew, i tylko wtedy, gdy zwrócisz się do Muhingo.

Zlały się błyskawicznie razem, tworząc falę, która przetoczyła się przez ciało Ngomby, po czym rozplynęła w powietrzu.

Y'Taba usiadł ciężko dysząc. W uszach mu dzwoniło, tępy ból przeszywał ciało i przenikał kości. Spojrzał na syna, któremu zabiżniały się rany, w niepojęty sposób znikwały ślady ciężkich obrażeń. Uświadomiwszy sobie, że cały czas ścisnął kurczowo naszyjnik, Y'Taba rozluźnił obolałą dłoń. Kawałki strzaskanej muszli tkwiły zatopione głęboko w ranie, krew płynęła stamtąd cienkimi strużkami.

Ngomba poruszył się i spojrzał na twarz Y'Taby spod półprzymkniętych powiek. Głos starego przewodnika duchowego był ochrypłym szeptem. — Twoje ciało jest zdrowe. Odpoczywaj, Ngombo, niech zdrowieje twój duch.

Młody Ganak znów zamknął oczy. Zaczął oddychać spokojnie i równo, stopniowo zapadając w sen.

— Jeśli chodzi o mnie — Y'Taba mruknął pod nosem — noc będzie bardzo długa. Usunął kawałki muszli z dłoni i przetarł krew wilgotnymi liśćmi. Wstał powoli i rozprostował ramiona. Jego ludzie potrzebują silnego Y'Taby, musi wyglądać na pewnego siebie mężczyznę, nie na zmęczonego czy przestraszonego starca. Powstrzymując ziewanie wyszedł z chaty, by odszukać przybysza i wysłuchać jego opowieści. Potem będzie czas na podejmowanie decyzji, dzięki którym można będzie uratować mieszkańców wioski — lub przez które wszyscy zostaną zgubieni...

Jukona poruszył się na wygładzonej ławce, stojącej na krawędzi placu zebrań. Ogarnęło go nagłe zmęczenie.

Wspólnie z Conanem kończyli opowieść o wyprawie do Krainy Śmierci Y'Taba i grupka starszych mieszkańców wioski słuchali, wpatrując się w nich intensywnie. — I gdy znalazłem Conana, zobaczyłem, jak jego duch odłącza się od ciała — Jukona wziął głęboki łyk kuomo i odstawił opróżnioną skorupę orzecha kokosowego. — O ile nie była to jakaś sztuczka rodem z Krainy Śmierci, rzucałeś dwa cienie — jeden przypominał kształtem ciebie i drugi był jakiś zupełnie inny. Nie wiem, jak coś takiego jest możliwe — chyba że mieszkają w tobie dwa duchy. A może to normalne u ludzi z Cymmerii, Conanie?

Conan zastanowił się. Dwa cienie?

— Nie, pewnie to cień drzewa, lub, jak rzekłeś, jakaś sztuczka. — Pociągnął nieco kuomo ze swojego naczynia. To był znośny, całkiem mocny trunek, w smaku przypominający trochę zembabwańskie wino kokosowe.

Jukona podrapał się w głowę. — To coś było większe niż którykolwiek Ganak. Głowa olbrzymia i jakaś niekształtna, ramiona sięgały prawie do ziemi. Nogi krótkie ale grube. Przypominało to bardziej zwierzę... niż człowieka. Mam nadzieję, że nie spotkam nigdy czegoś, co rzuca taki cień. — Chwycił następny wydrążony orzech i łyknął kuomo.

Y'Taba zmarszczył czoło. — Cień nie był złudzeniem, ani sztuczką Krainy Śmierci — rzekł patrząc w twarz Conana. — Gdy widzieliśmy się po raz pierwszy, Conanie z Cymmerii, dostrzegłem to zwierzę. Czaiło się w twoich oczach. Wiło się, jakby chciało unikać jaśniejszego oblicza Asusy, Boga Słońca.

Conan jęknął, przesunął swoją dłoń w stronę rękojeści miecza, który w końcu zwrócono. Ten przewodnik duchowy nie był oszustem, w jakiś sposób rozpoznał piętno szamańskiej kłątwy. Bestia w nim wciąż czyhała, bez wątplenia czekając na następną pełnię księżyca. Conan wdrygnął się na wspomnienie rzezi, jaką on, małpa, zostawił za sobą na pokładzie statku... rzezi straszniejszej niż spustoszenia dokonywane przez bandy oszalałych aesirskich wojowników.

Pewna myśl przemknęła mu przez głowę, rozpalając mały płomień nadziei w jego sercu. Wcześniej Y'Taba mówił coś o uzdrawianiu chorych czy rannych. Był szamanem, był przewodnikiem duchowym. Ale czy posiadał moc, by odwrócić ciężący na nim czar?

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

— Lecz każdy człowiek kryje w sobie bestię — ciągnął Y'Taba, a starsi poważnie pokiwali głowami. — Nowo narodzony jest bardziej zwierzęciem niż człowiekiem, ale bogowie wlewają ludzkiego ducha silniejszego niż to zwierzę w ludzkim ciele. Zwierzę daje nam siłę, a bogowie mądrość. Równowaga między jednym i drugim odróżnia nas od zwierząt takich, jak Kezatje, którymi zawładnęła wyłącznie zwierzęcość. O nich jednak pomówimy później, by zdecydować, co należy uczynić.

— Ty, Conanie z Cymmerii, weź udział w dyskusjach. Walczyłeś już ramię w ramię z naszymi wojownikami, zabijając wielu naszych wrogów. Nic nam nie jesteś winien. Mimo to proszę cię w imieniu moich ludzi, byś pomógł nam jeszcze w tym, co może jest naszą jedyną szansą na przetrwanie. — Rzucił okiem na surowe, poważne twarze starszych, z których wielu patrzyło teraz na Conana.

Jukona poderwał się gwałtownie i przemówił do Y'Taby z błyskiem gniewu w oczach. — Na Asusę, jak śmiesz go o to prosić? Stań po naszej stronie, choć nie jest jednym z nas i odwrócił losy bitwy. A my podziękowaliśmy mu za to kradnąc jego broń i zostawiając go, by umarł.

— To ty porzuciłeś go na wybrzeżu kości — Y'Taba rzucił groźne spojrzenie. — Jako wódz wojowników, winieneś być przeciwstawić się Ngombie.

Jukona poczerwieniał, zwiesił głowę i opuścił ręce. — Jest jak mówisz, Y'Tabo. Lecz w ten sposób nie zostawiasz Conanowi wyboru, bo jest on człowiekiem honoru. Jeśli odmówi, splami swój honor, a jak rzekłeś, nic nie jest nam winien — westchnął głośno — choć rozumiem, czemu prosisz o jego pomoc.

Y'Taba wstał. Wzrostem przewyższał nawet Jukonę, a jego poważne, uroczyste spojrzenie sprawiało, że zdawał się być jeszcze potężniejszy. — Conanie z Cymmerii, jesteś pod każdym względem tak świetnym wojownikiem, że dorównujesz każdemu Ganakowi. Starszyzna przekonana jest, że bogowie przysłali cię, byś uratował nas przed zgubą. Nie wiemy jak, o ile w ogóle możemy pokonać Kezatje. Wielkie czarne chmury zawisły nad naszymi głowami.

Tak jak to zdarzało się w przeszłości, jeden wojownik może przemienić klęskę w zwycięstwo... może sprawić, że przeżyjemy. Jako duchowy przewodnik posiadam wiedzę, jakiej nie posiada żaden inny Ganak. Każdy Y'Taba trzyma pieczę nad pewnymi tajemnicami. Tej nocy wyjawię ci coś, o czym nie wie nawet plemienna starszyzna. W nadziei, że uda się uratować mój lud, złamię przysięgę, którą złożyłem dawno temu Y'Tabie, mojemu poprzednikowi. Objawił mi on prawdziwą naturę i pochodzenie Krainy Śmierci, ale musiałem przysiąc mu, że nie zdradzę tego sekretu. W tym mrocznym miejscu znajduje się coś, co może jest naszym jedynym ratunkiem, lecz to, co się czai na drodze do tego, może być znacznie gorsze niż Kezatje. Z twoją pomocą, Conanie z Cymmerii, możemy odnaleźć i odzyskać to, co zostało stracone dawno temu... to, co ma moc pozwalając nam uwolnić się od naszych wrogów — uwolnić na zawsze.

Conan pochylił się, w głowie miał zamęt od nadmiaru myśli. W głosie ganackiego przewodnika duchowego było coś, co przyciągało jak magnes, nie pozwalało oderwać się od niego. Oczy najstarszych mieszkańców wioski błyszcząły w zaciekawieniu i oczekiwaniu, Jukona siedział bez ruchu, najwyraźniej zupełnie zapomniał o swym kuomo. Cymmerianin wziął głęboki oddech próbując rozpedzić napięcie, które go trzymało.

Y'Taba cofnął się o krok, ujmując w palce swój naszyjnik. — Dawno temu, w czasach dawniejszych niż czasy naszych pierwszych przodków, Ganaku zamieszkiwało plemię olbrzymów. Ich język i obyczaje były całkiem odmienne od naszych. Nawet nazwa tej wyspy była wtedy inna. Nazywali ją Rahama. W sercu Rahamy biło źródło zaczarowane przez bogów, które tryskało wysoko chłodną i czystą wodą. Nazywali je fontanną bogów, a ci którzy kosztowali jego wód nigdy nie chorowali, ani się nie starzeli. Wdzięczni Rahamanie wybudowali wokół źródła kamienny mur. Każdy z kamieni był zaklęty i był jak modlitwa. To cieszyło bogów, którzy zesłali Rahamanom swoje błogosławieństwo na wiele urodzajnych lat. Rahamanie rozmieścili się na wyspie, żyjąc jak ulubieńcy bogów, nie znając strachu, głodu czy chorób. Nigdy nie byli atakowani przez Kezatje, a Kraina Śmierci jeszcze wtedy nie istniała. Rahamanie byli mistrzami kamienia. Postawili wokół wioski zewnętrzny mur, który chronił przed burzami, które na Rahamanę zsyłali bogowie zazdrości. Wkrótce po tym, gdy budowa została ukończona, u brzegów wyspy zjawiły się trzy łodzie. Były wielkie, o wiele większe niż nasze łodzie, a ich konstrukcja tak samo dziwna, jak ludzie, którzy przybyli na nich zza morza. Ci ludzie byli mali, mniejsi nawet niż Conan i skórę mieli bladą jak kuomo. Ich przywódcą była Jhaora, kobieta pochodząca z ziemi, których nawet nazwy nie znamy. Rahamanie przyjęli ją godnie, a ona szybko poznała i zrozumiała moc fontanny bogów. Te wody zachowywały jej młodość i urodę, co oczywiście ją cieszyło. Ale niezadowolone budził w niej fakt, że musi się dzielić tym skarbem z Rahamanami. Nadeszła

noc zdrady, gdy Jhaora i jej ludzie zaatakowali Rahamanów. Napadnięci we śnie Rahamani zostali zmasakrowani. Niewielu udało się zbiec. Znaleźli oni schronienie w miejscu, w którym teraz znajduje się nasza wioska. Towarzyszyła im część poddanych Jhaory, ci którzy odmówili brania udziału w zdradzie i mordzie popełnionym na Rahamanach.

Y'Taba przerwał, by wziąć łyk kuomo. Słuchacze siedzieli cicho w ogromnym skupieniu.

Sajara i jej podopieczni, zebrani z tyłu za starszą słucho jak zaczarowane. Y'Taba podniósł głos. — Dzieci tych ludzi, to nasi pierwsi przodkowie.

Nagły szmer rozległ się wśród zgromadzonych. — Na Asusę! — przez chwilę okrzyki młodych mieszały się ze wzbudzonymi głosami starszych, aż znowu zapadła całkowita cisza.

Y'Taba ciągnął dalej tajemniczą historię. — Bez kontaktu z wodami fontanny Rahamanie poczęli zapadać na zdrowiu i z biegiem lat, umierać. Co gorsza, Jhaora przemieniła mur dziękczynnych modlitw w mur bluźnierstw. Jej ludzie umieścili wizerunek własnej okrutnej bogini zła na murze otaczającym wioskę i zamurowali wszystkie wejścia z wyjątkiem jednego. Rahamanie zwracali się do Jhaory o litość, lecz ona zabijała każdego, kto pojawił się w obrębie murów wioski. Rahamanie modlili się o pomoc, ale cała potęga ich bogów uwięziona była w wodach fontanny. Jedyne, co mogli zrobić to przemienić działanie źródła. Od tej pory każdy, kto napił się z tego źródła, został zmieniony w uosobienie zła, złośliwą bestię, której jedyny cel to mordowanie. Wody fontanny wkrótce przestały skrapiać ziemię i rozpieczęły się gdzieś pod ziemią. Niedługo potem żadne życie nie było w stanie rozkwitnąć w obrębie murów, a podłe bestie zasiedlając dawną wioskę musiały przenieść się do dżungli, by tam grasować. Wówczas bogowie rahamańscy próbowali przywrócić światłość miejscu oczyszczając źródło, i oddać ludziom życiodajną wodę. Ale Jhaora, zanim straciła swą ludzką, kobiecą postać, zdążyła zwrócić się do swej okrutnej, mściwej bogini o pomstę. Bogini zła walczyła z bogami Rahamanów, a do straszliwej walki przyłączyli się zazdrośni bogowie burz. W tym starciu bogini Jhaory i bogowie rahamańscy zostali zniszczeni. Źródło wyschło. Co się stało z bestią, w jaką przemieniona została Jhaora, nie wiadomo.

Conan słuchał każdego słowa, niezmiernie zaintrygowany. Pochodzenie potężnego zamku stało się już jasne. Ale skąd przybyła Jhaora? Do której z hyboryjskich ras należeli ci mali, jasnoskórzy ludzie, którzy przyplynieili razem z nią? Czuł, że odpowiedź znajduje się w zasięgu ręki, gdyby tylko miał jeszcze kilka wskazówek.

— Rahamanie — ciągnął dalej Y'Taba — nigdy nie wrócili do swojej ostoi murami wioski. Dżungla rola się od wszelkiego rodzaju podłych stworzeń, trudy przetrwania do końca wypełniały czas Rahamanów. Zaczęli nazywać się „Ganakami”, co znaczy „zrobieni z kamienia”. Ale nie pracowali już w kamieniu, jak niegdyś, byli poddanymi Jhaory, a ci, którzy przyłączyli się do nich, byli zbyt słabi i nie posiadali takich uzdolnień. To był prawdziwy czas próby, a sytuację pogorszyło jeszcze zjawienie się Kezatij. Gdy napadły Ganaków po raz pierwszy, były bardzo nieliczne. Ale za każdym razem, gdy pojawiały się znowu, było ich coraz więcej. Ganakowie modlili się do bogów o pomoc, ale nie było w nich nadziei, bo wiedzieli, że rahamańscy bogowie już nie istnieją. Większość ludzi Jhaory czciło boga o imieniu Azhura. Ten bóg nie był ani bogiem złym, ani dobrym. Ale Jhaora zmusiła niektórych, by zaprzędali swe dusze Khatarze, bogini śmierci. — Wskazała dłonią jednego ze starszych, który miał na ciele wymalowane żółte trójkąty. — Ich potomkowie noszą specjalne znaki, by chronić swe dusze przed Khatarą. Ta bogini nie słucho niczych modlitw, chyba że towarzyszą temu krzyki ofiar jej poświęconych. Jeśli chodzi o Azhurę, to słucho on jedynie głosu kapitanów, z których żaden nie znalazł się na Ganaku. Nasi przodkowie przepadliby, gdyby nie Muhingo, Bóg Wojny.

Conan, słuchając ostatniej części opowieści Y'Taby, mało co nie udławił się kuomo.

Azhura... czy to przypadkiem nie Asura, bóg Vendhyan? Khatar, choć Y'Taba dziwnie to imię wymawiał, to z pewnością Katar, zła vendhyańska bogini. Conan spędził trochę czasu w Vendhii. Leżała wiele mil na wschód od Iranistanu. Choć należały do niej spore obszary Oceanu Południowego, nie posiadała żadnego naprawdę dobrego portu. Ludzie zamieszkujący te ziemie i ich zwyczaje były dziwne. Może Ganaku była jedną z Wysp Mgieł, małego archipelagu na zachód od Vendhii. Jeśli tak, jak wyliczał, przedryfował ponad pięćset mil po zatonięciu „Pani”. Skupił znów uwagę na opowieści Y'Taby, mając nadzieję, że dowie się czegoś więcej.

— Muhingo ukazał się we śnie, naszemu pierwszemu przodkowi i zarazem pierwszemu Y'Tabie. Powiedział, że Kezatje to dzieci jego brata, Ezata. Opowiedział także o Atabie, Ojcu Wszystkiego i Asusie, Bogu Słońca, którzy są potężni i dobrzy. Bogowie ubolewali nad swym synem, który stał się zły i sprowadził na Ganaków nieszczęście. Atabaynie pozwolił Muhingo zabić Keztij, lecz pozwolił mu przekazać ludziom kabukruh, który noszony jest przez Y'Tabę. — Uniósł na chwilę swój naszyjnik z czarnych muszli. — I rzekł pierwszemu

Y'Tabie Muhingo: — Będziesz od teraz Y'Tabą, Przewodnikiem Duchowym. Niech za tobą kroczą twoi ludzie, drogą Asusy. W tym celu czynię cię władcą duchów zaklętych w kabukruh. Wybierzesz jednego ze swych ludzi na wodza wojowników i rozkażesz duchom mieszkającym w muszlach, by go chroniły. Wyślesz wodza i jego wojowników na miejsce bitwy, które ci objawię. Tam twoi ludzie odniosą zwycięstwo, dzięki któremu dzieci Ezata nie napadną na waszą wioskę. Duchy muszli mają jeszcze inną moc; możesz rozkazać im wyleczyć chorych czy umierających. Będą ci posłuszne tak długo, jak długo twoi ludzie będą kroczyć drogą Asusy, lecz jeśli... — Y'Taba przerwał, by zwilżyć sobie gardło. — Jeśli kiedykolwiek zwiążesz się z kobietą, lub jeśli kobieta powije tobie dziecko, twoja władza nad duchami kabukruh skończy się. Jeśli zboczysz z drogi Asusy, duchy przestaną ci być posłuszne.

— Czy my zboczyliśmy z właściwej drogi, Y'Tabo? — spytał zmartwiony Jukona, zamyślając się.

— Możliwe, że tak. To już kiedyś się zdarzyło — dawno temu, gdy nasz pierwszy wódz wojowników zestarzał się i odszedł na mroczne lądy? Nasi wojownicy rozpoczęli bratobójczą walkę, po której pozostał żywy jedynie Kulunga. Wtedy Muhingo po raz drugi przybył do Ganaku, by nam pomóc. Od tamtego czasu Kezatje nie zjawiły się w wiosce. Aż do teraz. Możliwe, że cierpimy za złe czyny Ngomby.

Jeden ze starców o spokojnej, pomarszczonej twarzy, powiedział cicho: — A co z Kulungą i atnalagą? Czy wybraniec Kulungi może znów przyjść nam z pomocą?

Zebrani spojrzeli na Y'Tabę, czekając na odpowiedź.

— Tu właśnie potrzebna jest pomoc Conana, — odrzekł uroczyście Y'Taba. — Gdy mówiłem wam, że Muhingo zabrał ze sobą Kulungę i atnalagę, nie mówiłem prawdy. Powtarzałem to, co musiał powtarzać każdy Y'Taba. Cieszę się, że wreszcie dowiedziecie się prawdy, choć łamię swoją przysięgę. — Wziął głęboki oddech i ciągnął dalej. — Kulunga nie został zabrany przez Muhingo. Po pokonaniu Kezatij udał się w tajemnicy przed swymi ludźmi do Krainy Śmierci Wiedział o tym jedynie Y'Taba i zabronił Kulundzie iść na tę wyprawę. Lecz wybraniec nie posłuchał. Chciał odszukać fontannę bogów i na nowo zasiedlić dawną wioskę Rahamanów. Miał nadzieję, że dzięki atnaladze zdoła zwyciężyć nikczemne bestie panoszące się w czarnym sercu Krainy Śmierci. Wyruszył na swoją wielką wyprawę... i nigdy już nie wrócił do swego ludu.

— Dlaczego prawda była ukrywana? — chciał wiedzieć ktoś ze starszyny. W jego głosie brzmiała złość.

Y'Taba potrząsnął głową. — Nie wiem. Ale Ganakowie na pewno dość wycierpieli.

Y'Taba może uznać, że niemądrze byłoby odbierać ludziom nadzieję, gdy posiadał jeszcze naszyjnik, a duchy były mu posłuszne.

Pośród zebranych podniósł się szmer, ale natychmiast ucichł, gdy odezwał się Conan. — Słyszałem już dość. Na Croma! Powiedz, o co chcesz mnie prosić a uzyskasz moją odpowiedź.

— Widziałeś już mury otaczające starą wioskę — odrzekł spokojnie Y'Taba. — Nikt z tu zebranych, z wyjątkiem ciebie i Jukony, nie wie, gdzie się one znajdują. Jukona to nasz ostatni wojownik i musi zostać na straży swych ludzi na wypadek, gdyby Kezatje uderzyły ponownie. Jeśli duchy muszli wciąż są mi posłuszne, będą chronić go tak, jak zawsze.

— Więc może to ja powinienem pójść! — Jukona poderwał się z miejsca. — Wyślij mnie! A wioski niech broni Conan.

Y'Taba potrząsnął głową.

— Jedynie wybraniec może dzierżyć atnalagę. Każdego, kto nim nie jest, czeka śmierć, gdy położy na niej rękę. Wierzę, że to Muhingo przysłał do nas Conana. Conan z Cymmerii jest wybrańcem Kulungi.

Conan opróżnił skorupę pełną kuomo i cisnął ją na bok. Podnosząc się z ławki, powiedział: — Więc chcecie bym jeszcze raz włókł się przez tę wstrętną Krainę Śmierci, wkroczył do opętanej przez demony wioski i przyniósł wam atnalagę. Na Croma! Człowieku, czemu nie powiesz od razu! Zrobię to — lecz przedtem musisz obiecać mi, że użyjesz tego swojego naszyjnika, by przepędzić bestię, którą dostrzegłeś we mnie.

Y'Taba uchwycił swój naszyjnik z muszli. Czy uda mu się przywołać Muhingo? Czy duchy usłuchają go raz jeszcze? Nie wiedział tego, wiedział jedynie, że nie może się wahać. Nie miał wyboru, musiał obiecać, że uczyni to, czego Conan zażądał. Spojrzał swymi brązowymi oczami prosto w roziskrzone, błękitne oczy barbarzyńcy. — Obiecuję, na Asusę Boga Słońca i Atabę Ojca Wszystkiego, że z pomocą duchów kabukruh przepędzę z ciebie bestię.

— Nie będziesz musiał iść sam, Conanie — dodała Sajara, występując przed

zgrupowanych. — Ja i jeszcze trzy kobiety będziemy ci towarzyszyć.

— Możemy was tu potrzebować — odrzekł surowo Y'Taba.

— Lecz jeśli Conanowi się nie powiedzie, możemy zginąć wszyscy — odpowiedziała Sajara, krzyżując ramiona na piersi. — Jako że jestem Raniobą, decyzja należy do mnie, a ja już ją podjęłam.

Y'Taba westchnął — Niech więc tak będzie.

— Wyruszymy o świcie — ustalił Conan uśmiechając się lekko i poklepując dłonią rękojeść miecza. Patrzył przez chwilę, jak Sajara zbiera swoje podopieczne, opuszczając plac zebrania. Jej egzotyczna uroda zdawała się, bardziej upajać go niż kuomo. Co więcej, Sajara wyglądała na równie silną, a on wielce cenił tę rzadką u kobiet zaletę. Był przekonany, że Ranioba dowiedzie swojej dzielności w dżungli, jeśli zaatakują ich wstrętne pająki czy jakieś gorsze paskudztwo.

Conan zdecydował już wcześniej, że odwiedzi dziwną wioskę Rahamanów i zrobiłby to niezależnie od tego, czy Y'Taba obiecałby mu pomóc, czy nie. Cymmerianin zdawał sobie sprawę, że za tamtymi murami może znaleźć dzienniki okrętowe czy mapy Jhaory. Dzięki nim mógłby znaleźć drogę na kontynent. A rubiny tkwiące nad wejściem do wioski, jeśli tylko znalazłby bezpieczny sposób na ich zdjęcie, uzyskałyby niezłą cenę w jakimkolwiek cywilizowanym mieście. Każda z tych błyskotek warta była co najmniej komnaty wysypanej złotem.

Zadowolony, pożegnał zebranych, i udał się na spoczynek. Miał wrażenie, że pech zaczyna go powoli opuszczać.

XIV

VUGUNDA

W promieniach wschodzącego słońca listowie dżungli błyszcząło niczym szmaragdy.

Conan oddychał głęboko wilgotnym nadmorskim powietrzem. Po nocy bez koszmarów i solidnym posiłku, złożonym między innymi ze smacznych, surowych ryb panga obudził się pełen sił. Wbrew oczekiwaniom, długi wieczór intensywnego popijania kuomo nie przyniósł żadnych niepożądanych skutków. Pomimo nieznacznego klucia w miejscu, w którym niedawno niemalże przepołowili go szczęki olbrzymiego pająka, Conan czuł się jak nowo narodzony.

Y'Taba stał razem z grupą starszyny w pobliżu placu zebrania. Jego oczy były obrzmiałe i lekko zamglone. Widocznie nie spał tak dobrze, jak barbarzyńca — jeżeli spał w ogóle.

— Ta broń, atnalaga, zrobiona jest z kamienia? — W głosie Conana wyraźnie pobrzmiwał sceptycyzm. — I jednocześnie przypomina mój miecz. — Chwyć rękojeść swego miecza, wypolerowana stała roziskrzyła się w słońcu.

— Nikt z nas tu obecnych, nie widział atnalagi, to oczywiste — rzekł Jukona zbliżając się do Conana i włączając do rozmowy.

Y'Taba przetarł oczy i zamrugał kilka razy, żeby lepiej widzieć.

— Jukona mówi prawdę, ale nie powinieneś mieć żadnych trudności w rozpoznaniu atnalagi. Nasze legendy opisują ją szczegółowo. Jest długości męskiego ramienia, ma kształt węzowego kła i kolor morza w spokojny dzień. Mówi się, że kamień, z którego Muhingo wykonał atnalagę, pochodzi z daleka... z miejsca bardziej odległego niż mroczne łądy, skądś, gdzie mogą zamieszkiwać jedynie bogowie. Choć zrobiona jest z kamienia, jest ponoć ostrzejsza niż najlepiej wyszlifowane muszle.

Conan starał się wyobrazić taką broń i w zdumieniu pokręcił głową. Nigdy nie widział czegoś takiego, ani o niczym takim nie słyszał. Szczerze mówiąc, powątpiewał nieco w istnienie tej rzeczy. Ludzie, którzy snują różne opowieści, czasami sami upajają się nimi i mają skłonność do wzbogacania swych historii za każdym razem, gdy przedstawiają je komuś, kto ich jeszcze nie zna. Nawet uczeni historycy czy mędracy na swój sposób upiększają wiedzę, zdając sobie sprawę, że prawda leży milcząca, pogrzebana na zawsze w dusznych grobowcach, razem z tymi, którzy ją rzeczywiście znają. Conana zresztą mało obchodziło, czy atnalaga wykonana była z kości udowej Mitry, czy z czegokolwiek innego. Ważniejsze było, czy uda mu się broń odnaleźć i dostarczyć Ganakom.

Cymmerianin odwrócił się, słysząc ciche kroki za plecami. Tuż za nim stała Sajara, obok niej trzy inne ganackie kobiety — wszystkie się uśmiechały. — Na Croma — mruknął pod nosem. Zbliżyły się do niego ciszej niż kot stąpający po grubym, miękkim kocu. Było tak, jak myślał — Sajara i jej podopieczne będą dobrymi towarzyszkami w tej wyprawie.

— Conanie z Cymmerii, czy jesteś już gotów zmierzyć się ponownie z Krainą Śmierci? Uśmiechnął się. — Byłem gotów już ostatniej nocy. Ale co wam zajęło tyle czasu?

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

— Obudziliśmy się dość dawno, zanim oblicze Anamobi, Bogini Księżyca, zniknęło z nocnego nieba. Avrana, Kanitra, Makiela i ja schwytałyśmy i przygotowałyśmy parę ryb, co zwykle robimy, zanim inni wstaną. Potrzebna nam przecież żywność. Zwierzęta i rośliny, które występują w Krainie Śmierci nie nadają się raczej do jedzenia.

Conan mruknął coś, potakując. Pamiętał wyraźnie swoją nie najciekawszą przygodę z pajęczymi jajami. Teraz niechętnie zaczął nacierać się jagodami, które dał mu Jukona. Patrzył z niesmakiem na to, co tamten czynił. — Sok z tych jagód śmierdzi jak zamoryjskie doły na odpadki.

Jukona uśmiechnął się. — Jagody nie mają żadnego zapachu, nadają tylko kolor. To co czujesz, to świeże odchody ptaków tsatsa, które polują na leśne stworzenia. Zapach ich jest silny i odpędza owady, także te krwio pijne, których ukąszenia mogą przynieść chorobę lub śmierć. Mieszmamy sok z jagód z odchodami, by dla ochrony pomalować nasze ciała. Wkrótce przyzwyczaisz się do zapachu.

Conan patrzył niepewnym wzrokiem na swój wysmarowany korpus i kończyny, i wzruszył ramionami. — Na pewno ten sam zapach, który odpędza różne stworzenia, inne przyciąga. Może nawet skusi takie, których ukąszenia są potężniejsze niż ukąszenia owadów. Nie ważne, nie dbam zresztą o to, jak podły to zapach, jeśli jest to przydatne w dżungli. Ważne, żebyśmy w końcu wyruszyli. Może odnajdziemy atnalagę dość szybko i zdołamy wrócić z nią do wioski przed zmierzchem. Wolałbym już nie spędzać nocy w Krainie Śmierci.

Zgoda była powszechna.

Jukona zwrócił się do Y'Taby. — Jak dziś czuje się Ngomba?

— Jego ciało leczy się. Wstyd mu za to, jak potraktował ciebie i Conana, i prosił mnie, bym życzył wam bezpiecznego i szybkiego powrotu. Prawdę powiedziawszy, jest przygnębiony nie mogąc iść z wami.

Jukona wbił wzrok w ziemię i nie powiedział ani słowa.

— Wkrótce wrócimy — rzekł Conan, odchodząc od tematu. Nie wybaczył jeszcze do końca impulsywnemu Ganakowi.

Po krótkich pożegnaniach, grupa ruszyła i opuściła wioskę. Conan i Sajara szli za Makiela, najwyższą z kobiet. Dwie łowczynie stapały za nimi trzymając w rękach włócznie. Obydwie kobiety miały przymocowane u lewego biodra worki ze skóry, które zawierały sporą ilość pożywienia. Makiela stapała na przodzie z wdziękiem pantery. Obserwowała ziemię, szybko odszukując drogę, którą dzień wcześniej przeszli Conan i Jukona.

— Makiela jest zwiadowczynią, która nie ma sobie równych — z dumą szepnęła Sajara. Conana to nie poruszyło i krytycznie przyglądał się wysokiej kobiecie. — Krainę sąsiadującą z Cymmerią zamieszkuje lud nazywany Piktami. To są ludzie urodzeni i wychowywani w lasach. Piktyjski zwiadowca potrafi wysledzić węża aż do miejsca, gdzie gad składa swe jaja. Każdy człowiek lasu z łatwością odnalazłby ślady, które zostawiliśmy z Jukona.

Jednak w duchu Conan musiał przyznać, że kobieta tropiła równie szybko, jak niejeden z Piktów, których spotkał. Z pewnością też dużo lepiej wyglądała.

Sajara roześmiała się. — Z czasem zobaczysz, co miałam na myśli, Conanie z Cymmerii. Chlubisz się swym pochodzeniem, tak samo, jak my jesteśmy dumni z siebie, lecz nie wiesz wszystkiego o tym kraju i o nas.

Szli pośród drzew otaczających wioskę. Makiela, która prowadziła, nie zatrzymywała się nawet na chwilę, oglądając się czasem przez ramię, żeby utrzymać od reszty stałą odległość kilku kroków. Pozostałe kobiety, idąc za Conanem i Sajarą, obserwowały uważnie las. Tego ranka dżungla była spokojna, kilka węży, jakie dane im było spotkać, były raczej niemrawe lub zwyczajnie spały. Wokół krążyło zaledwie parę ptaków.

— Wkrótce znajdziemy jakieś jaja anansi i weźmiemy parę ze sobą. W te rejony lasu anansi się nie zapuszczają — słońce świeci tu zbyt mocno, ale gdy las stanie się gęściejszy i ścieżkę spowije cień, będziemy musieli zwiększyć ostrożność.

— Ja nie napotkałem nic groźnego do samej polany — rzucił Conan. — Nic, co mogłoby mnie powstrzymać przed dotarciem do kamiennej wioski, nigdzie przez całą drogę.

— Miałeś dużo szczęścia — szybko odpowiedziała Sajara. — Anansi są jedynie pożywieniem dla innych drapieźników, polujących na tym obszarze. Dobrze, że masz swoją broń w pogotowiu. Nasza broń jest mało skuteczna w walce z czatownikami w Krainie Śmierci. To ich właśnie wypatrujemy. Zawsze jednak może się zdarzyć, że Makiela nie wykryje ich obecności i będzie za późno.

— Czatownik?

— Starsi nazywają te stworzenia vugunda. Polują samotnie, nigdy w gromadach, jak anansi. Ranioba, która przewodziła łowczyniom i zwiadowczyniom przede mną, widziała raz

dwie sztuki walczące ze sobą. Większa bestia — samice vugunda są znacznie większe niż samce — odrywała członki przeciwnika jeden po drugim, zjadając go żywcem, na koniec zostawiając jego głowę. — Przełknęła nerwowo ślinę. — Jeden ze starszych widział kiedyś okaz dwa razy większy od Jukony, o cielsku tak długim, jak nasze łodzie.

— Takie stworzenie na pewno łatwo dostrzec, jest zbyt duże, by zaskoczyć swą ofiarę — oznajmił Conan.

— Nie masz racji, Conanie. Gdy zobaczysz polującego czatownika, uwierzysz moim słowom. Ich ciała są...

Makiela odwróciła się gwałtownie. Rozglądając się na boki, przyłożyła palec do ust, jednocześnie uniesioną dłonią zatrzymała grupę. Wytężała wszystkie zmysły.

Conan spojrział w stronę drzew zastanawiając się, co takiego mogła dostrzec. Roślinność była tu jeszcze dość rzadka i nie zapewniała żadnej osłony dla nikogo. Poza tym nie wkroczyli jeszcze na szeroką ścieżkę prowadzącą do Krainy Śmierci.

Zaniepokojona Makiela zmarszczyła czoło i odezwała się cicho. — Słyszałam jakiś dźwięk za nami. — Jej głos był niski jak głos mężczyzny, ale był przyjemny i śpiewny. — Możliwe, że to ptak w powietrzu albo wiatr w koronach drzew.

Conan nic nie słyszał. Gawędził z Sajarą, ale cały czas pilnie nasłuchiwał i obserwował otoczenie. Chwilę potem wiatr zaczął przemykać pomiędzy drzewami, poruszając liśćmi i zaroilo się od insektów, więc rozpoczęła się obfita uczta dla małych ptaków mieszkających w pobliżu wioski Ganaków.

— Jeśli chcesz, mogę ja poprowadzić — zaproponował Cymmerianin. — Pamiętam dobrze drogę od tego miejsca, a jak powiedziała Sajara, z waszej broni mały pożytek w starciu z dzikimi mieszkańcami tego lasu.

Makiela nie potraktowała jego słów poważnie. — Mężczyzna i jeszcze obcy, prowadzący Raniobę i trzy jej najlepsze zwiadowczynie do serca Krainy Śmierci! Też coś!

— Decyzja należy do mnie, Makielo — wtrąciła Sajara. — Gdyby był Ganakiem, zgodziłabym się z tobą. Nasi wojownicy nie są sprawni w poruszaniu się po dżungli. Ale Conan był już u murów dawnej wioski, a my nigdy. Przeżył nawet niespodziewany atak anansi. Niech on poprowadzi.

Makiela odsunęła się na bok bez słowa, pokazując Conanowi gestem, by ją zastąpił. — Musimy jak najszybciej odszukać jaja anansi, byśmy byli bezpieczni — powiedziała tylko.

— Widziałem je w pobliżu ścieżki — odrzekł Conan. — Ptak skubał jedno z nich. —

Zirykowały go wątpliwości Makieli co do jego umiejętności tropienia i przewodzenia.

Postanowił pokazać, co potrafi człowiek z Cymmerii. Uczestniczył w niejednej leśnej wyprawie. Tutejsze warunki były całkowicie odmienne od otoczenia w jego rodzinnej Cymmerii, ale Conan potrafił się szybko przystosować do każdego środowiska. W istocie znacznie lepiej czuł się na terenach dzikich, niż w jakimkolwiek zatłoczonym mieście.

Doświadczenie nauczyło go, że człowiek jest znacznie bardziej zaskakującym stworzeniem niż jakiegokolwiek inne, choćby dzikie, a ulice cywilizowanych miast mogą być bardziej niebezpieczne niż leśne ostępy.

Gdzie jest miasto, tam istnieją określone prawa. Obcy przejeżdżający przez miasto powinien je poznać, zrozumieć, uszanować i przestrzegać. Kary za ich pogwałcenie były różne, tak jak różne były same prawa. Conan wielokrotnie opuszczał miasta, ścigany przez strażników za naruszenie jakiejś miejscowej zasady. Natomiast gdziekolwiek by się było — na pustyniach Shemu, w górach Cymmerii czy w dżunglach Ganaku — istnieje tylko jedno proste prawo, które Conan znał bardzo dobrze: silny i czujny przeżyje, słaby i nierozważny zginie. Conan był barbarzyńcą, i z różnych względów bliższy był zwierzętom niż ludziom. Chwytny miecz w dłoń i przyspieszając kroku, objął prowadzenie. Na Croma, pokaże tej dziewczce, jak należy tropić.

Południowe słońce wyglądało na niebie jak olbrzymia, rozgrzana do białości bryła węgla, tkwiąca w wielkim, błękitnym piecu. Nieznośny upał przemieniał dżunglę w skwarne, zielone piekło.

Pot łał się strumieniami po twarzy Conana i lśnił wszędzie na całym muskularnym ciele.

Jak jego towarzyski, był niewiele odziany. Wczesnym rankiem w wiosce przyniesiono mu długi, szeroki, pasek z węzowej skóry i założył go w formie przepaski. Uczynił to bardziej dla względów praktycznych niż przez skromność. Pokryta łuskami ciemnozielona skóra pozwoli mu przechować rubiny. Poza tym, ten prosty strój służył mu także do przymocowania miecza. Sajara i pozostałe kobiety też miały na sobie węzowe przepaski, które zakrywały ich ciała w minimalnym stopniu. Przewiązane były przez talię, ukośnie, odsłaniając całkiem prawe biodro, z lewej strony sięgając do połowy uda. Conan nic na to nie mógł poradzić, że ten

widok stale przyciągał jego wzrok. Taki strój był dość praktyczny. Zapewniał swobodę ruchów i pozwalał umocować noże. Kobiety, od pasa w górę nie miały na sobie nic, tylko Sajara nosiła naszyjnik z kłów węża. Wygląd ganackich kobiet nie przypominał wyglądu kobiet z Puntu czy Zembabwei, krain leżących na południe od Stygii. Tamte królestwa były tak samo gęsto pokryte roślinnością, jak Ganaku, jednak ich klimat był łagodniejszy. Ta dżungla była tak przepelniona żarem, jak turańska łaźnia parowa.

Zauważył, że kobiety oddychają znacznie swobodniej niż on, ich skóra zaledwie pobłyskiwała od wilgoci tam, gdzie on był całkiem mokry. Ochronny malunek na jego twarzy i torsie zaczął się rozmazywać, podczas gdy ich żółtozielone spirale były takie jak na początku dnia. Głowy kobiet były prawie całkiem łyse, z wyjątkiem pojedynczych splotów — było to zdecydowanie lepsze w takim lesie, niż gęste, długie włosy Conana. Obejrzał się po raz kolejny przez ramię, ścierając pot z oczu i znów uderzył go egzotyczny wygląd tych zmysłowych kobiet. Lepiej dla niego iść przed nimi tak, żeby ten widok go nie rozpraszał.

— Tam — wskazał na wiązkę pnączy zwisającą z pobliskiego drzewa.

— Jaja anansi, nareszcie. — Sajara przyspieszyła, minęła Conana i skierowała się do okrągłych brył przyczepionych do pnączy. Cymmerianin uświadomił sobie, że gdy przedtem przemierzał to miejsce, widział więcej ptaków, zwłaszcza dużych odmian o krzywych dziobach. Cisza zalegająca teraz w tym miejscu niepokoiła go, jako że zazwyczaj oznacza ona obecność groźnych drapieżników, że nawet leśne ptaki wolą trzymać się z dala od nich. Niepokój Conana odzwierciedlała Makiela. — Kraina Śmierci jest dziś zbyt cicha. Na Asusę, zdaje się, jakby dżungla czekała na nas, przyczajona niczym wąż w trawie, nieruchomo i bezgłośnie, spokojnie aż do chwili gdy skoczy i uderzy.

— Tak — wymamrotał barbarzyńca. — Ale ten wąż raczej .się nami nie pożywi. Zwierzę, które zechce zapolować na nas, najpierw musi spotkać się z moim ostrzem.

— I moją włócznią — dodała Kanitra, jedna z kobiet idących na końcu. Obserwowała liście z niepokojem w oczach. Ścisnęła włócznię, na przemian rozluźniając i naprężając mięśnie ramion.

Makiela zwinnie wspięła się na jedno z pnączy, i zerwała kilka jaj. Zeskoczyła na ziemię i wręczyła każdemu po jednym. Stała czujna obok Sajary, w jednej dłoni trzymając jajo, w drugiej nóż z muszli, gotowa bronić się, gdy coś wyskoczy spośród drzew.

Conan z uznaniem spojrzął na jej nóż, który był wyjątkowo dobrze wyostrzony. — Stos kości leży kilka kroków stąd, tam pnącza stają się znacznie grubsze. Jeśli chodzi o tę nienaturalną ciszę, to rzeczywiście niepokojące. Kiedy ostatnio szedłem tą drogą, wszędzie wokół pełno było ptaków, które żywią się tymi jajami. — Podrzucił swoje jajo anansi w górę i złapał drugą rękę. Przypominał sobie jeszcze o czymś — sam po drodze zwracał wiele uwagi na konary nad głowami. — Strzeżcie się pajęczyn, które te stwory zarzucają zanim uderzą naprawdę. — Zdał sobie sprawę, że perspektywa napotkania tych obmierzłych pajaków mało go przeraża teraz, gdy ma już swój miecz. Ostrze położył na ziemi niczym kosa żdźbła podczas sianokosów. Bardziej zajmowało go to, co usłyszał o stworzeniach nazwanych czatownikami. Olbrzymie drapieżniki ze zręcznością dorównującą ich rozmiarom mogły być niezwykle groźne. Jedyne czym się pocieszał, to że te bestie są przynajmniej z krwi i kości. Niechybnie, jeszcze poważniejsze niebezpieczeństwo czyha za piekielnym murem, do którego zbliżali się z każdym krokiem.

— Tam leżą kości — powiedziała Sajara, wskazując stos tuż za zakrętem ścieżki.

— I nie ma żadnych znaków obecności anansi — odrzekł nachmurzony Conan. — Przez myśl mi nie przeszło, że kiedyś zechcę je znowu zobaczyć.

Sajara przypatrywała się stercie rozrzuconych kości i rozsypujących się czaszkom. — Pozostałości po najdzielniejszych Ganakach, — powiedziała zamyślona. — Tak wielu już tutaj poległo, nie docierając do serca Krainy Śmierci. — Szła dalej, parę stóp za Conanem, z powagą zastanawiając się nad okropnym losem, który spadł na tych wojowników.

— Tam jest padlina bestii, które zabiłem. — Conan wskazał miejsce czubkiem ostrza. Choć martwe od dawna i rozerwane na dwie części, stworzenie wyglądało na tak jadowite, jak było za życia. Miało rzeczywiście rozmiary człowieka.

Sajara spojrzała na Conana. — Gołymi rękoma, ściśnięty tymi szczękami, rozerwałeś taką bestię? — Wyciągnęła rękę i położyła ją na masywnym ramieniu barbarzyńcy. — Jukona nie mylił się co do ciebie, gdy mówił, że jesteś tak mocny, jak każdy Ganak. Niewielu, jeśli w ogóle któryś, naszych wojowników, ma siłę równą twojej, Conanie. — Cały czas trzymając rękę na jego ramieniu, szła obok niego.

Conan uśmiechnął się.

— Nawet Ngomba?

— Biedny Ngomba — westchnęła jedynie, ale nie cofnęła swoje ręki.

Gdy tak kroczyli naprzód, otaczała ich cisza. Jedynymi dźwiękami rozlegającymi się w lesie były ich oddechy i ciche stapanie bosych stóp po wilgotnym, zielonym podłożu. Conan zastanawiał się, czyjego pytanie nie uraziło jej.

Ale wkrótce odezwała się do niego ponownie. — Może i pokonałby ciebie w próbie sił, ale brak mu twojej rozwagi. Jestem pewna, że nienawidzi cię za to. Czy wiedziałeś, że niewiele brakowało, a on i ja wzięlibyśmy ślub?

Conan uniósł brwi z wyrazem zaciekawienia na twarzy, ale nie skomentował tego, co usłyszał.

— Kochałam go, wciąż kocham, ale tak jak siostra może kochać brata. Teraz nie wyszłabym za niego, nie po tym wszystkim, co się wydarzyło. Jego serce jest zdrowe, ale opętała go własna wizja tego, co dla nas wszystkich ma być zbawieniem. Nie zawsze był tak zawzięty, albo zrozpaczony.

— Zrozpaczony? Na Croma, dziewczyno, ukradł mój miecz, zostawił mnie, bym zginął, a następnie próbował zabić twego ojca — wyjaśnił Conan.

— Ngomba zawsze był impulsywny i kierował się uczuciem — broniła go. — On i mój ojciec... obaj są uparci, a mój ojciec potrafi czasem zrobić z siebie głupca. Ngomba rzeczywiście ukradł broń należącą do ciebie, ale teraz już masz ją z powrotem. A on zrobił to, by nas uratować, a przynajmniej takie było jego przekonanie. Ryzykował życie, by uratować mieszkańców wioski i zrobiłby to jeszcze raz. Tego jestem pewna. Gdyby nie to, co stało się na wyspie, ty i on moglibyście zostać przyjaciółmi.

— Nie potrzebny mi przyjaciel, który porzuca towarzyszy — rzekł posępnie Cymmerianin.

— Wybaczasz mu to, że próbował zabić twój ojca?

— W stosunku do Ngomby ojciec miał kamienne serce. Ich cele i plany były różne, ale oni powinni działać wspólnie dla dobra naszych ludzi. Starsi opowiadali kiedyś o dwóch wężach, które próbowały zjeść się równocześnie. Chwyciły się nawzajem za ogony, i zjadały w rezultacie każdy siebie. Jukona i Ngomba to takie węże. Trzymają się nawzajem za ogony, lecz nie mogą posunąć się dalej, jeśli chcą żyć.

Po tych słowach Sajara puściła ramię Conan i zapadła w milczenie.

— Anansi nie napadają, gdy oblicze Asusy spogląda z nieba? — spytała Avrana niespodziewanie. To nagłe pytanie i jakaś szorstkość w jej głosie poruszyły Conana.

— Światło Asusy ledwo dociera do tego miejsca — odparła Makiela. Istotnie, w miarę jak się zagłębiali w las, na ścieżce znacznie pociemniało. Jedyne tam, gdzie sporadyczne rozstępy między liśćmi pozwalały na to, nad głowami widoczne były małe płatki błękitu nieba.

— Wcześniej te stwory paliły się do tego, by ogryźć moje kości — mruknął Cymmerianin. To było podejrzane, że do tej pory nie pokazały się jeszcze ośmionożne paskudztwa. — Gdy mamy ich jaja, czy one trzymają się poza zasięgiem naszego wzroku i po prostu pozwalają nam przejść swobodnie?

— Wiemy tylko, że nie atakują nikogo, kto niesie jajo. — Po krótkiej chwili odpowiedziała Sajara, rzucając spojrzenie w górę.

— Ściana drzew znajduje się gdzieś tam. — Conan pochylił się, szukając śladów własnego, wcześniejszego tu pobytu. Znalazł także ślady pozostawione przez Ngombę albo Jukonę, albo jednego i drugiego. Pilnie obserwując drzewa i wypatrując zasadzki, zaczął przedzierać się przez chaszczkę. Powoli sprawdzał każdy zakamarek lasu, szukając pajaków czających się za zieloną zasłoną.

Zbliżyli się do miejsca, w którym Conan uprzednio został prawie już schwytany przez złośliwe bestie. Wszyscy wyczuwali dziwne napięcie. Szli powoli, z każdym krokiem wchodząc w gęściejszą dżunglę. Pnie rosły coraz bliżej siebie, konary z ciemnego drewna splatały się. Pnącza i liście mnożyły się, aż dżungla stała się jedną wielką, nasyconą wilgocią bryłą. Widoczność pogorszyła się i musieli zwolnić.

— Nie było tu chyba tak gęsto — mruknął Conan. — Musieliśmy zboczyć, ale nie, to tu Jukona leżał bez przytomności. Tak. Przynajmniej te przekłete pająki będą miały trudności żeby przedrzeć się przez las. — Ruszył dalej do miejsca, gdzie ściśnięta roślinność urywała się wreszcie. — Ha! To tam przecisnąłem się i przedostałem na polanę. — Wskazał dwa drzewa, u których stóp spoczywał pajak rozgnieciony przez pnie. — Za mną. — Wcisnął jajo anansi tam, gdzie zamierzał schować potem złupione rubiny. Avrana i Kanitra włożyły jaja do worków na biodrach.

Tu, gdzie już nie było gęstej roślinności, lepiej było wszystko widać. Cymmerianin zrobił parę kroków i stanął jak wryty. Sajara i Makiela zamarły w bezruchu, za jego plecami, wstrzymując oddech. Na widok tego, co leżało przed nimi. Był to ledwo rozpoznawalny trup anansi. Szczątki bestii wyglądały jak worek skóry, starannie wypatroszony ze wszystkich

wnętrznosci. Włochate cielsko nie zostało rozszarpane, głowa nie była oderwana. Wydawało się, że łeb został raczej odcięty, jak przy użyciu wielkiego, ostrego jak brzytwa topora. — Na kości Badb, co za stwór mógł uczynić coś takiego? — wymamrotał cicho Conan.

Sajara zacisnęła usta. — Nie mam pojęcia... i nie chcę wcale wiedzieć. Miejmy nadzieję, że się nie dowiemy.

Avrana szturchnęła cielsko włócznią, uniosła je nieco i przyjrzała się z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Krzywe odnóża zwierzęcia zwiślały bezwładnie. Upuściła padlinę z powrotem na murawę i wytarła ostrze włóczni o liście.

— Tak — pokiwał głową Conan. — Im szybciej przedostaniemy się na drugą stronę tej ściany i opuścimy to miejsce, tym lepiej.

Podbiegł do drzew, podskoczył i chwycił najbliższy konar. Rozhuśtał się i w tygrysim skoku przeleciał w powietrzu, łapiąc się za pień — ten sam, który wybrał uciekając przed pająkami.

Sajara i Makiela starały się jak najprędzej wdrapać za nim, ale wyraźnie nie były przyzwyczajone do wspinaczki.

— Tam — syknęła przez zęby Makiela, wpatrzona w coś dokładnie nad nimi.

Conan podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Na szerokiej, krzywej gałęzi, przecinającej się z pnem, po którym się wspinali, wisiało ciało następnego pająka — bezgłowe, wypatroszone z wnętrznosci, worek skóry. Nogi martwego stworzenia kołysały się nieznacznie, ale niewątpliwie stworzenie nie żyło.

Cymmerianin rozejrzał się za jakimiś śladami walki, lecz nic nie znalazł. Pomimo upału poczuł lodowaty dreszcz, włosy stanęły mu na głowie. Te anansi były przecież mistrzami w zastawianiu pułapek i atakowaniu znienacka; zwinne, wielookie stwory o rzadko spotykanej przebiegłości.

Obok Conana jakaś tłusta kropla spadła na liść, na wyciągnięcie ręki. Poczuł niewyraźny, lecz charakterystyczny, mdły odór.

Świeża pajęczka jucha... i nie było żadnego, najmniejszego wiatru, a pajęczce odnóża kołysały się nad ich głowami.

— Szybciej — zawołał do pozostałych. Spoglądał uważnie na otaczające ich liście, oczy mu lśniły jak szafiry, rękę trzymał w pobliżu rękoności.

Avrana i Kanitra uniosły swe włócznie i ruszyły ku drzewom, zatrzymując się, gdy znalazły się dokładnie pod Sajarą i Makiela.

Conan zacisnął zęby i skupił całą swoją uwagę i siły na rozstępie między pniami. Oparł się plecami o jeden i zaczął odpychać drugi. Prężąc mięśnie powoli rozsuwał drzewa. Sajara chwyciła jeden pień, pomagając Conanowi, podczas gdy Makiela zabrała od dwóch pozostałych kobiet włócznie. Po chwili starań, chwili, która ciągnęła się jak wieczność, drzewa ustąpiły przed ludzką siłą.

Makiela pierwsza przeskoczyła przez otwór w ścianie, lądując na polanie za drzewami. Następnie Avrana i Kanitra prześlizgnęły się przez szczelinę i ciężko spadły na wilgotną ziemię.

— Ruszaj! — wysyczał Conan przez zęby, ręce trzęsły mu się z wysiłku. Sajara oparła stopę o jeden pień, a plecy o drugi i przeniosła ciężar ciała na drugą stronę. W tym samym momencie Conan odepchnął się od drzew obiema rękoma. Spadli obok siebie, i przeturlali się po ziemi, by zmniejszyć impet uderzenia, tak samo jak to wcześniej uczyniła Makiela. Sajara zatrzymała się na Conanie. Podnosząc się posłała mu słodki uśmiech.

Cała piątka w milczeniu odwróciła się od drzew i poczuła dziwną grozę w obliczu potężnej, kamiennej budowli, która tkwiła na środku polany. Podniszczone ściany zakrzywiały się tak samo, jak drzewa okrążające polanę, nadkruszone głązy pięły się w górę dokładnie do wysokości czubków drzew. Od miejsca, w którym stali, odległość do dziwnego zamku była niewielka. Conan odruchowo odwrócił wzrok, zanim uzmysłowił sobie, że podstępny wizerunek umieszczony był z drugiej strony budowli i stąd nie mogli widzieć.

— Zewnętrzne mury — Sajara wymówiła to jakby z czcią. — Postawione przez naszych przodków. Och! — jęknęła, gdy Makiela uderzyła w nią swym ciałem z całym impetem. Conan krzyknął zaskoczony. Ganacka zwiadowczym musiała wyczuć coś na sekundę wcześniej niż on. Zanim Makiela i Sajara runęły na ziemię, Cymmerianin obrócił się i wyciągnął miecz.

Tak cicho, jak szum liści na łagodnym wietrze olbrzymi stwór unióś się z gęstych koron drzew tuż nad nimi. Przez chwilę barbarzyńca myślał, że to część drzewa. Lśniące cielsko stworza miało niezwykle zielonobrazowy odcień. Jego kałdun był gruby, a zwężający się kark miał średnicę pnia drzewa. Cztery wielkie tylne łapy, długie i smukłe, wygięły się do tyłu, gdy stworzenie zaczęło nurkować w dół. Półprzeźroczyste, zielonkawe skrzydła uderzały

powietrze bezgłośnie, unosząc swoje ciało w stronę ofiar.

Wyciągnięte przednie łapy ułożone były, jakby przedrzeźniały błagalną pozę kapłana, modlącego się do swego boga o litość. Porastały je podobne sztyletom kolce. Wyglądało to jak olbrzymie rozchylające się sidła. Mknęły prosto na Conana. Ale najbardziej przerażający był łeb bestii. Pomiędzy wstrętными, bulwiastymi ślepiami wyrastały masywne, zwężające się rogi, a może czułki. Obracające się na wszystkie strony ślepia błyszcząły podłością i żądzą krwi.

— Czatownik! — wrzasnęła Sajara, unosząc się na jedno kolano i wyszarpując zza przepaski muszlany nóż. Kanitra i Avrana próbowały wycelować swoje włócznie, ale czatownik uderzył szybciej niż spadający jastrząb. Cymmerianin wymierzył cios w łeb bestii, lecz jej przednie łapy zablokowały ostrze. Stał odbiła się z brzękiem, powstrzymana przez pancerz twardy niczym ciężka metalowa płyta. Bestia zarzuciła swe sidła, jej przednie łapy zatrzasnęły się szybciej niż mrugnięcie powiek. Na szczęście, barbarzyńca odskoczył w bok w momencie, gdy wymierzał cios. Kolce zadrasnęły mu tylko jego ramię, omijając głowę. Uszy wojownika wypełnił głośny szum powietrza rozdartego przez lecące zwierzę. Czatownik prężąc skrzydła odskoczył w górę. Conan był przerażony jego szybkością. Stworzenie było tak wysokie, jak największy koń i dwa razy dłuższe. Jego głowa obracała się na wiotkiej szyi, czułki poruszały się, jakby chciało obliczyć odległość między nim a człowiekiem. Jak błyskawica uderzył ponownie, zanim Conan zdążył odzyskać równowagę. Barbarzyńca zaklął siarczyście, gdy przednie łapy bestii zamknęły się po raz wtóry. Kolce przejechały mu po twarzy. Odrzucając głowę do tyłu, ledwo uniknął zabójczego uścisku. Lecz uniesiony miecz uwieczony został pomiędzy potężnymi kończynami smoka. Conan nie wypuścił rękojeści i spróbował uwolnić ostrze, ale był tak zakleszczony, jak pomiędzy dwoma młyńskimi kamieniami.

Kanitra i Avrana przygotowane już były na ten powtórny atak. Z dzikimi okrzykami skoczyły naprzód i dźgały nabrzmiały kałdun włócznie natychmiast je wyszarpując. Krople żółtego śluzu trysnęły z przekłutego żołądka czatownika.

Stworzenie rozdziawiło gębę i wydało z siebie dziwaczny jęk, dźwięk, którego żaden człowiek nie byłby w stanie powtórzyć. Jego zęby błysnęły w słońcu — dwa szeregi śmiertelnych zakrzywionych ostrzy, które z łatwością mogłyby jednym uderzeniem odciąć głowę człowieka... albo anansi.

Sajara i Makiela z dwóch stron podeszły szybko do czatownika, tnąc swoimi nożami wywalony kałdub.

Uderzając rozpaczliwie skrzydłami, gigantyczny owad wzbił się w powietrze, znajdując się nagle poza ich zasięgiem. Conan poczuł, że razem z nim unosi się nad ziemią, choć widać było, że ciężar barbarzyńcy utrudniał smokowi wznoszenie się. Przez chwilę Conan próbował wyswobodzić miecz, ale prędko zrozumiał, że póki przednie łapy smoka były tak zwarte, on miał przewagę nad stworem. Jedną ręką trzymając się rękojeści miecza, drugą chwycił zwierzę za kark.

Olbrzymie skrzydła mozolnie tłukły powietrze. Bestia uparcie ścisnęła ostrze sądząc, że miecz jest częścią ciała jego ofiary. Wykręcając szyję i szarpiąc głowę, zgrzytała zębami. Conan zacisnął uchwyt dłoni na jej karku. Zacisnął palce coraz silniej. Z pewnością skruszyłyby już krtań człowieka, lecz kark czatownika był bardziej wytrzymały niż drewniany pał.

Z dołu Avrana i Kanitra rzuciły włócznie. Jedna z nich musnęła już wcześniej ranioną łydkę Conana, druga przeszła brzuch zwierzęcia i przebiła je na wylot i wyszła z drugiej strony kałduba. Niestety, smok nie miał zranionych rozszałych skrzydeł, i mimo ran uparty stwór leciał dalej. Wzniósł się już do połowy drzew, a Conanowi Sajara i kobiety malały w oczach.

Jeśli bestia siądzie w koronach drzew, z których zaatakowała, wszystko, co Conan powinien uczynić, to wyrwać włócznie z kałduba i wrazić w jej bulwiasty łeb. Jego miecz albo pozostanie zakleszczony w łapach smoka, albo spadnie na ziemię. Tymczasem bestia zupełnie nie mogła dosięgnąć Conana zębami, a rany wyraźnie ją osłabiały. Conan leciał dalej, zaciskając cały czas ręce na karku bestii, która musiała przecież w końcu gdzieś wylądować.

Znaleźli się na wysokości górnej krawędzi murów wioski. Chociaż czarownik leciał w kierunku brzegu polany, z tego położenia można było dostrzec, co znajduje się wewnątrz imponującej budowli. Conan zobaczył ruiny rahamańskiej wioski. Wcześniej myślał, że budowla jest zamkiem, ale zdecydowanie były to jednak mury obronne. Średnica kamiennego okręgu była niezwykła, większa niż średnica murów wielu stolic cywilizowanego świata. Niektóre zabudowania były nietknięte, chronione przed żywiołami potężną zastoną. W

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

samym środku wioski tkwił minaret, który Conan widział już przedtem. Jego podstawę stanowiło kilka cylindrycznych budynków. Wieża była smukła i sięgała nadzwyczaj wysoko. Conan podejrzewał, że z niej można by obejrzeć całą wyspę. Miała zniszczoną kopułę, ale reszta wyglądała na nienadgryzioną zębem czasu. Zgadywał, że zbudowana jest tak, by otaczać fontannę bogów. Ale czas gapienia się na ruiny minął. Zwierzę raczej nie zamierzało wylądować na drzewach. Bezmyślnie pięło się w górę, dziwacznie schodząc z wcześniej obranego kursu. Tylne łapy stworza zaczęły dygotać. Wdając z siebie jeszcze raz swój skrzek, smok nagle rozluźnił przednie łapy i wypuścił miecz.

Cymmerianin złapał go, jednocześnie oplatając nogi wokół bestii, jakby zamierzał go ujeżdżać. Słabnące wciąż zwierzę na ślepo zębami sięgnęło ku Conanowi, ale nie zdołało go dostać. Barbarzyńca rąbnął mieczem jedno skrzydło, licząc, że tym skłoni smoka do lądowania.

Przez chwilę zdawało się, że ten plan zadziałał. Stworzenie zaczęło obniżać lot, opadało w powolnych, długich spiralach, jakby nie mogło kontrolować lotu. Nagle czatownik zadrżał, jego kończynami szarpnął krótki spazm. Skrzydła przestały uderzać i stwór zatoczył się w powietrzu w stronę drzew, po czym zaczął po prostu spadać jak kamień.

Wiązkę soczystych przekleństw, którą wyrzucił z siebie Conan, pochłonął ryk wiatru.

Mocując swój miecz za pasem, wojownik wziął głęboki oddech i zeskoczył z grzbietu zdychającego czarownika w stronę czubków drzew. Konary i niewyraźna plama zieleni zbliżyły się do niego w zawrotnym tempie. Wyciągnął ramiona, zgął nogi i wiedział, że ma tylko jedną szansę na przeżycie. Krew tłukła w nim oszalą.

Widział kiedyś sztuczkę zamorańskiego cyrkowca. Akrobata, zręczny Khitańczyk, zeskoczył z dachu wysokiego budynku. Chwytał się raz po raz kilku poziomych drążków, ustawionych specjalnie dla tego numeru. Okręcając się wokół nich, stopniowo łagodził siłę upadku, aż w końcu mógł zeskoczyć na ziemię z najniższego drążka.

Gdy barbarzyńca palcami chwycił się grubej gałęzi, zdał sobie nagle sprawę z dwóch rzeczy: waga Khitańczyka, więc i szybkość spadania, były pewnie ze trzy razy mniejsze niż Conana. Nadto Khitańczyk prawdopodobnie ćwiczył swój skok setki razy.

Conan o mało nie wyrwał sobie rękę ze stawów. Zmuszony był puścić gałąź, poszybował dalej, rozpaczliwie licząc, że dosięgnie nogami następnej gałęzi. Nie trafił, konar rąbnął go boleśnie w bok, ale szczęśliwie następna gałąź znalazła się za jego kolanami. Jak w cyrkowej sztuczce impet zmusił Conana do wyprostowania nóg. Przerażony, sięgnął na ślepo gałąź rosnącą niżej. Jego dłonie uderzyły pod nieodpowiednim kątem tylko o drzewo i reszta lotu odbywała się już na złamanie karku. W zawrotnym tempie liście i gałęzie chłostały go i tłukły. Jedyne, co mógł zrobić, to osłonić sobie głowę, by jej nie roztrzaskać. Ciało miał niemiłosiernie skatowane przez pnie i konary, aż wreszcie spadł na ziemię, jęcząc niczym ofiara tortur. Otarł oczy i zwiesił bezwładnie poczerwieniałe, zdrewniałe ręce. Dźwignął się chwiejnie na nogi i zataczając się zrobił kilka kroków, nim odzyskał równowagę.

Sajara i Makiela krzycząc biegly już do niego. To był nie lada wyczyn. Zdołał nawet spaść po właściwej stronie drzew. Jego ręce i nogi nie ucierpiały zbytnio — niczego nie złamał, choć bolało go wszystko. Pocierając obolałą głowę, uśmiechnął się rozbijając do kobiet. — Te czatowniki nie są takie straszne, na Cromal! Myślę sobie, że gorsze są pająki.

Sajara była błada. — Wy, Cymmerianie chyba jesteście z kamienia! — Jej uśmiech i ulga, szybko zmieniły się w grymas zatroskania. — Myślałyśmy, że czatownik zabił cię, nim spadłeś z niego. Zresztą, teraz i tak musimy wracać do wioski — zdecydowała Sajara. — Twoje rany muszą zostać opatrzone. — Usunęła delikatnie gałązkę tkwiącą w jego policzku. Conan łagodnie cofnął jej dłoń, potrząsając głową i strząsając liście z włosów.

— Nie, dziewczyno. Nie mamy czasu. Mniej mnie zmęczy przejście przez ten portal, niż podróż przez po trzykroć przeklętą Krainę Śmierci.

Zachwiał się, kobiety przyglądały mu się w milczeniu. — Podła bestia — burknął, gdy zauważył, że jego pas został rozdarty, a miecza nie ma. Zanim zdążył poprosić kobiety, by zaczęły szukać jego oręża, zatoczył się do przodu i zamknął oczy tuż przed tym, jak osunął się na ziemię.

— Conanie. Conanie z Cymmerii. — Ciepły głos Sajary obudził go. Poruszył się i otworzył oczy. Jej twarz była wcieleniem piękna na tle jaśniejszego od księżycowej poświaty nocnego nieba. Jej kosmyk długich włosów muskał mu policzki. Zastanawiał się, czy to sen. Ale nie, pomyślał, we śnie nie czułby się tak, jakby był stratowany przed chwilą przez legion hyrkanijskiej kawalerii. Wsparł się na łokciu i uniósł, by rozejrzeć się dookoła.

Kobiety zaniósły go do wnętrza kamiennego kręgu. Miecz, co go ucieszyło, spoczywał obok oparty o kamienie. Powstrzymał odruch, by objąć mocno Sajarę i pocałować. — Gdzie

reszta naszej drużyny?

— Śpią — szepnęła, wskazując jakieś miejsce przy murze. — Po tym, jak zeskokczyłeś z grzbietu czatownika, Makiela poprowadziła je do dżungli, by odszukać trochę liści yagneb i włócznie Kanitry. Znalazły wszystko, co chciały, ale wróciły zmęczone.

— Liście yagneb?

— Musisz je jeść, żeby odzyskać siły. Y'Taba karmi nas nimi, gdy jesteśmy chorzy lub ranni. — Przygotowała garść liści. Miały kształt serc i pokryte były jakimiś białymi plamkami.

— Miałeś rację, gdy powiedziałeś, że nie powinniśmy wracać do wioski. Musimy przecież jeszcze spróbować odzyskać atnalagę. Jak się czujesz?

Conan przechodził już większe katusze, niż te związane z upadkiem. Rano zamierzał poprowadzić kobiety dalej.

— Trochę wody i jakaś strawa zrobiłyby mi tak samo dobrze, jak lecznicze liście. Nie jestem chory, i czuję się nieźle. Spałem od południa.

— Nieopodal jest źródło. Przed zmierzchem Makiela widziała jak ptaki piją wodę.

— Fontanna?

— Nie, na Asuse! To zwykłe źródło czystej i chłodnej wody, podobnej do naszej w wiosce. Liście yagneb są gorzkie, woda pomoże ci je przełknąć.

Conan wolałby parę kufli piwa czy kwartę wina, ale miał ochotę napić się czegokolwiek i obmyć potłuczoną nieco głowę. Ganakowie nie znali czegoś takiego jak bukłak, a dzień był długi i pełen żaru.

Wziął swój miecz i poszedł za Sajara do źródła. Nie było daleko. Zauważył, że krew i kurz już zostały zmyte z jego twarzy i reszty ciała, pewnie kiedy spał. Czuł, że boli go czaszka, musiał o coś uderzyć, gdy spadał.

Przyklękł przy źródle i pił garściami tak długo, aż miał naprawdę dość. Jednak woda była lepsza niż piwo czy wino. Ugryzł liść i skrzywił się wypływając rozgryzione kawałki na ziemię. Ścierwo ze szczurzej padliny byłoby pewnie smaczniejsze. Nabrał dużo wody i głośno przeplukał gardło z gorzkiego smaku. Potem zanurzył całą głowę w wodzie i potrząsnął, by strącić z włosów wodę. Sajara przyglądała się temu rozbawiona.

— Czy wszyscy Cymmerianie mają takie włosy jak ty? — zapytała, bawiąc się swym cienkim kosmykiem.

— Nie wszyscy. Niektórzy noszą obcięte krócej — odrzekł i zapytał o coś, o czym myślał już wcześniej:

— A jak wy golicie swoje głowy?

Zbita z tropu, zamrugnęła oczami. — Golicie? Nie rozumiem. Wskazała na jej nóż z muszli.

— Czy macie jakieś narzędzia do obcinania włosów?

Uniosła brwi, zmieszana i potrząsnęła głową. — Nasze włosy rosną właśnie tak, jak widzisz. Nie robimy z nimi nic, jedynie niekiedy je zaplątujemy.

Conan nie wypytywał więcej. Usiadł przy źródle, krzyżując nogi i tyknął jeszcze odrobinę życiodajnego płynu. Sajara usiadła przy nim. Wpatrywali się w ponure ruiny porzucane wokół. Nie przesłonięty przez chmury i drzewa, księżyc zalewał wszystko bladym światłem, niewiele oświetlając.

Duża część kamiennego dzieła Rahamanów była nienaruszona przez czas. Y'Taba chyba zbyt mało doceniał mistrzowskie umiejętności tej ludzkiej nacji. Cymmerianin rzadko miał okazję oglądać tak dopracowaną, ciekawą architekturę, jak ta. Styl nie był podobny do żadnego, jakie Conan widział w krainach, które przemierzył. Świetna robota murarska połączyła płynnie fragmenty kamieni układanych bez żadnej zaprawy, tworząc dziwną, asymetryczną strukturę. Efekt tak stworzony, był zupełnie inny niż wygląd rozpowszechnionych na przykład w Aquilonii czy Nemedii konstrukcji kamiennych, gdzie równomiernie rozmieszczone kolumny, łuki czy kanciaste domy wypełniały przestrzeń większości miast. Ale ta architektura nie przypominała także stylów powszechnych w Turanie, Iranistanie czy Vendhii, gdzie od stuleci preferuje się okrągłe zabudowania, a zwłaszcza wieże o ostrych zwieńczeniach.

Podziwiał mistrzowskie wykonanie tych budowli, choć ich niespotykany wygląd sprawiał, że czuł się obco. W końcu był w krypcie — miejscu ostatniego spoczynku nie żyjących od wieków ludzi i ich bogów, którzy stali się jedynie niejasnym wspomnieniem. Mrok i spustoszenie nadawały miejscu złowieszczy urok, który nie pozwalał Conanowi czuć się całkiem swobodnie.

Niektóre zabudowania spowite były w jakiś bluszcz. Wiele z tych roślin ciągnęło się od budynków rozsianych na całym obszarze aż do wieży w centrum. Na polanie na zewnątrz murów nie dostrzegł śladów życia. Z początku barbarzyńca skłonny był myśleć, że bluszcz to

jedynie dekoracja, pomysłowe podobizny roślinności wykute w kamieniu. Ale po dokładniejszym przyjrzeniu się zobaczył, że źle sądził. Postanowił zbadać to i zabudowania przy świetle dziennym, by dowiedzieć się czegoś więcej o Rahamanach i ludziach Jhaory. Sajara była podenerwowana, a jej spojrzenie nieustannie prześlizgiwało się od jednego cienia do drugiego. Trąciła Conana ramieniem i zapytała: — Czujesz to, Conanie? Zastanawiając się, co odpowiedzieć, Cymmerianin oparł się na łokciach i wyciągnął posiniaczone nogi.

— To jest jedynie ślad zamierzonej cywilizacji. Niektórzy powiadają, że takie miejsca nawiedzane są przez upiory mieszkańców, których dawno nie ma wśród żywych. Ich Cienie po wieczność snują się pośród ruin. Myślę, że się gdzieś zdarza, lecz tutaj tego nie wyczuwam. A co ty wyczuwasz tutaj?

— Czuję spojrzenia oczu kryjących się w cieniach. Coś, czego nie widzimy, obserwuje nas. Może nie chce napadać teraz, jak węże bez kłów przyczajone w gąszczu. Z radością przywitam widok jaśniejszego Asusy, gdy się obudzi!

Conan podzielał uczucia Sajary, ucieszy go obecność słońca. Ale nie lękał się tego miejsca, starał się tylko być przezorny. Rahamańska wioska intrygowała go. Nazajutrz może odkryje jej sekrety i jakieś ukryte skarby. Rubiny umieszczone w oczodołach podłej bogini podsyciły jego apetyt. Jednak najważniejsze to odnaleźć atnalagę. Ta broń dałaby mu to, czego nie mogłaby dać nawet pełna komnata klejnotów, uwolnienie od szamańskiej klątwy. Pomimo ran i siniaków, Conan chętniej niż przedtem myślał o wykonaniu swego zadania — wypełnieniu danej Y'Tabie obietnicy.

Sajara przysunęła się do niego, jej delikatna skóra ocierała się o jego ramię. — Teraz powinieneś zjeść jeszcze liście yagneb, a potem przespać się do świtu. Nie sądzę, by mnie się udało tutaj zasnąć... a nawet gdybym zasnęła, moje sny byłyby na pewno mroczne. Będę czuć i zbudzę cię, gdyby coś się działo.

— Możemy spędzić noc na polanie. Dość już spałem i mogę stać na straży — skierował spojrzenie na wysokie i wąskie wyjście na polanę. Sajara potrząsnęła głową.

— Mógłby nas zaatakować następny czatownik, a i nawet Makiela nie wypatrzyłaby go w ciemnościach nocy. Nie podoba mi się to miejsce, ale stąd od razu dostrzeżemy czatownika, który chciałby na nas zapolować. Są zbyt duże, by dostać się tu jak my i mogę atakować jedynie z góry. Światło Anamobi, Bogini Księżycy jest słabe w porównaniu ze światłością Asusy, ale wystarczy, by widzieć wszystko, co pojawia się na niebie. — Oparła się o barbarzyńcę, jej ciało było zaskakująco delikatne, jak na siłę, którą posiadała.

— Nie musisz czuwać nade mną dziewczyno — mruknął Conan. — Nawet, gdy zapadam w sen, zrywam się natychmiast, gdy coś jest nie w porządku. I śpię z mieczem w dłoni, gotowy przyjąć wszystko, co się do nas zbliży. Poza tym te wasze liście mają naprawdę sporą moc. Czuję się jakoś ożywiony.

Rzeczywiście czuł, że jego siły znacznie się wzmocniły. Może to źródłana woda, może te liście yagneb... a może bliskość Sajary. Jej cudowne, bajecznie ukształtowane ciało, śliczna twarz potrafiłyby poderwać siwego staruszka z łoża śmierci. Przepęłniało go pragnienie, by tulić ją w ramionach i składać na jej usta ogniste pocałunki.

Sajara zaczęła oddychać coraz spokojniej i coraz głębiej barbarzyńca uśmiechnął się. Spała tak wdzięcznie, jak kociak. Jej głowa spoczywała na jego ramieniu.

Gdy słuchał jej równego oddechu, zanurzył się w półsen. Gdy promienie księżycowego światła opuściły powierzchnię źródła przy którym spoczywali, Conan sam zapadł w lekki sen.

XV PIĘTNO ZŁA

Sajara uniosła głowę z ramienia Conana i leniwie ziewnęła. Zmrużyła oczy przez chwilę czymś zaniepokojona, zanim zdała sobie sprawę, że spała u boku Cymmerianina. Wiedziała, że nie ruszył się na krok z miejsca, w którym spoczęli wieczorem. Jego półprzymknięte powieki otworzyły się natychmiast, gdy się poruszyła, tak jakby w ogóle nie spał. Nie oślepiało go światło, tak jak Sajarę, wyglądał na tak wypoczętego i ożywionego, jak wtedy, gdy prowadził kobiety przez Krainę Śmierci.

Makiela i inne kobiety jeszcze nie wstały. Sajara leżała przez chwilę, udając zasnęłą. Chciała nieco nacieszyć się spokojem przed rozpoczęciem poszukiwań atnalagi. Oblicze Asusy musiało pojawić się na niebie dopiero co, wyraźnie czuć było poranny chłód powietrza. Przeciągnęła się i spojrzała na Conana. Miał niesamowite oczy, tak błękitnych jeszcze nigdy nie widziała. Skóra, włosy, potężna muskulatura — prawie wszystko w jego wyglądzie było niesamowite. Ale to oczy skupiały teraz jej uwagę, intensywnie płonące oczy. Wstała i

zaczęła się przeciągać.

Conan chlusnął sobie wodę w twarz, pozwalając kroplom spływać po ramionach i piersi.

— Jak nocne czuwanie? — spytał uśmiechając się.

— Nie widziałam nic, poza pewnym zwierzakiem o długich włosach. Siedział długo przy wodopoju.

Cymmerianin wstał żwawo i podniósł miecz z miejsca, w którym go pozostawił. Jeśli nawet dolegało mu coś po starciu z czatownikiem, nie okazywał tego.

Podeszli do śpiących dziewcząt. Na dźwięk ich głosów Makiela poderwała się nerwowo na równe nogi. Wyglądało na to, że jest równie czujna, jak barbarzyńca. Kanitra i Avrana stanęły gotowe z włóczniami w dłoniach, Makiela zaczęła się przyglądać budowli. — Im szybciej stąd odejdziemy, tym lepiej — rzucił Conan, oglądając swój miecz. Rozzłościło go, że łapy czatownika zostawiły wyraźne ślady na ostrzu z akbitanańskiej stali.

Makiela była zaskoczona i trochę zła że Cymmerianin wstał przed nią. — Więc liście yagneb postawiły cię na nogi? Wojownik skrzywił się.

— Może i pomogły, ale w smaku były obrzydliwe. Avrana uśmiechnęła się. Conan pierwszy raz widział uśmiech na jej twarzy. — Co to był za widok — ty na grzbiecie czatownika, ściskasz mu kark, a on porywa cię w powietrze. Gdy go odnalazłyśmy, okazało się, że mu ten kark zmiażdżyłeś. Na Asuse, starszyzna będzie opowiadała o tym przez długie lata!

Ze wszystkich kobiet jedynie Kanitra pozostawała nieco na boku. Uciekała wzrokiem, gdy Cymmerianin patrzył na nią, aż w końcu zwrócił się wprost do niej. — Wszystko, co mogłem zrobić, to zaciskać uchwyt na szyi tego przeklętego owada. To wasze włócznie nie pozwoliły mu uciec.

— Moja niemalże przygwoździła cię do czatownika — z goryczą rzuciła Kanitra.

Conan wreszcie dowiedział się, która z nich oddała ten niefortunny rzut. — Nie zadręczaj się tym — powiedział. — Takie rzeczy zdarzają się w bitewnej gorączce, a ja nie mam ci tego za złe.

Na te słowa rozchmurzyła się nieco. — To wielkodusznie z twojej strony, Conanie z Cymmerii. Mój następny rzut będzie bezbłędny.

Nie rozwodzili się więcej nad tą sprawą. Teraz barbarzyńca skierował uwagę na zabudowania ukryte w sercu dżungli wioski. W świetle dnia architektura wygląda jeszcze dziwniej, niż w blasku księżyca. W pobliżu źródła znajdowało się kilka małych połaci nagiętej ziemi, rozdzielonych drogą ułożoną z płaskich kamieni. Ta droga prowadziła prosto ku wejściu do wieży w centrum osady. Po każdej stronie drogi, niezabudowana przestrzeń ciągnęła się aż do murów zewnętrznych. Conan podejrzewał, że niegdyś Rahamanie hodowali tu jakieś swoje rośliny.

W istocie gleba wyglądała na żyzną, choć nie wyrastało z niej nawet jedno źdźbło. Nie mógł pojąć, jak to możliwe. W takich warunkach ziemia powinna być gęsto porośnięta różnorodną roślinnością. Bogowie chyba rzeczywiście zapomnieli zupełnie o tym miejscu. Z ciekawości podważył jedną kamienną płytę, przechylił ją i oparł na krawędzi. W wilgotnej ziemi pod kamieniem nie było ani jednego robaka. Na Croma, najbardziej przyziemne stworzenia omijały te ruiny. Conan nie miał wątpliwości, że wizerunek nikczemnej diablidy, wykuty na zewnętrznej ścianie, powstrzymywał żywe istoty przed wtargnięciem w obręb murów. Znowu myśl jego powróciła, jakim sposobem wydobydzie rubiny z oczodołów okrutnej bogini.

Starł warstwę ziemi ze spodu kamienia i spojrzał na jego powierzchnię. Tym razem był prawdziwie zafascynowany.

Na spodzie wyryty był wzór ułożony ze skomplikowanych symboli. Spirala tajemniczych znaków zaczynała się w samym środku płyty i rozwijała ku krawędziom, aż po brzeg. Niektóre znaki były znajome: w centrum umieszczono słońce, potem w szeregu nieprzypadkowych raczej odstępach pojawiały się drzewa, dalej sierp księżyca, księżyc w drugiej kwadrze i księżyc w pełni — każdy pojawiał się tylko raz. Wyryty też był mężczyzna oraz kobieta, przedstawieni w wyprostowanych pozach. Odróżniali się na tle miriady tajemniczych kształtów, które ich łączyły.

Cymmerianinowi obcy był ten styl. Nie przypominał pisma klinowego, pokrywającego wykwinne, schudne szeregi khitaiskich wojów. Nie przypominał także stygijskich hieroglifów, runicznych inskrypcji czy to starej, czy współczesnej Aquilonii, ani też surowych malunków ściennych piktyjskich klanów Niedźwiedzia i Wilka.

Opuścił kamień, umieszczając go tam, gdzie tkwił przedtem. Jakiegokolwiek byłoby znaczenie tych run, zatoneło ono już dawno w morzu czasu.

— To na pewno modlitwy Rahamanów, o których wspominał Y'Taba — podsumowała

Sajara.

Conan przypominał sobie słowa Y'Taby i doszedł do podobnego wniosku. Bez wątplenia, ludzie Jhaory podwracali kamienie, by ukryć zapis. Być może próbowali sprofanować dzieło rahamańskie. Tak jak niezrozumiałe było znaczenie rytów, tak niejasny był sposób ich wykonania. Bez wykorzystania metalu, którego Conan nigdzie tu jeszcze nie znalazł, jaką metodą posłużyli się Rahamanie?

Na rozwiązanie tej zagadki Conan ani nie miał czasu, ani chyba ochoty. Jego zadaniem było dotrzeć do czegoś, co leżało przed nimi, a nie pod ich stopami. Przed nimi, nieco dalej, nie porośnięte niczym płyty piachu, ustępowały miejsca rozmaitym zabudowaniom. Te wyglądały na zrobione z solidnych brył skały. Olbrzymie otoczaki, białe i szare, ociosane i ukształtowane były w sposób równie zręczny co tajemniczy. Mur zewnętrzny skonstruowany został z większych głazów, o ciemnym zabarwieniu i brak mu było tej lekkości i elastyczności, które miały zabudowania wewnątrz. To pasowało do opowieści Y'Taby o pochodzeniu wioski.

Makiela wskazała na najbliższy budynek. Był okrągły, ułożony z szarych i białych kamieni. Stał na drodze między nimi a wieżą. — Kulunga mógł spotkać swą śmierć w jednym z takich zabudowań. Jeśli chcesz, Sajaro, rozpoczniemy tam nasze poszukiwania.

— Gdzieś zacząć trzeba. — W jej głosie wyczuwało się ślady zniechęcenia. — Jest ich tyle... niech Asusa zaprowadzi nas do tego, czego szukamy. Jeśli nam nie pomoże, możemy spędzić więcej niż jedną noc wewnątrz tych murów. Gdybym wiedziała, co tu znajdziemy, powiedziałabym Y'Tabie, by nie oczekiwał nas wcześniej niż za cztery, pięć dni.

Przez chwilę stąpali po kamiennej drodze, schodząc z niej dopiero w pobliżu celu. Gdy już wystarczająco zbliżyli się, Conan zobaczył, że ściany okrągłej konstrukcji są odrapane. To także wyglądało na robotę Jhaory i jej podopiecznych. Możliwe, że ściany zdobiły kiedyś spiralne symbole, takie, jak na kamieniach drogi.

Obchodząc budowlę dokoła, Conan rozglądał się za jakimś wejściem, ale nie znalazł żadnej możliwości dostania się do środka. Z wyjątkiem paru dziur w dachu, konstrukcja była nie naruszona. Conan podniósł duży kawałek kamienia, który odpadł z górnych partii budynku i cisnął nim w ścianę. Uderzenie odbiło się pustym echem, ale budowla okazała się naprawdę solidna. Conan zastanawiał się, czy nie jest to jakiś dziwny pomnik. Użył swej siły, napierając na ścianę w różnych miejscach, by odnaleźć gdzieś sekretne drzwi, ale jego wysiłki były daremne.

— Niech Set pochłonie te mury — warknął poirytowany. — Jeśli trafię na głaz odpowiedniej wielkości, zrobię tu swoje własne wejście! — Jego głos pobrzmiwał jeszcze wśród ruin, gdy kroczyli dalej, podchodząc do innej, podobnej budowli. Wiele takich rozsianych było po obu stronach drogi, ich wysokość i średnica były różne, ale kształt pozostawał wszędzie taki sam. Wiele zaokrąglonych dachów skonstruowanych było według praw jakiejś dziwnej asymetrii, co zauważył barbarzyńca już poprzedniej nocy. Powierzchnia wszystkich budowli była otłuczona, zniszczona w jakimś upartym akcie wandalizmu. Jedynie najwyżej umieszczone dekoracje pozostały nietknięte.

Sprawdzali systematycznie wszystkie osobliwe budynki, aż znaleźli się w połowie drogi między murem zewnętrznym a wysoką wieżą w centrum. Irytacja Conana sięgała zenitu, podobnie jak słońce na pogodnym niebie. Sajara i pozostałe kobiety zdawały się pogrążyć w beznadziei, choć dalej skrupulatnie przeczesywały okolicę.

Wreszcie Conan znalazł odpowiedni kamień, ze dwa razy większy od jego głowy.

— Ha! — rzucił z satysfakcją, dźwigając go z ziemi. Celując w miejsce obok, skąd odpadł fragment skały, cisnął głazem w ścianę. Jego do tej pory powstrzymana furia nadała uderzeniu siłę podobną machinie obłączniczej.

Kamień walnął z ogłuszającym hukiem i rozpadł się na kawałki. Barbarzyńca z konsternacją zobaczył, że od nieustępliwej ściany opadło jedynie kilka małych płatków skały.

— Na Croma, Hanuman i Iszta! — zaklął, że niejeden marynarz zmieszałby się słysząc jego słowa. Echo wśród kamieni rozdźwięczało się tysiącem bluźnierstw, zanim Conan zakończył swoją wściekłą tyradę. Sajara i reszta kobiet stały gapiąc się na strzaskany głaz.

— Zmarnowaliśmy pół dnia przy tych po trzykroć przeklętych budynkach — wymamrotał.

— Zdaje mi się, że ten wasz Kulunga tak czy inaczej trafiłby do wieży.

— Ja poprowadziłabym nas tam już dawno — parsknęła Makiela — ale ty zdecydowałaś — spojrzała z wyrzutem na Sajarę — że powinien nam przewodzić obcy, więc trzymałam język za zębami.

— Bzdury gadasz, dziewczko! — rzucił Conan, wzburzony. — To był twój pomysł, by zaczynać poszukiwania pośród tych nędznych skorup, nie mój. Na Croma! — potrząsnął głową i zazgrzytał zębami ze złości.

Makiela ni stąd ni zowąd rąbnęła Cymmerianina na odlew z siłą, jaka powaliłaby niejednego boksera.

Conan jednak miał znacznie więcej wigoru i daleko lepsze wyczucie równowagi niż jakiś tam bokser. Błyskawicznie cofnął się poza zasięg jej ręki i zaczął pocierać policzek. Zaciśnął pięść, oczy zapłonęły mu gniewem. Mężczyźni oddałby taki cios natychmiast, lecz teraz się powstrzymywał. Choć barbarzyński do szpiku kości, nie miał w zwyczaju walczyć z kobietą. Sajara nie mogła oczywiście mieć o tym pojęcia. Wkroczyła szybko pomiędzy nich, odpychając Makielę z niezwykłą siłą, aż wysoka Ganaczka potoczyła się na twardą kamienną drogę. Odwróciła się jeszcze w stronę Conana na wypadek, gdyby miał on jeszcze ochotę na bójkę.

— Dostyc, na Asuse! Czy mam do czynienia z wojownikiem i łowczynią, czy też ze szczeniakami, które chcą oberwać po tyłkach? Makielo, nigdy nie wypełnimy swego zadania, jeśli nie będziesz odnosić się właściwie do Conana. A ty — zwróciła się do Cymmerianina, a w jej oczach pojawiło się jakieś lekkie rozbawienie — ty musisz postępować podobnie.

Conan kiwnął głową i wyciągnął rękę w stronę Makieli. Ta spojrzała niechętnie, ale chwyciła dłoń i dźwignęła się z ziemi. Gdy Makiela puściła już dłoń Conana, wojownik rozprostował palce zaskoczony siłą uścisku ręki tej kobiety. Mogłaby wygrywać bajońskie sumy siłując się na rękę w portowych tawernach. Kobiety nieczęsto brały udział w takich zawodach, ale żadna zwykła dziewczyna — nawet amazonka z południowych dżungli — nie mogłaby mierzyć się z ganackimi kobietami.

Kanitra i Avrana szeptały coś między sobą i chichotały, aż Sajara posłała im karcące spojrzenie. Atmosfera rozluźniła się nieco i cała grupa ruszyła kamiennym traktem prosto do wieży. Sajara szła przy Conanie, Makiela dwa kroki za nimi, z kolei za nią dwie pozostałe Ganaczki z włóczykami w garściach.

— Zwracasz się do wielu dziwnych bogów, Conanie z Cymmerii — przypomniała mu Sajara.

— Tak, i żaden z nich nie słucha, przynajmniej nie mnie — odparł. — Choć prawdę mówiąc, nie chciałbym ściągać na siebie ich uwagi. Bogowie zawsze będą czynić to, co sami zechcą. W gruncie rzeczy tylko kapłani i głupcy wierzą naprawdę, i zwykle nie ma pomiędzy nimi żadnej różnicy. — Barbarzyńca uśmiechnął się po tym własnym żarcie.

— Ale kim jest Crom? To imię wypowiadasz dość często.

— To bóg mojego ludu. Crom zamieszkuje potężną, oblodzoną górę z szarej skały, Ben Morgh. Kiedy Cymmerianin przychodzi na świat, Crom daje mu siłę do przetrwania i walki. Nie prosimy go o nic więcej, tak samo, jak i innych bogów, a Crom i tak nie słyszy naszych głosów.

Sajara zauważyła. — On mi wygląda na boga, którego serce jest bryłą lodu i skały, niczym jego góra. Asusa jest dobrym bogiem, który wiele uczynił dla mojego ludu.

— Zdaje się, że wystarczy mu do szczęścia, gdy patrzy, jak umieracie — zauważył szorstko Conan.

— Nie obwiniamy go za to, co się dzieje. Poza tym Asusa nie może nam pomóc, jeśli odwracamy się od niego i lekceważymy jego mądrość. A duchy Ganaków, którzy zginęli — z wyjątkiem wojowników — zabierane są na wyspę niebiańską, gdzie łączą się z duchami naszych przodków. To jest miejsce prawdziwej szczęśliwości, jak mawiają starsi. Oczywiście — dodała szybko — ja teraz jeszcze nie chciałabym się tam znaleźć.

— A co spotyka waszych wojowników po śmierci?

— Muhingo zabiera ich na swe mroczne łądy, skąd mogą strzec naszych duchów przed duchami naszych wrogów.

— Mroczne łądy — powtórzył. — Wiesz, Mihingo może nie jest aż tak zupełnie niepodobny do naszego Croma. Gdy śmierć spotyka Cymmerianina, jego dusza wędruje do królestwa szarych mgieł, gdzie panoszą się lodowate wiatry, a niebo zawsze spowite jest grubą warstwą chmur. Tam duch błąka się przez całą wieczność. Co dziwne, przy tak ponurej pośmiertnej perspektywie, większość Cymmerianinów raczej niechętnie zapatruje się na pełne przygód życie jeszcze tutaj. Ja pragnąłem dowiedzieć się, co życie mi oferuje, zanim moja duszę spotka tak posępny los.

— Masz w sobie naprawdę wiele odwagi, Conanie. Znając tak straszne przeznaczenie, niosąc ciężar, który mógłby przygnieść człowieka w jednej chwili, ty zdajesz się wręcz nie przywiązywać do tego żadnej wagi.

Urwali rozmowę, gdy znaleźli się w pobliżu wieży. Tutaj bluszcz zarastał wszystko wokół. Na początku drogi była to jedna czy dwie łądy, wyrastające gdzieś pomiędzy zabudowaniami, ale stopniowo ciemnozielone rośliny mnożyły się w oczach, aż w końcu pokrywały całkiem niektóre mniejsze budynki.

Ich wygląd nie nastrojał Conana zbyt dobrze. Wyglądały jakoś niezdrowo. Podobne były do grubych, zielonych węży śpiących pośród ruin.

— Ten bluszcz nosi jakieś piętno zła — oznajmiła Makiela, podejrzliwie patrząc na rośliny. — Myślę, że lepiej tego nie dotykać.

— Tak — przyznał Conan, rozglądając się czujnie na boki. Dalej pnącza były jeszcze grubsze i gdzieśgdzieś wpełzały na kamienną drogę, po której stąpali. — Rozważnie było trzymać się środka drogi. — Nie mógł pozbyć się niepokoju, uczucia, które dopadło go nagle. Przystanął i obserwował pogmatwaną roślinność, szukając jakichkolwiek śladów ruchu. Po chwili jednak ruszył dalej, wzruszając jedynie ramionami.

Na bosaka poruszali się cicho, jak wstęga dymu. Gdyby ich kroki nie były tak lekkie, Conan na pewno nie usłyszałby szelestu za plecami. Spojrzał przez ramię, zatrzymał się gwałtownie w pół kroku. Przez zaciśnięte zęby wydał z siebie jakiś ostrzegawczy syk. Dobył miecza i przerażony patrzył na to, co się działo z tyłu.

Sajara błyskawicznie obróciła się, podobnie jak Makiela, obie trzymały już w dłoniach swoje noże i obie jęknęły zszokowane. — Awana, Kanitra — nie! — szepnęła Sajara. Błyskawicznie, jak atakująca kobra, dwa najbliższe pnącza, rzuciły się na dwie zaskoczone kobiety maszerujące na końcu. Zielone macki zacisnęły się na ich twarzach, zamykając usta i nozdrza, oplatając szyje, by zdusić krzyki. Pnącza uchwyciły kobiety tak mocno, że krew trysnęła im ze wszystkich miejsc, gdzie się wpijały. Inne macki wyrwały im włócznie z dłoni, a kilka drobnych chwastów odciągnęło broń na bok. Kobiety broniły się rozpaczliwie i nawet rozerwały kilka zielonych łodyg, ale na ich miejscu natychmiast pojawiały się nowe. Zanim Conan i dwie Ganaczki stojące obok zdołali się ruszyć, Kanitra i Awana spowite zostały w zieloną sieć.

Dwie łodygi grubości kciuka wypuściły jakieś małe bladozielone gałązki. Chwilę później niczym liście pojawiły się na nich grona żółtych gałek ocznych nie osłoniętych powiekami. Chwiały się, kołysały na wiotkich włóknach. Ale nie to sprawiło, że Conan, Sajara i Makiela równocześnie krzyknęły z obrzydzenia.

Na końcu każdej łodygi otwierały się pofałdowane, różowe usta, a z każdego takiego otworu wysuwał się mlecznozielony język pokryty jakimiś czerwonymi wrzodami. Języki długości ludzkiego ramienia zaczęły chciwie chleptać krew, która sączyła się z uwięzionych w zielonym potrzasku kobiet. Powolnym ruchem owrzodzone języki wślizgiwały się pod skórę, do wnętrza ran, wywołując okrzyki cierpienia u obu schwytanych Ganaczek.

Conan rzucił się na obrzydliwe rośliny szybciej niż lew, i uniósł swój miecz. Makiela chwyciła jedną z rozgałęzionych rozszalałych łodyg i odrywała je. To samo robiła Sajara. Pnącza broniły się, języki zaczęły tłuc na oślep wokół, z wysmarowanych krwią paszczy wydobyły się płaczące syki. Na ten dźwięk pnącza, które do tej pory leżały spokojnie w pobliżu drogi, ożyły i ruszyły w kierunku broniących się ludzi.

W mgnieniu oka od ruszających się łodyg pogęstniało. Oplątywały się wokół rąk i nóg. Conan w jednej chwili znalazł się w sidłach zaciskających się zwojów. Cięcie miecza wycelowane pierwotnie w jedną łodygę, zamiast tego trafiło w tuzin innych zachłannych pędów.

Sajara i Makiela radziły sobie nie lepiej niż on, chociaż ręce Sajary pozostały nieskrępowane. Makiela straciła równowagę, gdy pęk roślin szarpnął ją za nogi. Z łomotem padła w wijącą się masę zielonej zguby. Jej krzyki protestu urwały się nagle, gdy maska z pnączy zakryła jej twarz i zaciskająca się pętla zawiązała na gardle.

Rozdzierając więzy, Conan zaczął machać mieczem na prawo i lewo, zbierając plon niczym obłąkany żniwiarz na polu diabelskiego, zatrutego zboża. Następnym pięć grubych łodyg pełzło w stronę zaatakowanych, różowe rozwarte paszcze ociekały sokiem, wywalone języki wierciły się w żądzy zaspokojenia głodu krwi. Inne wyłaniały się spomiędzy budynków i zmierzały ku ludziom ze wszystkich stron, gotowe, by zacisnąć się na każdym fragmencie żywego ciała, jaki znajdą.

Ponownie spowite zieloną chmurą, Cymmerianin ciął dziko naokoło, nie pozwalając skrępować swych rąk i nóg. Rozcięte pnącza rozluźniały uchwyt i przestawały się miotać. Przez sekundę nie atakowany Conan zauważył, że zarówno on, jak dzielne kobiety nie mają szans na zwycięstwo. Jedynym wyjściem była ucieczka. Ale dokąd? Pomiedzy nimi i murem droga zawalona była wysokim po pas żywoptomem kotłującej się śmierci, a przed nimi leżał pełzający dywan zielonej zarazy. Barbarzyńca zastanawiał się, dokąd mogą sięgać te dziwne stworzenia. Nigdzie nie zauważył ich korzeni. W jakim piekielnym ogrodzie zostały wyhodowane?

Rąbiąc pół tuzina łodyg, które okręciły się wokół Sajary, zrobił następny krok i wymierzył mordercze cięcie w łodygę wysysającą krew z Makieli. Ostrze rozsiekalo roślinę, która

trzasnęła z dziwnym odgłosem pękającej gumy. Jej oddzielona od reszty część opadła w konwulsjach. Conan znieruchomiał na moment, gdy zobaczył, że z obu jej końców sączy się świeża, jasnoczerwona krew. Jak zielona, wielka pijawka to coś wysysało krew, by tłoczyć ją gdzieś pod ziemię, gdzieś, gdzie kryły się korzenie tego całego paskudztwa.

Równie wściekły, co obrzydzony Conan skoczył i począł rąbać wyostrzoną stalą wszystko co żywe i zielone. Bardziej przypominało to młóckę niż rzetelną robotę mieczem. Zlana potem pierś wojownika pulsowała szaleńczo, gdy miecz unosił się i opadał w niezliczonych razach.

Sajara otrząsnęła się z chwilowego szoku, wyszarpnęła nóż i jedną ręką zaczęła siekać zielone sznury. Drugą chwyciła za roślinę, która przywarła do Makieli. Avrana i Kanitra leżały bezwładnie na kamieniach, ich zmagania całkiem straciły na sile, albo przez brak powietrza, albo przez utratę krwi, albo przez jedno i drugie.

Conan słyszał, jak próbują rozpaczliwie złapać oddech przez nieustępliwy knebel chciwych roślin. Łodygi wokół ich twarzy rozluźniły się niespodziewanie i Conan uświadomił sobie przerażającą prawdę. Napastujące rośliny rozmyślnie pozwoliły kobietom oddychać... chciały zachować je przy życiu. Barbarzyńca z całych sił próbował przedrzeć się do spoczywających już w bezruchu kobiet, ale nie dawał rady. Za każdym razem, jak tylko oczyścić teren wokół siebie, świeża fala zielonej zarazy wylewała się, nie wiadomo skąd. Udało się jedynie nieco powstrzymać dziwne stworzenia, ale to zaczynało być męczące. Napastnicy chyba nie czuli zmęczenia ni bólu, uparcie wykonywali swą przerażającą robotę, choć gruba warstwa pociętych ich nikczemnych sprzymierzeńców pokrywała duży fragment kamiennej drogi.

Rozzerwane pnącza odpadły jak sznury, gdy Makieli udało się w końcu wyswobodzić.

Ponieważ była kobietą dużą, stanowiła łatwy cel dla atakujących pnączy. Wyciągnęła nóż zza przepaski, okręciła się wokół własnej osi i tnąc wszystko w zasięgu ręki ostrą, choć krótką bronią.

Wrzasnęła ochryple do Conana. — Uciekajcie! Jeśli ty padniesz, nasz lud będzie zgubiony!

— Nigdy! — odkrzyknął Cymmerianin, gdy razem z Sajarą torowali już sobie przejście do Makieli. Nawet gdyby zapragnęli uciec, zupełnie nie było jak. Byli otoczeni.

Niez mordowanie wywijając swym mieczem, Conan walczył dalej. Przedrze się i uratuje te kobiety, albo zginie nie poddając się.

Makiela swym nożem siała prawdziwe spustoszenie wśród pnączy i cała za całem przebijając się do dwóch leżących, bezradnych kobiet.

— Nie! To... niemożliwe! — wrzasnęła nagle w ferworze walki.

— Makielo? — ryknął Conan, powalając jedną z krwio pijących łodyg dzikim uderzeniem ostrza. Okrzyk odwrócił na chwilę jego uwagę od walki. Rzucił okiem i z przerażeniem zobaczył, jak Avrana i Kanitra ciągnięte są powoli po ziemi każda w inną stronę. Wcześniej pnącza zabrały włócznie Ganaczek, a teraz porwały kobiety, nie wiadomo w jakim celu. Conan zmuszony był znów skupić się na tym, co działo się wokół niego. Przez chwilę nie patrzył w stronę kobiet. Gdy spojrzął znów, dostrzegł poruszające się nieznacznie stopy jednej z nich. Po chwili zniknęły za ścianą jednego z okrągłych budynków.

— Niech mnie Crom przeklnie za moją głupotę — jęknął. Oczywiście nie wszystkie zabudowania były litą konstrukcją — wejścia do niektórych były po prostu ukryte pod obrastającymi kamienie roślinami! Dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy pomyślał jakiego rodzaju grozę mógłby napotkać tam w środku.

— Avrana! — wrzasnęła Makiela i rzuciła się w stronę okrągłego, budynku. W tym zrywie stopy zaplątały jej się w zwoje podłego bluszczu. Dłonią zdołała chwycić jedną z miotających się łodyg, ale natychmiast pochłonęła ją rozpulsowana, zielona masa. Nóż wypadł jej z dłoni. Zawyla w rozpaczliwej złości, gdy pnącza zaczęły wlec ją do jednego z ukrytych wejść.

— Nie uda się nam uwolnić — wysapała wyczerpana i przerażona Sajara. Oddychała szybko, ledwie utrzymywała równowagę, stając po zdradliwym, oślizłym podłożu.

Conan w duchu przyznawał jej rację. Niechybnie oboje zostaliby wciągnięci do nienazwanego grobu, gdyby zostali w miejscu. Mimo to uparcie nie potrafił się pogodzić z taką porażką.

— Za mną! — rzucił, uwalniając nogi kilkoma celnymi ciosami miecza. Z prędkością, jaką tylko zdołał z siebie wykrzesać, popędził w kierunku ściany, przez którą do wnętrza budynku została wciągnięta Avrana.

Sajara pospieszyła za nim. Łodygi złośliwie smagały jej nagie ciało. Potknęła się i upadła, po czym przetoczyła po ziemi, ledwo umykając przed chciwymi objęciami piekielnych roślin. Gdy odzyskała równowagę, dogoniła Conana kilkoma długimi susami. Biegła dalej za nim, a

on wycinał mieczem przejście wśród miotających się pnączy.

Cymmerianin wskoczył przez niewielki otwór w zaokrąglonej ścianie, ledwo się w nim mieszcząc. Niewielkie szpary w kopule budynku wpuszczały do środka słoneczne światło. Gładka, kamienna posadzka przysypana była kawałkami skał, odpadłymi z sufitu. Pośrodku posadzki otwierał się ciemny właz. Conan stęknął, gdy boleśnie upadł na kawałek skały, o mały włos wypuszczając z dłoni miecz. Moment później Sajara była już przy nim. Barbarzyńca przyjrzał się otworowi, przez który wskoczyli do środka. Pnącza mogły się dostać do wnętrza budynku tylko tędy lub przez właz w podłodze. Conan chwycił największy głaz i zatkał nim wejście, miażdżąc przy tym parę wpełzających łodyg. Wściekłymi uderzeniami noża Sajara przepędziła parę innych, które już wcześniej zdążyły wleźć do jamy. Zatykając wejście jeszcze kilkoma głazami cofnął się o krok i starał się ocenić tę prowizoryczną zaporę, czy wytrzyma napór zielonych bestii. Jama prowadziła pod ziemię, i tu już nie wychyliło się ani jedno podłe stworzenie, ale Sajara z uniesionym nożem czujnie wpatrywała się w czarną gardziel włazu.

Pośpiesznie skonstruowana przeszkoda z kamieni wytrzymała ataki. Po pewnym momencie ustały całkiem drapania i szelest pełznącego paskudztwa. Na razie byli bezpieczni. — Avrana musi być tam, na dole — szepnęła Sajara, zaglądając ostrożnie do włazu. Conan ciężko oddychając, powłókł się, by też zajrzeć w ciemny otwór. Podniósł kamyk i wrzucił do środka. Od razu usłyszeli, jak uderzył o twardą powierzchnię. Odgłos świadczył o tym, że była kamienna.

— Jest płytko — oświadczył Conan, spuszczać się powoli do włazu. Ale nogi nie znalazły oparcia.

Podciągnął się z powrotem, wybrał kilka odciętych pnączy i związał je tworząc prowizoryczną linę. Na jednym końcu zrobił pętlę.

— Trzymaj to — mruknął, wręczając Sajarze koniec. Centymetr po centymetrze opuszczał się, odpychając stopami od ściany włazu, aż do chwili, gdy szyb zaczął zakręcać. Opuścił się jeszcze trochę, dotknął w końcu stopami kamiennej posadzki, okazała się dość solidna. Oczy szybko przywykły do mroku, wtedy Conan zobaczył zarysy korytarza. Odgadywał, że stoi twarzą w kierunku centrum ruin tych na powierzchni. Korytarz robił wrażenie długiego, ale w ciemności nie można było dokładnie określić odległości. Był obszerny, rahamańscy budowniczości musieli być słusznego wzrostu. Z regularnych, okrągłych otworów w sklepieniu dochodziło mętne światło. Conan oceniał, że były to włazy w posadzkach innych budynków. Conan doszedł do wniosku, że Awana nie była wleczona drogą, którą sam teraz kawałek przeszedł. Ganaczka krwawiła, a w korytarzu za nim nie było ani jednej plamki krwi.

Ślad leżał przed nim, w mroku.

— Zostań gdzie jesteś — zawołał do Sajary — jego głos odbił się posępnym echem.

— Co tam widzisz? — zapytała.

— Przedsiónek piekła. — Wiele stało się dla niego zrozumiałe. Zwłaszcza przyczyna, dla której pośród ruin nie spotkali nic żywego. Ani zwierząt, ani roślin, ani nawet owadów. Nie wiedział, co czeka go na końcu korytarza, ale jeśli jest to coś, czego nie można zabić za pomocą stali, ten tunel stanie się najpewniej jego grobowym. Wypatrując jakiegokolwiek ruchu i nasłuchując w skupieniu, Conan pomaszerował prosto w czarne serce ruin.

XVI

PRZEDSIONEK PIEKŁA

Conan posuwał się naprzód na czworakach. Był wściekły, że musi posuwać się tak powoli. Pełznął i węszył niczym pies na polowaniu z nosem przy ziemi. Tylko tak mógł wyśledzić, którądy wleczono Avranę, jako że jedynym śladem był zapach jej krwi. Teraz naprawdę potrafił zrozumieć, co musi czuć każdy ślepiec. W pewnym momencie w tunelu nie było żadnego światła; więc trzeba było polegać tylko na dotyku, by nie uderzać ciągle o ściany. Cymmerianin zastanawiał się, czemu nie napotkał więcej pnączy. Minął już ostatnią dziurę w sklepieniu, przygotowaną na atak z góry. Nigdy przedtem nie zdarzało mu się wykorzystywać i sprawdzać swych umiejętności tropicielskich w takich warunkach. Tunel nie był prosty, jak sądził na początku. Minął już dziewięć skrzyżowań, na każdym odkrywając po kilka korytarzy, prawdopodobnie prowadzących do innych budynków na górze.

Plamy krwi były nieliczne i dość znacznie oddalone od siebie. Conan stał sobie kolana, co więcej w takiej pozycji niewygodnie było nieść miecz i gdyby wpadł w zasadzkę, miałby poważne kłopoty. Mały kamyk wbił mu się w kolano, przerwał wędrówkę, by go usunąć.

Chwilę potem natrafił na jeszcze więcej pokruszonych kamieni. Zatrzymał się, pociągnął nosem i nie wiedział, czy poczuł nagle wyraźny zapach krwi Avrany, czy tylko mu się zdawało? Przejechał dłońmi po ścianach i znalazł po obu stronach otwory. Postanowił zaufać instynktowi. Uniósł się z kłęczek i w przysiadzie zaczął rozprostowywać nogi i ręce, by pozbyć się odrętwienia. Ruszył prosto przed siebie, dziwnie pewny, że to właściwy kierunek. Z początku niewyraźny zapach z każdym krokiem zmieniał się w coraz silniejszy smród. Conan wyprostował się całkiem, wyciągnął ręce w górę i okazało się, że nad nim znajdują się otwory. Nie wydobywało się z nich żadne światło i w ten sposób były prawie niewidoczne. Właściwie nie posunął się zbyt daleko od początku tej podróży do piekieł, ale irytująca ciemność zakłócała jego poczucie czasu i odległości.

Łup!

Dźwięk odbijał się echem, ze zwielokrotnioną siłą, aż Conan wstrzymał oddech.

Ruszył w stronę odgłosu szybko, na ile pozwalała ostrożność. Czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Ohydny fetor potęgował się z każdym krokiem. Nie potrafiłby określić tego dusznego, gęstego zapachu, który wypełniał otoczenie. Z własnego doświadczenia wiedział, że do wszystkiego można się przyzwyczaić, ale ten odór był tak okrutny. Conan usłyszał cichy szelest nad głową.

Wyciągnął w górę i gwałtownie cofnął rękę. Dotknął łodygi, ale roślina pozostawała w bezruchu, dziwnie naprężona. Wyczuł palcami inne przyłączone do sufitu. Uniósł miecz i już je chciał posiekać, ale zastanowiło go niezrozumiałe zachowanie tych zdradzieckich patyków. Stworzenia zupełnie nie były świadome jego obecności. Ciosy miecza mogłyby je rozjuszyć. Conan ruszył więc dalej i wkrótce dotarł do następnego zakrętu korytarza. Światło! Za rogiem dostrzegł niewyraźną, lecz podnoszącą na duchu poświatę. Ten odległy blask nieco oświetlał korytarz. Barbarzyńca uderzył o coś głową, spojrzał w górę i zadrżał. Szerokie wstęgi splatanych pnączy pokrywały sufit. Im bliżej mętnego światła, tym więcej było tego paskudztwa. Cymmerianin był przerażony ich liczbą, rozciągały się na całej przestrzeni, niektóre prawie sięgały podłogi. Conan usiłował uzmysłować sobie, gdzie się znajduje w stosunku do ruin na powierzchni ziemi. Jeśli to wieża była źródłem światła, to tunele stanowiły fragmenty jakiejś olbrzymiej regularnej sieci, do której centrum właśnie się zbliżał.

Z zaciśniętymi zębami omijał grube pęki splatanych roślin. Najwidoczniej nie miały one żadnych zmysłów, inaczej z pewnością reagowałyby na jego przejście. Ucieszył się, że nie widać było w pobliżu ani jednej bladozielonej gałązki, wstrętnej wypustki z gronami oczu. Ale i tak wszystko sprawiało chorobliwe wrażenie i budziło lęk przed tym, co znajduje się na końcu drogi, w miejscu, skąd dochodziło mętne światło.

Barbarzyńca przywykł do półmroku i zaczął dokładniej przyglądać się wszystkiemu wokół. W miarę jak kroczył ku sercu podziemi, nieznacznie narastało drżenie łodyg, aż korytarz wypełnił się dziwnymi odgłosami. Tysiące pnączy delikatnie zmieniało swe położenie, co sprawiało wrażenie ruchu fal morza.

Gdy Conan dotarł w końcu do źródła światła, niesamowity widok zaparł mu dech w piersi. W centrum sufitu skrzył się wielki kryształowy krąg, ściągający i wiążący promienie słońca znad powierzchni ziemi. Tęczowe smugi oślepiającej jasności tańczyły spływając na podłogę podziemnej komnaty. Inne korytarze, podobne do tego, gdzie znajdował się Conan, rozbiegały się w różnych kierunkach. Przypominały promienie koła wielkiego rydwanu. Kryształowy krąg stanowił równocześnie posadzkę górnego pomieszczenia. Barbarzyńca patrzył z dołu przez przeźroczysty sufit na fontannę bogów.

Kryształowy strop rozpraszał światło i nasyczał promienie barwami. W płycie sufitu znajdowało się mnóstwo małych otworów. Conana zastanawiało jak mógł utrzymać wodę tak podziurawiony zbiornik? Nagle zrozumiał, że okrągłe pomieszczenie, przed którym stał, i sieć połączonych z nim korytarzy musiały być niegdyś wypełnione wodą, tak że tryskała ona w górę przez otwory w kryształowej tafli. Włazy w okrągłych budynkach z pewnością były pewnego rodzaju studniami, zbudowanymi przez Rahamanów.

Poza przestrzenią w okolicach sufitu wszystko pokrywały falujące pnącza, przesłaniając ściany i większość posadзки. W gąszczu zielonych łodyg tkwiły tu szypułki z setkami pulsujących małych oczu, które obracały się na włóknistych pręcikach. Oczy, podobne do rybich, gapiły się na oszołomionego Cymmerianina.

Źródło tych wszystkich łodyg i jednocześnie najobrzydliwsze dziwactwo natury, jakie kiedykolwiek dane mu było oglądać, spoczęło przed Conanem.

Przykucnięte na środku komnaty, przypominały olbrzymi ananas. Było obłe, zielonkawe i trzykrotnie większe od Conana. Pnącza, identyczne, jak te z którymi Conan i jego towarzyszkę walczyli wśród ruin, mnożyły się wszędzie. Wytryskały z ciemnozielonych

pęknięć na plamistym podłożu, między szkarłatnymi guzami, które podobne były wrzodów. Stworzenie nie miało oczu z wyjątkiem tych osadzonych na wypustkach. Przed tym paskudztwem, opłatane nasączonymi krwią łądygami, leżały Avrana, Kanitra i Makiela. Z trudem je rozpoznawał, ich twarze były nienaturalnie blade. Oczy z szypułkami zagłębiały swe języki w poranione ciała swoich ofiar. Czerwień łądyg wyraźnie odbijała się na tle upiornie bladych kobiet.

Conan zrozumiał, że cały bluszcz, z łądygami grasującymi wśród ruin wyrastają z tego jednego stwora. Pnącza spełniały funkcję korzeni, lecz zamiast wyciągać pożywienie z gleby, wysysały je z ciał nieszczęsnych ofiar. Jak długo odrażający potwór czatuje pod ziemią, żerując na wszystkim co pojawi się w jego zasięgu?

Istnienie tak podłej bestii pod tą zapomnianą wioską, napawało Conana obrzydzeniem. Bestia należała z całą pewnością do świata obłąkanych demonów, a nie do świata żywych istot. Conan dostał zawrotu głowy, ręce i nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Przeklęty potwór — roślina chwycił go w niewidzialne więzy.

Makiela niespodziewanie otworzyła oczy i zobaczyła twarz Cymmerianina, na której malowało się przerażenie i cierpienie, jakich nigdy przedtem u niego nie widziała. Uchyliła usta, ale łądyga szybko przesunęła się z karku na twarz, tłumiąc jej krzyk.

Ona żyje! Tamte mogą żyć także! Napelniony nową nadzieją, Conan chwycił mocno swój miecz z akbitanańskiej stali i skoczył na podłe monstrum.

Coś, co przypominało usta, rozwarło się w wydętym korpusie potwora. Wstrętny obłok jakiegoś paskudztwa buchnął z tej gęby i ochlapał Cymmerianina. Zimne gałki oczu na łądygach rozżarzyły się jak iskry w ogniu, cielsko przybrało kolor wściekłej czerwieni. Gdyby Conan nie zamknął odruchowo powiek, kleista papka z pewnością pozbawiłaby go wzroku. Sam fetor mógłby powalić najsilniejszego wojownika. Ale Conana ogarnęła już furia. Nie zwracając uwagi na otaczający go smród i ogień jednym skokiem znalazł się w połowie drogi do bestii. Przedzierając się dalej, rąbał wściekle mieczem gąszcz łądyg. Otwór w cielsku potwora otworzył się ponownie, ale Conan błyskawicznie usunął się przed strumieniem tłustej, palącej wydzieliny.

Zamachnąwszy się dziko w złości, która dała mu siłę dziesięciu wojowników, uderzył potężnie w wypięty kałdun stwora. Ostrze przecięło grube fałdy skóry i zatopiło się we wnętrzościach. Zielone macki zaczęły skręcać się spazmatycznie i miotać na wszystkie strony. Raniąca bestia zadygotała z bólu, po czym dzwignęła się z posadzki. Rozległ się dźwięk przypominający otwieranie butelki.

Macki zaczęły tłuc Conana, ale nie zwracał na to uwagi. Wsadził ostrze ponownie w rozdarty brzuch potwora z taką siłą, że miecz zatopił się po rękojeść w ohydny cielsku. Z głośnym trzaskiem pękł jakiś wewnętrzny organ i zielony śluz wyciekł z przebitej rany. Ale pnącza sterczące z kałduba bestii nie zaprzestawały walki. Oplątując się wokół barbarzyńcy, próbowały wciąż wytrącić go z równowagi i powalić. Rozszalały wojownik, rozprostował ręce i jednym szarpnięciem pozbył się ich, odrzucił od siebie kopniakiem, zanim macki natarły na nowo. Jeszcze raz rąbnął cielsko ciosem, który powaliłby masywne drzewo. Ociekająca krwią bestia przewaliła się na jeden bok. Jej macki straciły moc, karmazynowe wypustki zwisły bezwładnie. Stworzenie zwiótczało niczym przekłuty balon, a potem przetoczyło się na grzbiet i znieruchomiło.

W pomieszczeniu zaległa cisza, słychać było jedynie przyspieszony oddech Conana i bulgotanie martwego, obrzydliwego cielska.

Conan cofnął się o krok. Chłozzące go pnącza starły z niego wstrętną palącą ciecz. Na jego skórze pozostały jedynie ślady podobne do oparzeń, ale nic więcej. Trochę obawiał się szkodliwych skutków działania trującej substancji, ale chyba nic takiego mu nie groziło. Rozluźnił zaciśnięte palce, nie puszczał jednak rękojeści miecza. Stopniowo odzyskiwał zimną krew. Poruszył mieczem lśniąca, włókniste pozostałości, chcąc rozproszyć obawy co do tego, czy zostało jeszcze życie w zielonym diable. Pochylił się, by przeciąć pnącza oplatające powalone Ganaczki.

Makiela poważnie osłabiona, poruszyła się jak w transie. Avrana i Kanitra oddychały płytko i niespokojnie, blade odcień ich skóry świadczył, że straciły naprawdę sporo krwi. Zdumiewające było to, że Makiela o własnych siłach dzwignęła się z posadzki. Zaczęła pocierając ręką gardło, próbując złapać oddech. Wzory, które pokrywały jej ciało, zostały zupełnie starte. Skóra posiniaczona i podrapana była niemal wszędzie, w paru miejscach widać było głębsze rany — ślady po ucztowaniu potwora.

Makiela strząsnęła bezwładną łądygę, wciąż przyczepioną do jej nogi. Oczy na szypułkach martwo patrzyły na kobietę. Odrzuciła to z obrzydzeniem. — Dzięki, ci, wojowniku z Cymmerii — przemówiła słabym, ochryplym głosem.

Barbarzyńca kiwnął jej głową i zerwał ostatnie resztki piekielnego bluszczu z dwu nieprzytomnych kobiet. Nagle zauważył, że stoi już po kostki w zielonkawym szlamie. Chwilę wcześniej to samo lepkie błoto ledwie przykrywało posadzkę. Coraz ciężiej było oddychać, i miało się wrażenie że w płuca wciągało się coś więcej niż tylko powietrze. Panował zaduch, jakby ścieki z całego miasta skoncentrowały się właśnie tutaj. Głęboka kałuża zalewała wszystko wokół, i zaczęła sięgać już łydek.

Widocznie potwór blokował przepływ wody do fontanny na górze i do studni w budynkach. Conan przypomniał sobie dźwięki, jakie wydawała podnosząca się z posadzki bestia. Potwór zatykał podziemne źródło, inaczej całe pomieszczenie i połączone z nim korytarze, szybko wypełniłyby się wodą spod ziemi. Gdyby była to czysta woda, nie byłoby kłopotu, że przybiera. Ale czysta była kiedyś, a stulecia kontaktu z ohydny, pełnym jakichś żrących kwasów potworem — rośliną, spowodowały, że stała się zanieczyszczona. Y'Taba mówił o strasznej kłątwie rzuconej na fontannę.

— Możesz iść? — zapytał Conan Makielę.

— Tak, myślę że tak — odparła niepewnie, opierając się plecami o ścianę. Uznał, że kobieta da sobie radę. Inną sprawą było, co zrobić z pozostałymi Ganaczkami. Przeniesienie dwu kobiet nie stanowiłoby dla niego wielkiego kłopotu, ale teraz był zmęczony i nie sądził, by udało mu się taszczyć te dwie olbrzymki całą drogę przez tunele. Mimo wszystko wiedział, że musi spróbować. Przełożył sobie przez jedno ramię Avranę, na drugie zarzucił Kanitrę. Wyprostował się z wysiłkiem i zrobił kilka kroków po śliskiej posadzce.

Pnącza wokół nie wisały już sztywno na ścianach, niektóre ześliznęły się, tworząc nieduże sterty, inne porozrzucane w nieładzie płątały się pod stopami Conana. W miejscu, gdzie wody jeszcze nie było, barbarzyńca dostrzegł kilka rozstępów w zwartej, zielonej masie. Zobaczył przez nie stare pozostałości po dawnych ucztach potwora — różnego rodzaju kości, fragmenty szkieletów małych i dużych ptaków, wysokich humanoidów czy to Rahamanów, czy Ganaków, czy jednych i drugich. Wśród tego leżały także skorupy i pancerze jakichś dużych owadów, a nawet włókniste szkielety czarowników. Jak wiele ofiar zostało wciągniętych do tej nory, legowiska bestii, i wyspanych do ostatniej kropli krwi? Czy mógł być między nimi Kulunga?

Jeżeli atnalaga spoczywa gdzieś w tej warstwie trupich resztek, będzie musiała zostać tam na zawsze. Nie było czasu na przetrząsanie sterty kości, nawet gdyby Conan pokusił się o to. Pozostawało trzymać się nadziei, że Kulunga uniknął zgubnego ataku pnączy. Jeśli dotrą na powierzchnię, przede wszystkim trzeba będzie sprawdzić, co jest w wieży.

Makiela wyszła za Conanem z okrągłej, podziemnej komnaty, i raz spojrzała za siebie.

Za nimi zielona woda tryskała niczym krew z otwartej, głębokiej rany i nieubłaganie płynęła szybko wypełniając tunele. W miarę, jak oddalali się od tego miejsca, światło sączące się z góry poprzez kryształowy basen stopniowo niknęło. Ich marsz był niezmiernie powolny. Conan obarczony ciężarem dwukrotnie przewyższającym jego; własną wagę, nie mógł nic poradzić na to, że poruszali się w takim tempie. Co jakiś czas przystawał, szukając pozostawionych wcześniej własnych śladów. Kierował się instynktem, nie mogąc polegać na zmęczonej pamięci.

Gdy zupełnie już pochłonęły ich ciemności, musieli zatrzymywać się na każdym skrzyżowaniu. Nie mogli pozwolić sobie na błędzenie w tunelach, a znalezienie drogi w tym kamiennym labiryncie było piekielnie trudne.

Gdy przeszli przez któreś skrzyżowanie, Cymmerianin wdepnął w płytką kałużę. — Powinniśmy mieć to już daleko za nami — wymamrotał, rozpoznając miejsce. — Kopnął w ścianę, o mało nie upuszczając ciężaru, który dźwigał.

— W tej chwili ja zupełnie nie potrafię powiedzieć, ani jak długo szliśmy, ani czy we właściwą stronę zmierzamy. — Głos Makieli załamywał się, nie było w nim właściwej jej pewności siebie. Szła z trudem i ledwie mogła dorównać Conanowi. Strata krwi pozbawiła ją sił.

Możliwe, że nie tylko osłabienie, ale i lęk przed mrokiem korytarzy wpływał na złe samopoczucie Makieli. Potrafił to zrozumieć. Makiela całe swe dotychczasowe życie spędziła pod otwartym niebem. Istnieją ludzie, którzy boją się zamkniętych przestrzeni. Jeśli ona należała do nich, z pewnością szła naprzód jedynie dzięki silnej woli. On sam też już był znudzony przebywaniem tak długo w podziemnych korytarzach i pragnął poczuć na sobie promienie słońca.

Na chwilę zdjął z barków niesiony ciężar i próbował wspiąć się po pnączach, które prowadziły gdzieś do góry włązu przy którymś z budynków, ale lodygi były zbyt słabe, by go utrzymać.

Dźwignął więc znów obie kobiety i powłókł się dalej. Wrócili na skrzyżowanie, na którym

byli ostatnio. Makiela zachwiała się, zatoczyła na ścianę i upadła. Gdy Conan pomagał jej wstać, jego ręka natrafiła na zakrwawione ramię. — Na Croma, dziewczyno! — Irytacja sprawiła, że jego słowa zabrzmiały bardziej szorstko, niż zamierzał. — Czemuś nie powiedziała, że wciąż krwawisz?

— Nie jest tak źle, — jęknęła. — Ramię już nie krwawiło, ale gdy upadłam... — zatoczyła się ponownie i osunęła na ziemię.

— Makielo, podnieś się, dziewczyno! — nalegał, potrząsając nią łagodnie.

Odpowiedziała mu jedynie głębokim westchnieniem.

— Na Ishtar! Jesteśmy tak blisko — potrząsnął nią jeszcze raz, ale bez rezultatu, nic nie zakłócało jej głębokiego snu. Wiedział, że nie jest w stanie dźwignąć wszystkich trzech kobiet. Plecy zaczynały go rwać, nawet nogi miał obolałe. Oparł Kanitrę i Avranę delikatnie o ścianę i rozprostował kości. Zastanawiał się, czy nie powinien rozejrzeć się, jak daleko jest cel. W tym czasie Makiela mogłaby odpocząć. Ale nie, nie mógł ich tak zostawić.

Chwilę później, wciąż niezdecydowany, co robić, on także osunął się na posadzkę i zapadł w sen.

Ocknął się zlany zimnym potem. Otworzył szeroko oczy, ale to niewiele dało. Wszędzie wokół zalegał nieprzenikniony mrok tunelu. Miał zły sen, ale nie pamiętał szczegółów, budząc się zanim utonął we śnie.

— Na Croma! — mruknął i skoczył na równe nogi. Nie był wcale zlany zimnym potem, to tłusty szlam wypełniał korytarz, i dosięgnął już do policzka. Zdenerwowany chwycił Makielę za ramiona i unióś. Nie mógł jej docucić. Jej oddech był nierówny i — jego zdaniem — za płytki.

Nie podobało mu się to, co musiał zrobić, ale nie miał wyboru. Zebrał trochę pnączy i mocno związał nimi kobiety, by utrzymać je w pozycji stojącej. Pnącza były słabe i Conan modlił się, żeby wytrzymały, zanim wróci po kobiety razem z Sajarą. Powinien był pomyśleć o tym wcześniej — ona by uniosła Makielę.

Brnął zawzięcie przez szlam, nad głową pnącza zaczynały być rzadsze, tak jak się tego spodziewał, a w oddali dostrzegł niktłe światło.

— Na Croma, nareszcie! — odetchnął z ulgą i poczuł się znacznie lepiej, gdy zobaczył światło płynące z góry. — Sajara! — krzyknął, a gdy echo jego głosu ucichło, krzyknął jeszcze raz, mając nadzieję, że Sajara musi w końcu odpowiedzieć.

— Conan? — dotarł do niego szept głosu odbijający się od ścian na wprost niego. Chwilę potem zobaczył Sajarę.

— Szybko — nakazał gestem, by szła za nim.

— Gdzie kobiety? — rzuciła nerwowo.

— Bezpieczne, jak sądzę. Chodźże!

Ruszyli natychmiast, po drodze Conan przekazał jej, co zaszło.

— Wcześniej zesłałabym na dół szukać was, ale oblicze Asusy skryło się za kamiennym murem. Nic tam w dole nie widziałam. Niebo pociemniało, potem pojaśniało znowu i wtedy przysłałam tu was odszukać.

Conan i trzy Ganaczki spędzili całą noc w tym przeklętym labiryncie, zatopieni we śnie nieświadomi byli grożącego im niebezpieczeństwa. Conan przyśpieszył, gdyby te kobiety zginęły, nigdy by sobie tego nie wybaczył. Był bardzo zmęczony, ale to nie mogła być żadna wymówka. A śmierć choć jednej z nich, po tym co razem przeszli... Zacisnął pięści i wbiegł w mroczny korytarz, w którym je zostawił.

Sznury z roślin jakoś wytrzymały. Kobiety były wyczerpane, ale oddychały i to było najważniejsze. Na ramionach znowu ułożył sobie Avranę i Kanitrę. Sajara też w końcu dźwignęła Makielę, chociaż była od niej wyższa i cięższa. Wrócili pod właz, którym wcześniej oboje schodzili do podziemi. Z szerokiego otworu w suficie zwisała wiązka łądyg. Conan sprawdził ich wytrzymałość.

— Zawinęłam pnącza wokół dużego kamienia i przywaliłam go innymi skałami — powiedziała Sajara. — To powinno wytrzymać spore obciążenie.

Conan podciągnął się ostrożnie, szczęśliwy, że wreszcie opuszcza to podziemne królestwo pomyj. Starał się zapamiętać, że potem musi starannie wyczyścić miecz.

Wreszcie wciągnęli na górę nieprzytomne kobiety. Sajara owiazała je pnączami, a Conan wciągał. Trwało to bardzo długo, ale wreszcie wszyscy znaleźli się na powierzchni.

Cymmerianin rozbił kopniakiem kamienną barierę, którą wcześniej zrobił i wyszedł z budynku, chłonąc promienie słoneczne tak, jak spragniony człowiek łykałby wodę.

Wszędzie naokoło leżały martwe łądygi, wyglądały nieco łagodniej, lecz równie dziwnie, jak wtedy, gdy się ruszały. Sajara i Conan udali się do źródła w pobliżu wejścia do wioski i

obmyli się z zielonkawego szlamu, przemywając również rany. Umyli też nieprzytomne kobiety, ale nie mieli nic, co można by użyć jako bandaży.

Sajara delikatnie okładała zranienia liśćmi yagneb, które zostawili przy wodopoju wcześniej.

— Nie możemy zostawić ich tu samych — powiedział Conan. — Zostaniesz tu, a ja rozejrzę się w wieży.

Sajara pokręciła głową. — Nie powinniśmy się rozdzielać. Poczekajmy, aż przebudzi się Makiela. Ona jest silna. Jej ciało leczy się szybko. O świcie będzie w stanie czuwać nad Avrana i Kanitrą. Wówczas oboje pójdziemy przeszukać wieżę.

— Lepiej zrobić to już teraz, nawet w pojedynkę. Straciliśmy wiele czasu, a teraz te ruiny są już puste. Nie czujesz tego? Potworny strażnik został zgłodzony, a nic innego nie czai się pośród tych budynków. Co by się stało, gdyby jutro o świcie Kezatje uderzyły na wioskę? Nie możemy sobie pozwolić na zwłokę!

— A jeśli nie wrócisz z wieży? Idę z tobą, Conanie z Cymmerii. Ranioba nie zawsze może znać swoje przeznaczenie, ale zawsze może wybrać drogę, po której będzie ku niemu zmierzać. Zostań tu, albo idź do wieży, rób co zechcesz.

Conan nie wątpił, że ta uparta dziewczyna zostawiłaby towarzyski, jeśliby musiała.

Zakipiła w nim z gniewu, lecz ostatecznie usiadł zrezygnowany przy źródle. Nie mógłby zostawić tych Ganaczek samych, nie chciał też tracić energii na kłótnie z Sajara. Siedział więc wpatrując się w odległą wieżę.

Kamienna droga, bez zielonego paskudztwa, prowadziła prosto do portalu u podstawy wieży. W środku na pewno znajdę fontannę bogów i inne pozostałości cywilizacji Rahamanów. Czy znajdują też atnalagę obok kości Kulungi?

Conan uparcie wierzył w to, że legendarny ganacki wojownik nie spotkał swojej śmierci w ohydny legowisku potwora, którego dopiero co pokonał. Conan prędeż by się zestarzał, niż przekopał tam pod ziemią stopy szkieletów. Cymmerianin odwrócił swą uwagę od wieży i skupił się na broni. Właśnie znalazł odpowiedni kamień, by wyszlifować ostrze miecza, gdy Makiela otworzyła oczy.

— Asusa — jęknęła, poruszając się.

— Makiela! — Sajara skoczyła na nogi, w jej oczach błysnęła radość. — Jak się czujesz? Ganaczka posłała Sajarze niewyraźny uśmiech. — Żyję — odpowiedziała.

Conan i Sajara wyjaśnili jej sytuację, a ona zapewniła ich, że jest w stanie czuwać nad cały czas nieprzytomnymi Kanitrą i Avraną. — Dość już spałam — dodała — i musimy wrócić do wioski nim zjawia się Kezatje. Ruszajcie!

Sajara zostawiła Makieli nóż, gdyż Makiela swój zgubiła w walce z bestią o tysiącu macek. Conan sprawdził ostrze swojego miecza, i ruszył z Sajarą w stronę wieży.

Akbitanańska stał warta była ceny, jakiej żądano za nią w wielu miejscach, gdzie Conan zetknął się z nią. Jak Khetet wszedł w posiadanie takiej broni, Conan mógł tylko zgadywać. Ten, kto byłby na tyle głupi, i chciał ją sprzedać, mógłby z łatwością zażądać równowartość jej wagi w złocie.

— Czy tę twoją broń, miecz — poprawiła się Sajara, próbując nowego słowa — ofiarowali ci bogowie?

— W pewnym sensie — odpowiedział z dziwnym mrocznym uśmiechem. — To długa historia.

— Opowiedz mi.

Conan pokrótce opowiedział, jak został uwięziony i o wydarzeniach, które nastąpiły później, aż doszedł do momentu bitwy z Kezatjami. Całkowicie pominął szczegóły swojej transformacji, pamiętanie o tym nie było przyjemne. Gdy opowiadał Sajara potrząsała głową w zdziwieniu, czasem przerywała mu jakimś pytaniem. Cymmerianin starał się opisać wszystko, jak tylko potrafił, ale nie było łatwo mówić o rzeczach, których ona nie widziała. Zupełnie nie umiała sobie wyobrazić statku, mimo że opisywał go bardzo dokładnie.

— Jedynie nasi wojownicy używają łodzi — zaznaczyła, gdy porównał je do „Pani”.

Barbarzyńcy ta rozmowa uświadomiła, jak ogromna przepaść dzieli go od Sajary. Ganacy pod pewnymi względami byli bardziej prymitywni niż plemiona żyjące w najgłębszych ostępach Czarnych Królestw. Choć ich społeczność była silna i zwarta, bardziej niż te, z którymi się spotkał, nie umieli czytać i pisać. Choć dokładna, to nieco prymitywna mapa, jaką wyrysował w piasku Nukona, była skromnym przejawem ich piśmienniczego dorobku. Mimo to posiadali bogatą historię i mnóstwo wspaniałych legend, które przekazywali sobie ustnie, z ojca na syna albo te, które starszyzna przekazywała podczas zgromadzeń na miejscu zebrań. Nade wszystko zastanawiające było to, że żyli bez ognia i nie umieli obrabiać metali, co stanowiło przecież podstawę istnienia większości kultur całego świata.

To zdumiewające, że Jhaora i jej ludzie nie przynieśli wiedzy o tych rzeczach Rahamanom. A może przynieśli, ryty pokrywające spód kamieni na drodze do wieży świadczyły, że Rahamanie znali pismo, w przeciwieństwie do Ganaków. Jakakolwiek mądrość posiadali Rahamanie, przyczyniła się ona do wojny pomiędzy bogami Jhaory i ich bogami. Ganakowie mieli szczęście, że przeżyli wojnę bogów. Potem stali się prymitywną nieliczną rasą na dzikiej, zapomnianej wyspie.

Conan przerwał te rozmyślania i skupił się na ostatnim odcinku drogi dzielącej ich od celu. Nic nie odróżniało centrum ruin, od reszty zniszczonej osady, z wyjątkiem paru większych niż gdzie indziej cylindrycznych budynków. Jediną charakterystyczną cechą tego miejsca była wieża, masywna kamienna konstrukcja, zwężająca się ku górze, zakończona ostrą szpicą, wyrastającą ponad potężny otaczający to wszystko mur. Była imponującym dziełem rąk ludzkich. Bardziej można było się spodziewać, że natrafi na coś takiego podczas podróży przez arystokratyczne dzielnice najznakomitszych miast cywilizowanego świata. Z drugiej jednak strony jej obecność wcale nie dziwiła na tej niezwyklej wyspie.

Gdy byli już blisko, Conan zobaczył, że wysoką budowlę pokrywają spiralne symbole, podobne do tych, jakie widzieli na kamiennej drodze. Powierzchnia zniszczona była przez działanie wiatru i wody, ale na dole były wyraźne dowody, że ktoś próbował te wzory zdrapać. Jak mówił Y'Taba, ludzie Jhaory usunęli rahamańskie zaklęcia ze wszystkich budowli, tam gdzie mogli sięgnąć.

Ostatni fragment drogi do wieży stanowiła wąska, pochyła rampa, zakończona wysokim portalem w kształcie łuku. Cymmerianin ocenił, że wrota są dwukrotnie wyższe od niego. Rahamanie musieli być jeszcze wyżsi niż ich potomkowie Ganakowie. Wreszcie stanęli przed wejściem. Wiekowa kamienna płyta nie miała nic, co przypominałoby klamkę, i nie było żadnych zawiasów. Drzwi były z pewnością nieużywane.

— Jak mamy tam wejść? — spytała Sajara.

— Jeśli tylko wasi Rahamanie nie zaczarowali wrót w sobie tylko znany sposób, dobierzemy się do zamków, nie bacząc jak dziwne by one były.

Po kilku drugich poszukiwaniach, Conan nie znalazł żadnego mechanizmu. Naparł więc na wrota ramieniem z siłą, która wyrwałaby z framugi każde solidne dębowe drzwi.

Ale równie skutecznie mógłby starać się przewrócić stygijską piramidę.

— Niech Bel przeklnie to wszystko — mruknął, palcami sprawdzając różne miejsca na gładkiej powierzchni. Szukał ukrytych przycisków, uchwytów, ale znowu nic nie znalazł. — Może spróbujemy je wyważyć razem — zaproponował Sajarze. Zgodziła się.

— Raz, dwa, trzy — zaczął odliczanie i rzucili się równocześnie na wrota.

Z wysiłku żyły wyszły Conanowi na skroniach, a twarz poczerwieniała. Sajara zaparła się stopami o ziemię, by z jak największą siłą pchać na nieustępliwą kamienną ścianę. Zamknęła oczy, próbując wykrzesać z siebie jeszcze więcej energii.

— Co jest, na gorejące piekła Zandru — wymamrotał Cymmerianin, cofając się powoli.

Nie wierzył własnym oczom. Powierzchnia drzwi zafalowała niczym woda i wchłonęła Sajarę. Tak to przynajmniej wyglądało. Usłyszał odgłos upadku ciała o twardą posadzkę po drugiej stronie.

— Conan! — krzyknęła przestraszona Ganaczka. — Gdzie jesteś?

— Po drugiej stronie, na Croma! Jak te przekłete wrota... — przerwał w pół zdania tryumfalnym okrzykiem. Zrozumiał nagle, dlaczego drzwi były całkiem nie naruszone przez wiatr, deszcz czy wandali.

Drzwi były iluzoryczne, były złudzeniem jedynie dla tych, którzy w nie wierzyli. Oparł się dłońmi o barierę, zamknął oczy i starał się zapomnieć o wrotach. Naparł ponownie, nie po to, by je otworzyć, lecz by wysiłek fizyczny pomógł mu zapomnieć o istnieniu iluzji.

Kamienna powierzchnia przemieniła się w ścianę powietrza. Conan stracił równowagę i runął na ziemię. Przeturlał się, by złagodzić impet uderzenia, Sajara zwinnie odskoczyła w bok.

Z wnętrza wieży drzwi były niewidoczne. Patrzyli na ruiny. Przypomniały mu lustra, które niegdyś widział w jednym z domów rozkoszy w Shadizar, gdzie za pieniądze można było dostąpić najbardziej nawet wyszukanej przyjemności. Do szpiku kości zepsuty właściciel przybytku kazał zamontować w wielu pokojach lustra z jednej strony przezroczyste, i zbierał spore sumy za oglądanie wszystkiego, co działo się w pokojach. Oczywiście te rahamańskie wrota były czymś więcej. Podejrzewał, że większość tych cylindrycznych budynków miała podobne wejścia. To wyjaśniałoby, czemu, mimo wszelkie starania, nie mógł odnaleźć żadnych drzwi.

— Spójrz — przerwała jego rozmyślania Sajara, i ręką wskazała w dół.

Conan od razu rozpoznał fontannę, choć wcześniej oglądał ją tylko od spodu. Stali w

wysokiej komnacie, znajdującej się nad legowiskiem potwora — rośliny. Przed nimi, skąpana w świetle skrzyła się fontanna bogów. Jej nieprzeliczone ścianki odbijały słoneczne promienie w kierunku ścian wieży, które jaśniały, jakby były wysadzone drogocennymi kamieniami wszelkich kształtów i odcieni: lśniącej zieleni, delikatnego błękitu, ognistej czerwieni, opalizującej żółci. Było to jak rozerwana na części oślepiająca tęcza. Conan nigdy nie widział czegoś podobnego, nawet najbogatsze ophireańskie pałace nie miały tak fantastycznej i oszałamiającej fontanny, jak ta. Efekt psuła jedynie płytka warstwa zielonego szlamu pokrywającego dno basenu. Pomieszczenie pod spodem musiało zostać wypełnione całkowicie tym wstrętnym mułem.

Tuż przy ścianach wieży pięły się w górę zręcznie skonstruowane schody z kamienną balustradą, prowadzące aż na sam czubek wieży. Conan ruszył po nich ostrożnie, uważając na wszelkie możliwe pułapki. Ściany bogato zdobione były spiralnymi inskrypcjami Rahamanów, ale Conan nie zwracał już na nie uwagi. Sajara trzymała się blisko niego, w jednej dłoni ściskając nóż. Jedną ręką trzymała go za ramię, w drugiej trzymała nóż. W miarę, jak wchodzili wyżej, schody zaczęły się zwężać i zmuszeni byli zwolnić. W końcu szli bokiem, z plecami przyciśniętymi o ścianę. Schody były zniszczone i ułożone dość chaotycznie. Być może kiedyś były szersze. Byli już tak wysoko, że fontanna w dole wyglądała jak nieduży kryształowy puchar. Conan dość często w rodzinnych stronach wspinał się na strome skały i w tej sytuacji czuł się całkiem niezłe, ale Sajara trzęsała się jak liść osiki, za każdym krokiem wpijając palce w jego ramię.

Wąska, kamienna droga kończyła się w komnacie, która kiedyś musiała być zakończona wysoką, strzelistą iglicą. Z bliska okazało się, że ta część wieży jest w stanie gorszym niż to było widać z dołu. Połamany i zapadnięty dach wyglądał, jakby się miał za chwilę zawalić. To, co pozostało było sterczącymi kawałkami skały, rzucających cień na komnatę, bardziej ponurą niż ta na dole.

Ale to, co znajdowało się na szczycie wieży, równie cieszyło oko barbarzyńcy, jak fontanna bogów.

Podłogę i trzy wielkie skrzynie stojące pod ścianą przykrywał kurz. Była jeszcze jedna, podobna w kształcie, ale mniejsza. Wszystkie posiadały metalowe okucia, trzymające podniszczone drewniane ścianki i zaokrąglone wieka. Po drugiej stronie pomieszczenia, pod ścianą, jakoś zupełnie nie pasując do wieży, stało ozdobne krzesło, zrobione z czegoś, co wyglądało jak lity opal. Posadzka wokół tego niespotykanego mebla, była czysta. Krzesło było tak wykonane, że nie miało żadnych łączeń, jakby zostało wyrzeźbione z jednej wielkiej bryły półszlachetnego kamienia. Jeśli to rzeczywiście był opal, niewyobrażalna była wartość przedmiotu. Takie meble można zobaczyć tylko we wspaniałych pałacach w Khorshemish, Belveru, Luxur, może też w Aghrapur czy Tarantii. Na tronie posadzony był szkielet. Czaszka odpadła od karku i leżała jak w jakimś błazeńskim kaprysie losu między kolanami kościotrupa. Wyszukane siedzenie z pewnością zbudowane było z myślą o kimś znacznie mniejszym niż ten, który je właśnie zajmował. Miednica ledwie mieściła się między oparciami na ręce, kości bioder sterczały poza nie. Szerokie ramiona wystawały nad wąskie oparcie.

Na kolanach szkieletu leżała egzotyczna broń. Kształtem przypominająca zakrzywiony kiel węża. Wyglądała, jak wykuta z bazaltu, uformowanego w coś na wzór butała. Conan ledwie oparł się pokusie, by nie chwycić za czarną błyszczącą rękojeść osobliwego miecza. Bazaltowe ostrze słabo wypadłoby w konfrontacji choćby z szablą z brązu i z całą pewnością strzaskałoby się na najlichszej zbroi. Co więcej, Conan wątpił też, by nawet najrzęczniejszy artysta zdołał kawałkowi bazaltu taki połysk, i tak wyostrzyć krawędzie kamienia.

To co powstrzymało rękę Cymmerianina, to jakiś zabobonny lęk przed martwym właścicielem miecza. Na ostrzu spoczywały kościane palce, oczodoły wielkiej czaszki wpatrywały się, jak gdyby obiecując każdemu złodziejowi straszliwy los. Za młodu, barbarzyńcę spotkał raz taki przedziwny wypadek, że trup, któremu zamierzał odebrać broń, powstał nagle, by udaremnić próbę przywłaszczenia sobie cudzej własności.

Teraz sytuacja była oczywiście nieco inna.

— Kulunga? — wyszeptała Sajara głosem pełnym nabożnej czci. Przyklękła na progu komnaty i spuściła wzrok, nie śmiaąc wpatrywać się w szkielet.

— Na to wygląda, — odpowiedział Conan. Przeszedł przez pokój, by lepiej przyjrzeć się mieczowi, który i z bliska wyglądał naprawdę jak z bazaltu. Conan wahając się przez chwilę, sięgnął po niego ręką. Na Croma, pomyślał, jeśli jestem wybrańcem, to mam do tego prawo. Złapał gładką, chłodną rękojeść i wysunął ze sztywnych palców. Kości zagrzechotały. Kiedy nie stało się nic więcej, odetchnął z ulgą.

— W końcu mamy tę atnalagę! — uśmiechnął się, ważąc w dłoni niesamowity miecz. Nie

był tak ciężki, na jaki wyglądał — tak naprawdę znacznie lżejszy i bardziej elastyczny niż jego własnego. Może nawet za lekki, by mógł w ogóle przydać się w walce z Kezatjami. Wąskie, lekkie ostrza nadawały się tylko do pchnięć. Używali ich zazwyczaj wymuszkani arystokraci, którzy chcieli pobawić się na jakimś turnieju szermierczym, ale bali się wziąć udziału w prawdziwej walce. Tylko głupiec ruszyłby z podobną bronią przeciw ludziom uzbrojonym w szerokie, masywne miecze, jakie uwielbiał Conan.

Następnie barbarzyńca wypróbował kciukiem ostrze i zdziwił się niepomiarnie. Przecięło jego grubą, stwardniałą skórę, zanim cokolwiek poczuł. Żaden miecz nie zrobiłby przy takiej próbie tak głębokiego nacięcia. Doskonały stan broni zachwycał Conana. Crom jeden wie, od jak dawna tu leżała, wystawiona na działanie deszczu, wilgotnego powietrza i innych niesprzyjających czynników, które przemieniłyby najlepiej zabezpieczoną stal w kawałek bezwartościowego złomu:

Nagle rękojeść atnalagi zadrżała w dłoni barbarzyńcy. Po ręku przeszedł dreszcz zimna, powodując, że ścierpło mu całe ramię, chociaż rękojeść była nadal przyjemnie ciepła. Dreszcz przesuwiał się wyżej, aż dotarł do karku i głowy. Conanem targnął nagły spazm bólu, jak piorun wystrzelony z dłoni i przesywający całe ciało. Dotarł w końcu do mózgu.

Cymmerianin upadł na kolana, próbując puścić rękojeść, ale mięśnie napotkały niespodziewany opór, jakby niewidzialny olbrzym zacisnął wielką dłoń wokół jego pięści.

— Conanie! Co się dzieje? — Sajara była już przy nim, i patrzyła przerażona na to, co się dzieje z Cymmerianinem.

— Muszę... tylko... — język plątał mu się w ustach, i nie mógł wydobyć słowa. Miał uczucie, że ogień pożera jego mózg. Z trudem udawało mu się pozostać przytomnym, z całych sił starał się rozluźnić swój uchwyt na rękojeści czarnego miecza. Pot łał się po poczerwieniałej z wysiłku twarzy. Conan przewrócił się na posadzkę i trzęsąc się, walczył z atnalagą używając całej swej woli. Jakies głosy dochodziły do jego uszu.

— Niegodny — ton oskarżenia.

— Niewierny! — głosy mieszały się w surowym potępieniu.

— Giń!

Niewidzialny chór wzmagał się, przesywając głowę, jak rozpalone gwoździe. Gorąca krew popłynęła mu z nosa, że aż zapiekła go skóra. Ściągną ręki, drżały pod skórą ręki, gdy szarpał się, by wypuścić rękojeść.

Sajara krzyczała coś do niego, lecz słowa utonęły w zawodzeniu demonów, które najwyraźniej pochwyliły Conana. Złapała jego twarz w swoje dłonie, rozpaczliwie próbując mu pomóc.

Z głębokim westchnieniem Cymmerianin wydobył z siebie resztkę mocy. W tym samym momencie Sajara chwyciła duży kawałek skały i uderzyła nim w rozedrganą dłoń nieszczęsnego wojownika.

Atnalaga wypadła mu z bezwładnych palców, z brzękiem uderzając o kamienną posadzkę. Głosy umilkły natychmiast. Ogień wypełniający ciało Conana wygasł, choć przez parę chwil przesywał go jeszcze ból z ręki. Podniósł się z ziemi, jeszcze drżąc i ciężko sapiąc.

— Na Croma — odezwał się ponuro, oblizując zakrwawione wargi. — Y'Taba mylił się.

— Conanie! Jeśli nie jesteś wybrańcem, co mamy zrobić? Bogowie odwrócili się od nas.

Jesteśmy zgubieni! — oczy napłynęły jej łzami.

— Nie jesteśmy, póki żyjemy — odrzekł szczerze, czując jak powoli wracają mu siły. —

Na Croma! Cymmerianin nigdy się nie poddaje. — Potarł opuchniętą dłoń i zaciskając zęby, powoli zginał i rozprostowywał palce.

— Bez atnalagi nie mamy szans. — Sajara nagle zwróciła swą zapłakaną twarz do Cymmerianina, do tej pory mówiła jakby do siebie. — Czy ty, pomimo wszystko pomożesz nam? — spojrzała prosząco.

Skinął głową. — Musimy dostarczyć Y'Tabie tę przeklętą atnalagę, chociaż nie widzę pożytku z opętanego przez demony reliktu, który niszczy tego, kto go dzierży! Mam układ z Y'Tabą i dotrzymam swej obietnicy. Na Croma! — On też będzie musiał. Ale z tym po

trzykroć przeklętym ostrzem czy bez niego zrobię wszystko, żeby wasz lud nie padł łupem tych podłych Kezatij, nawet gdybym własnoręcznie musiał stracić setkę sępicz łbów.

— Zastanawiam się, co przytrafiło się Kulundze. — powiedziała w zamyśleniu Sajara, ocierając łzy. Zaintrygowana przyglądała się szkieletowi ze czcią. Conan nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

— Może uciekł przed potworem żerującym na dole i ukrył się w wieży, a potem zwyczajnie umarł z głodu. Istnieją bezimiennie groby, takie jak ten, rozsiane po całym świecie, w których spoczywają bohaterowie różnych ludów.

Barbarzyńca mówił do Sajary, ale myślami był nieobecny. Wodził dłonią po lśniącej

powierzchni tronu i przyglądał mu się okiem znawcy. — Opal, albo jestem Piktem — szepnął. Widok tego pięknego przedmiotu poruszył zakamarki jego pamięci. W pewnym momencie kościotrup z łoskotem pochylił się do przodu, opuszczając miejsce zajmowane od wieków. Sajara odskoczyła do tyłu, oparła się o ścianę wpatrując z przerażeniem w szkielet. Conan wyskoczył i przeleciał kilka dobrych metrów w powietrzu, lądując na posadzce. Chwytał miecz i przykucając, odwrócił się w stronę kościotrupa. Czaszka, dwa razy większa niż czaszka normalnego człowieka, potoczyła się po posadzce i zatrzymała o kamień nieopodal stóp Sajary. Reszta kości spoczywała w bezruchu przy tronie. Conan dostrzegł wizerunek wykuty w gładkim kamieniu na oparciu tronu. Były tam wyrzeźbione niezwykle precyzyjnie oblicza dwugłowego słonia. Obydwa łby ozdobione były jasnymi kołnierzami i charakterystycznymi czapkami z frędzlami. Wielkie ślepia wpatrywały się w Cymmerianina; zakrzywione, potężne kły sterczały ku górze po obu stronach uniesionej trąby. Ten widok rozjaśnił nieco pamięć barbarzyńcy. — Vendhyanie! — oznajmił. Widział coś takiego już wcześniej, podczas wódczugi przez krainę bajecznych klejnotów i starożytnych bogów. Wiedział, że wizerunek przedstawia mrocznego boga, choć nie mógł przypomnieć sobie jego imienia. Ale w nagłym olśnieniu połączył wszystkie elementy tego, czego dowiedział się o wyspie Ganaków. Jak dwie rozdarte części jednej mapy wskazującej drogę do skarbu, tak te elementy pasowały do siebie. Teraz przypomniał sobie nawet imię bogini, której przerażająca podobizna majaczyła nad wejściem do opuszczonej wioski. — Kahli — wyszeptał ponuro. — Jhaora była wysoką kapłanką Kahli, wygnaną z Vendhii przez króla Orissa.

Sajara spojrzała na barbarzyńcę zdeorientowana.

— Nic nie pojmuję, Conanie, Vendhyanie... Kahli... król Oriss? — z trudem wymawiała nieznane słowa. — Rim oni są?

— Pamiętasz tę diabolicę, której podobizna wykuta jest nad portalem?

Sajara przytaknęła i wzdygnęła się na myśl o dziwnym wizerunku.

— Kiedyś przejeżdżałem przez liczące sobie dwa tysiące lat ruiny Maharastry, niegdyś zamienionego miasta Vendhii.

— Vendhii?

— Królestwa leżącego daleko na południowy wschód od Cymmerii — co najmniej rok pieszej wędrówki, nawet dla kogoś, komu bardzo by się śpieszyło. Podobizna diablicy o dziesięciu ramionach wryta była w wielkim głazie spoczywającym pośród tych ruin. W tym czasie zdarzyło mi się podróżować w kompanii nikczemnego vendhyańskiego maga i od niego właśnie usłyszałem legendę o okrutnej bogini. Maharastra była kiedyś stolicą Vendhii. Założycielem miasta był król Oriss, pierwszy prawdziwy władca Vendhii. Podczas panowania pokonał wielu nieprzyjaciół. Wiadomo, że przy życiu pozostał na pewno jeden z jego wrogów, kapłanka Kahli. Twierdziła, że łączy ją więzy krwi z rasą nazywaną pankur, istotami zrodzonymi z kobiety zgwałconej przez demona. Kapłanką miała wielką władzę, przewodziła tysiącom wyznawców, którzy znajdowali rozkosz w odprawianiu wstrętnych rytuałów. Stworzyła małe imperium, które wkrótce rozrosło się na południowych wybrzeżach Vendhii. Tak jak krew rozlewająca się z poderżniętego gardła, tak ten twór zanieczyszczał ziemię Vendhii. Niemal wszyscy bali się przeciwstawić kapłance, jako że Kahli była najbardziej krwiożerczą boginią vendhyańskiego panteonu. Obrzędy na jej cześć były jednym wielkim bluźnierstwem wymierzonym we wszelkie świętości. Ohydne czyny, jakie dokonywały się w świątyniach Kahli, zostały niegdyś opisane na zwojach, które czytał podróżujący ze mną mag. Opowiadał mi trochę o tych rzeczach, ale dziękuję bogom, że udało mi się o nich zapomnieć. A i tak, jak twierdził ten mag, nie udało mu się odczytać opisów najpotworniejszych rytuałów, jako że owe fragmenty pokryte były obficie wymiocinami tych, którzy to spisywali.

— Przerwał, drapiąc się po brodzie, próbując wydobyć z pamięci szczegóły historii.

— Pewnego dnia armia zelotów wstrętnej kapłanki złupiła miasto znajdujące się pod rządami brata Orissa. Sam brat króla Vendhii, został zamordowany w ofierze dla Kahli. To jest — końcem miecza wskazał na niezwykle krzesło — z pewnością opalowy tron Orissy. Poszukiwacze skarbów i złodzieje na całym świecie opowiadają o nim, niekiedy kłamiąc, że wiedzą, gdzie się znajduje lub sprzedają fałszywe mapy przedstawiające drogę, jak do niego trafić. — Skrzywił się, gdy sobie przypominał, że jako naiwny młodzieniec sam przepuścił trochę grosza, dając się nabrać starym oszustom.

Conan przesunął dłonią po rysunku słonia na oparciu tronu. — Musiała zabrać to ze sobą... Oriss ostatecznie przepędził ją z Vendhii. Wściekły za potworną zbrodnię, popełnioną na jego bracie, zwrócił się o pomoc do kapłanów potężnego Indhry, boga, którego wizerunek tu widzisz. Rozpętując świętą wojnę, Oriss położył mocarną pięść na imperium kapłanki i zmiażdżył je. Jej samej udało się prześlizgnąć między jego palcami wraz z garścią wiernych

sług. Nikt nie wiedział, co się z nią stało — aż do dziś. Bez wątpienia wynajęła okręty i najemników i uciekła na morze. Możliwe, że zamierzała odbudować gdzieś swoje imperium. Sajara patrzyła zamyślona na tron. — Kiedy Y'Taba mówił o Jhaorze, czy jej imię nie przypomniało ci o tym wszystkim?

Potrząsnął głową. — Jej imię zostało usunięte ze wszystkich pism i zakazane przez Orissa. Za jego wypowiedzianie groziła śmierć. On sam poszukiwał jej przez lata, by pomścić śmierć brata. Zmarł jako zgorzkniały starzec.

— A co my teraz zrobimy, Conanie? — zapytała, wskazując leżący na podłodze miecz. — Jak dostarczymy atnalagę do wioski?

— W jednej z tych skrzyń — odparł natychmiast. Odrzucił kamienie, pod którymi zagrzebana była najmniejsza skrzynia. Ciekaw był zawartości kufrów i pragnął ją zbadać bez wzbudzenia podejrzeń Sajary. Na takiej wyspie Jhaora na pewno nie miała okazji wydać dużej części majątku, jaki musiała zabrać opuszczając swoje imperium. Conan nosił się z zamiarem wywiezienia łupu z wyspy, gdy w końcu uda mu się stąd wydostać. Teraz zresztą wiedział już gdzie mniej więcej znajduje się kontynent.

Jhaora nie mogła oddalić się zbyt daleko od brzegów Vendhii. Okręty w tamtych czasach nie nadawały się do długich podróży. Poza tym Vendhianie nigdy nie byli dobrymi żeglarzami. Cymmerianin nie zamierzał opuścić wyspy z pustymi rękami. I nie opuści, jeśli te skrzynie zawierały choć część bogactwa, jakie ponoć posiadała kapłanka Kahli. Conan zwilżając wargi językiem, umieścił czubek ostrza w zamku skrzyni i ostrożnie zerwał go. Okazało się, że pokrywa mocno trzyma się reszty skrzyni, prawdopodobnie drewno spaczyło się i zabezpieczenia z brązu pordzewiały przez długi kontakt z wilgocią i słońcem. Odsunął się nieco do tyłu i odważył wieko mieczem. Kufry, które dawały się łatwo otworzyć, często były po prostu pułapkami.

W tym przypadku zawartość skrzyni nie była ani niebezpieczna, ani drogocenna. W skrzyni znajdowały się sterty zapleśniałych, zniszczonych przez wilgoć ksiąg. Cymmerianin obejrzał okładki jednej i odwrócił delikatnie, gdyż mogła się rozsypać w każdej chwili. Conan posiadał spory zasób wiedzy typowej dla kogoś, kto przemierzył wzdłuż i wszerz wiele krain. Potrafił mówić i czytać w tak wielu językach, że niejeden badacz języków, spędzający dnie i noce w bibliotekach, byłby szczerze zdziwiony. Dla złodzieja, wojownika, najemnika czy podróżnika życie lub śmierć zależą często od znaczenia jakiegoś przypadkowego prostego znaku czy litery.

Te pisma były dla barbarzyńcy niezrozumiałe, choć wyraźnie dawało się rozpoznać w nich styl vendhyański. Conan nie miał ochoty zostawiać tych ksiąg, ale uznał, że to nie czas i nie miejsce, by je skrupulatnie wertować.

Wziął z ziemi dwie kości i przy ich pomocy podniósł atnalagę. Trzymał tę zaczarowaną broń z dala od siebie, zupełnie jakby była rozwścieczoną jadowitą żmiją, a potem umieścił z książkami w skrzyni. Wieko zatrzasnęło się i Cymmerianin zarzucił ciężar na ramię. Mógł to swobodnie nieść, choć wątpił, by zdołał pobiec szybko, gdyby zaszła taka potrzeba.

Postawił skrzynię z powrotem na ziemi, nieopodal stały pozostałe trzy. Posadzka pod nimi miała ledwo widoczne pęknięcia, oznaczało to, że są niezwykle ciężkie. W oczywisty sposób podniecało to wyobraźnię, Conan odgiął więc metalową taśmę, zabezpieczającą środkową skrzynię i uchylił pokrywę. Uśmiechnął się na widok złotych monet. To była zdobycz, jakiej nie mógłby równać się łup zebrany przez cały rok pirackich napaści. Westchnął ciężko przygnębiony, że znalazł taki skarb tu, gdzie nie było sposobu, by go wynieść. Kręte schody prowadzące na dół były potrzaskane, a nie było żadnej liny, by można było spuścić kufer na dół.

— Conanie! — krzyknęła ostrzegawczo Sajara. Odskoczyła pod ścianę, patrząc na wielki cień za jego plecami. Conan natychmiast przypadł do ziemi i usłyszał za sobą głośniejszy szum powietrza. Skrzynia uratowała mu życie.

Kolczaste łapy zacisnęły się na okutych deskach, rozgniatając skrzynię jak robaka. Zielone szczęki kłapnęły w powietrzu, o milimetr od karku Conana. W ostrych jak brzytwa zębach bestii jakoś złośliwie zalśniło słońce.

— Niech to diabli! — jęknął barbarzyńca, przeczołgując się szybko tam, gdzie leżał jego miecz.

Olbryzi czatownik wypełniający komnatę, był co najmniej trzykrotnie większy niż drapieżnik, z którym zmierzyli się ostatnio. Długi czulek na łbie sterczał wygięty do tyłu pomiędzy wielkimi okrągłymi ślepiami. Kolce na przednich łapach stworzenia przypominały rapiery. Kałdun miał tak obszerny, że ze trzech ludzi rozmiarów Conana jeszcze nie wypełniłoby jego żołądka. Pancierz gigantycznego owada skrzył się niczym szmaragdowa zbroja.

Czatownik pochylił się i wyrzucił swoje łapy w stronę leżącego wojownika. Conan błyskawicznie przeturlał się pod tron. Potężne kleszcze zamknęły się na bryle opalu, odkruszając kawałki kamienia od reszty krzesła i unosząc zasłonę, za którą skrył się barbarzyńca.

Rozległ się głośny trzask i deszcz kawałków opalu spadł między przednie łapy stwora. Poręcze siedzenia były całkiem zgruchotane. Niemal wprawiony w osłupienie przez ten pokaz siły, Cymmerianin rzucił okiem na swoje liche ostrze, po czym poderwał się i skoczył w kierunku wyjścia, chwytając zszokowaną Sajarę.

— Ruszaj się! — krzyknął, pociągając ją ze sobą.

Czatownik cisnął resztką zniszczonego tronu o ścianę tuż przy schodach. Tylko dzięki błyskawicznemu unikowi Conan nie został zmiażdżony przez opalową bryłę. Atakując ponownie z prędkością błyskawicy, bestia uderzyła swymi zabójczymi kończynami, rozbijając fragment ściany w miejscu, gdzie przed chwilą stała Sajara.

Oboje zostali odcięci od schodów. Inne wyjście z komnaty nie istniało. Zmuszeni byli zmierzyć się z podłą bestią. Conan i Sajara, rozpoczęli dziwny taniec złożony z uników i nagłych skoków. Teraz ze zdwojoną precyzją, czatownik usiłował uprzedzić ich ruchy, co zmusiło ich do zmiany taktyki, ale kiedy udało im się przesunąć w kierunku schodów, natychmiast musieli z powrotem wracać z powodu manewrów bestii.

Conan zdawał sobie sprawę, że w ten sposób nie wytrzymają długo. Podłoga była poważnie nadwerżona, a przeciwnik zdawał się niezmordowany. Potknięcie czy poślizgnięcie mogły się skończyć śmiercią w uścisku czatownika. Pęknięcia w posadzce powiększały się, w miarę jak kamienie poddawane były coraz dłużej naciskowi takiego ciężaru. Z dołu docierały do nich odgłosy oderwanych kawałków skał, które spadając uderzały w fontannę bogów. Dźwięki te mroziły krew w żyłach, istniała bowiem groźba, że podłoga zawali się...

Lepiej zginąć w walce niż tak żalosną śmiercią. Conan miał świadomość, że jego własny miecz nie nadawał się do walki z tymi stworzeniami. Tonący chwytając brzytwy, więc zrozpaczony barbarzyńca złapał rękojeść atnalagi, wyszarpując spośród drewna rozbitej skrzynki. Poczul znów dziwne ciepło, rozchodzące się od rękojeści, ale trzeba było zaryzykować. Przeturlał się błyskawicznie do przodu, zerwał na równe nogi i natarł na czatownika.

Tak jak się spodziewał, bestia nie zmieniła taktyki. Gdy, łeb, by uderzyć zębami, Conan podskoczył w górę i znalazł się na wysokości jej błyszczących złowrogo ślepi. Potężnym ciosem atnalagą dokładnie pomiędzy dwie pełne nienawiści gały, broń zagłębiła się po rękojeść w zielonej, olbrzymiej czaszce. Tak samo jak za pierwszym razem, Conan poczuł, jakby coś zaciskało się jego pięści; jeszcze chwila, a znów zostanie uwięziony przez względne demony.

Z ogromnym wysiłkiem oderwał dłoni od rękojeści zaczarowanej broni i runął na kamienną posadzkę. Jedna z przednich łap ranionego stworzenia trzepnęła go, aż przeleciał przez komnatę uderzając o ścianę.

Rozpaczliwe, ogłuszające wycie czatownika wypełniło przestrzeń. Wściekłe monstrum wywijalo łapami i szarpało głową na wszystkie strony, próbując pozbyć się zabójczej drzazgi. Ślepie rozjarzyły się jak dwa wielkie kawały płonącego węgla, wokół nich pojawiły się : smużki dymu. Łeb czatownika z zielonego stawał się czerwony i puchł, jakby był wzbierającym pęcherzem krwi. Spazmy wkrótce ustały i przeraźliwy krzyk nagle się urwał. Z głowy bestii wybuchła gorąca, parująca, różowa papka, ochlapując ściany i Conana.

Olbrzymie cielsko runęło, przez chwilę jeszcze nieznacznie drżało, a to, co przed chwilą stanowiło głowę, zmieniło się w poszarpane strzępy osadzone na dymiącym kikucie. Pod ciężarem bezwładnego cielska zawaliła się podłoga. Cymmerianin znajdujący się na środku komnaty miał tylko jedną drogę — w dół. Zatoczył się do przodu na pękającej podłodze, czując, jak zaczyna spadać razem z kamieniami, na których stał.

Sajara wpiła się palcami o wystającą skałę w miejscu, gdzie wcześniej było wejście do komnaty.

Conan wyciągnął ręce przed siebie i spadając złapał za łydkę Sajary, która mało brakowało, a puściłaby się skały. Wykrzywiła się z bólu, bo ciężar Conana był niebagatelny. Zawisnęli tak i kołysali się jak wahadło.

Ganaczka nie mogła nic na to poradzić, że ubywało jej sił i powoli zaczęła się osuwać.

Wygięła szyję do tyłu mówiąc coś do Conana, na jej twarzy malował się nadludzki wysiłek.

Słowa zginęły w huku głazów i skrzyń rozbijających się o kryształową fontannę. Opalowy tron rąbnął o jakiś skalny występ i rozsypał się spadając do fontanny jak deszcz skrzących się iskieł.

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

Conan spojrział w dół, i zauważył trochę szerszy występ skalny pod nimi. Wyglądał lepiej niż ten, którego rozpaczliwie trzymała się Sajara. Ten kawałek kamienia przedstawiał się prowokacyjnie i Conan całą swą uwagę skupił teraz na tym skalnym progu. Puścił Sajarę i ześlizgując się po ścianie trafił rękami tam, gdzie zamierzał. Wisiał tak przez chwilę, ciesząc się czuciem mocnej skały pod palcami.

Uwolniona od ciężaru Conana Sajara przesunęła się powoli i dotarła do miejsca, gdzie nie zburzony fragment schodów był wystarczająco szeroki, żeby podciągnąć się i wdrapać na górę.

Huk i łoskot kamieni pozostał tylko echem w uszach Conana, który podciągnął się i usiadł na moment na skalnym występie. Odpoczywał chwilę, łapiąc oddech i wpatrując się w górę gruzu przykrywającą czatownika. Wszędzie pobłyskiwały monety rozsypane jak złote krople rosy. Zawartość innych skrzyń została pogrzebana pod zwałami kamieni albo pod padliną czatownika.

Gdy znaleźli się już na dole, Sajara otarła pot z czoła. Conan w milczeniu wpatrywał się w nią z wdzięcznością.

— Niech mnie kule biją! Mało brakowało. Bestia napełniłaby nami swój żołądek, gdyby nie atnalaga. Ale teraz musimy zostać w tej przeklętej wieży i przekopać górę kamieni, by odzyskać miecz. Jestem pewien, że wytrzymała upadek.

— Drugi raz udało nam się pokonać czatownika — przypomniała Sajara. Wyglądała na oszołomioną wszystkim, co im się przytrafiło. — Chociaż nie jesteś wybrańcem, bez wątplenia bogowie opiekują się tobą. Albo ten Crom obdarzył cię szczęściem większym, niż jakiegokolwiek innego człowieka.

— Ha! Spędź ze mną wieczór w domu hazardu, a gdy rzucę kośćmi, zmienisz zdanie. Zły los włóczy się za mną jak głodny pies. Choć tym razem wygraliśmy. Teraz trzeba się śpieszyć, dziewczyno! Światła szybko ubywa, a mamy coś do zrobienia. Jeśli znowu dopisze nam szczęście, dołączymy do reszty drużyny przed zachodem.

Zanim dopadnie ich jakiś czatownik — chciał dodać, ale ugryzł się w język i nie podzielił się z Sajarą swoimi obawami.

XVII RANIOBA

— Y'Tabo, zbliża się kolejna noc. Czemu jeszcze nie wracają? — zdenerwowany Jukona dreptał w miejscu, przy drzwiach chaty Y'Taby.

— Uspokój się Jukono. Nie przegnasz chmur przez wpatrywanie się w niebo. Martwienie się nie pomoże ci tak, jak odpoczynek — nie spałeś od dnia, gdy wyruszyli.

— Kraina Śmierci na zawsze pochłonie moją córkę, Conana i pozostałe kobiety.

Powinienem być przy nich — jęczał, lekceważąc napomnienie przewodnika duchowego

— I jak by się to skończyło? Ci, którym przysięgałeś, że będziesz ich strzegł, są tutaj — nasze kobiety, dzieci i starcy. Tak samo jak garść twoich wojowników, rannych czy umierających, ale twoich ludzi i masz obowiązek ich bronić, gdyby przybyły Kezatje.

— To spotkają nie jednego wojownika, lecz dwóch. Przytłumiony głos dobiegał z wnętrza chaty, sprawiając że obaj mężczyźni zamilkli i odwrócili się w tym kierunku. Ku nim wyszedł Ngomba. W promieniach popołudniowego słońca lśniło jego muskularne ciało. Nie wyglądał na kogoś kto kilka dni wcześniej leżał na łożu śmierci. Z wyjątkiem paru strupów i siniaków jego ciało nie nosiło żadnych śladów walki, jaką stoczył. Roziskrzony oczy promieniowały zdrowiem i siłą.

— Ngomba! Na Asuse, wyglądasz tak dobrze, jak przedtem — zdumiał się Jukona.

Y'Taba rzucił młodemu wojownikowi srogie spojrzenie. — Musisz uważać na siebie, Ngombo. Twoje siły mogą opuścić cię, gdy będziesz ich naprawdę potrzebował. Mówię ci to samo, co rzekłem Yukonie — odpoczywaj.

— Nie będę leżał, gdy w pobliżu kręcą się Kezatje, czekając na sposobność, by zaatakować. Ten obraz mąci mój sen, Y'Tabo przewodniku duchowy. Gdy zamykam powieki, widzę je, jak unoszą się niczym ciężkie chmury, by spaść na nas jak burza. A kto stanie, by przyjąć ten śmiertciony deszcz? — wytknął Jukonę palcem. — Ty? — parsknął pogardliwie śmiechem.

Jukona zeszywniał, oczy mu rozblęły. — Pilnuj swego języka, Ngomba. Do tej pory znosiłem wszystkie twoje obelgi i szyderstwa, ale dość już tego!

— Rozumiem. Ukażesz mnie za to, że nie okazuję należytego szacunku wodzowi wojowników, który nie nadaje się już do niczego? — jego śmiech zabrzmiał szorstko i pełno w nim było goryczy.

Jukona uderzył młodego wojownika w twarz, że ten niemal upadł na ziemię.

Ngomba ze złości zacisnął pięści i zamachnął się.

W tym momencie Y'Taba powstrzymał Ngombę, chwycił go za rękę i wbił wzrok w twarz młodzieńca.

— Ani słowa więcej, jesteś bezczelny! — zagrział, w jego oczach pałał gniew. — Już raz cię wygnałem i zrobię to powtórnie, jeśli mnie nie usłuchasz. Może i dobrze życzysz naszym ludziom, tak sądzę, ale twój umysł to ciemny odmęt, gdzie nie umiem dotrzeć. Jesteś silny Ngomba. Bogowie dali ci szansę, jakiej nie możesz zaprzepaścić. A teraz przeprosisz Jukonę. Ngomba nic nie powiedział tylko łypnął okiem i wyszarpał rękę z potężnego uścisku przewodnika duchowego.

Jukona stał w pozie wyczekującej, z rękami założonymi na piersi.

Y'Taba zmusił Ngombę do opuszczenia ręki.

— Przeprosisz — powtórzył. Jego głos w żadnym stopniu nie zdradzał zdenerwowania.

Ngomba zacisnął wargi i nie mogąc dłużej wytrzymać, nagle się poddał.

— Wybacz mi, Jukono wodzu wojowników — wymamrotał, pochylając głowę.

Y'Taba puścił go i podparł się rękami pod boki.

— Potrzebujecie mnie. Lud mnie potrzebuje — rzucił Ngomba ze wzrokiem utkwionym w ziemię. — Nie ośmielilibyście się mnie wygnać, a jeśli nawet, nie odszedłbym. Co do obcego, on jest tu zbędny. Jeśli wróci, powinniście odesłać jego. Jeśli tej, która pewnego dnia zostanie moją żoną, przytrafi się coś złego, nie wybaczę ci nigdy przewodnikowi duchowemu... Nie powinienieś pozwolić jej iść.

— Ona jest Ranioba, i podług naszych praw, miała do tego prawo. — Y'Taba powoli zgiął palce i potarł dłonią swą szczękę, jak gdyby chcąc zetrzeć z twarzy grymas bólu.

Ngomba przyjrzał mu się.

— Jak oczyścićbyś ręce z jej krwi, przewodnikowi duchowemu? No, jak? Moje serce mówi mi, że i Jukona, i ty jesteście już skończeni. To twój zmerzch, Y'Tabo. Słońce twej mądrości opada za horyzont. Choć wciąż jesteś Y'Tabą i masz jeszcze siłę, której po tobie bym się nie spodziewał. — Otworzył pięść i pomacał dłoń, potem potrząsnął palcami. — Więc pozostaje czekać. Kto powróci szybciej

— nasi wrogowie czy przybysz, który — jak twierdzisz ma nas uratować? — Zatarł dłonie.

Jukona stał niewzruszony, jego twarz była jak wyciosana z kamienia.

Y'Taba powiódł wzrokiem po drzewach na skraju wioski, potem po ciemniejącym niebie i nie odpowiedział na żadne pytanie.

— Na ognie siódmego piekła Zandru, gdzie one są? — spytał Conan, gdy zbliżali się do miejsca w pobliżu wodopoju. Przedpołudniowe słońce zapewniało wspaniałą widoczność, ale tam, gdzie powinny znajdować się Ganaczki, nie widział nikogo.

Sajara przyspieszyła kroku.

— Może musiały poszukać schronienia przed czatownikiem.

Conan kroczył kamienną drogą zadowolony, że zostawili za sobą wieżę. Przeszukiwanie wśród rozwalonych kamieni zabrało im więcej czasu, niż się spodziewali i zmuszeni byli przerwać pracę, gdy zabrakło dziennego światła. Perspektywa spędzenia nocy w wieży zepsuła mu humor. Ale całkiem odzyskał humor, gdyż Sajara pocałowała go. Ich gorące usta złączyły się, co stanowiło jedynie wstęp do wybuchu nocnego szaleństwa. Piękna ganacka łowczyni sama wydawała się zaskoczona dzikością pragnień, jakie obudził w niej Cymmerianin.

O świcie barbarzyńca czuł się nieco zmęczony, ale wiedział, że i tak nie usnąłby tej nocy. Choć stało się to wśród gruzów zdewastowanej wieży, miłosne połączenie było tym, czego właśnie potrzebował.

Sajara podobnie zdawała się być w świetnym nastroju pomimo zmęczenia. Gdy jasność poranka wypełniła wnętrze rumowiska, wszczęli poszukiwania na nowo i odnaleźli atnalagę pod stertę strzaskanego drewna. Conan znalazł parę interesujących przedmiotów, które schował tam, gdzie planował umieścić rubiny. Po tym, jak się dowiedział, że wspaniałe klejnoty są oczami Kahli, przestał już myśleć o tym, by wyłuskać je ze ściany, w której od wieków tkwiły. Tego rodzaju drogocенności nosiły piętno zła, skażone były czarną magią. Jego wcześniejsze przygody z takim łupami nie były niczym miłym i nie przyniosły nic dobrego. Może pewnego dnia zdecyduje się powrócić po rubiny, ale jak na razie potrafił zadowolnić się drobiazgami znalezionymi wśród rozrzuconych resztkach skarbu Jhaory. Zabrał też małą skrzynię. Jeden bok miała nieco uszkodzony, ale wciąż nadawała się do użytku. Umieścił w niej kilka ksiąg, które zostały niewiele zniszczone. Przerzucając stronicę znalazł tam sporo interesujących rzeczy, co znacznie polepszyło mu humor.

Ostrożnie przenieśli atnalagę i umieścili w skrzyni. Przewiązali pakunek pnączami, by

zabezpieczyć pęknięty bok.

W wesołych humorach opuścili wieżę, z nadzieją patrząc w przyszłość. Ale teraz pojawił się problem.

— Powinniśmy obejrzeć ślady, żeby zorientować się, czy coś im się przytrafiło — zaproponował Conan.

Doszli do źródła i napili się trochę odświeżającej wody przed badaniem okolicy. Sajara obmywała sobie twarz wodą, gdy Cymmerianin już tu znalazł coś ciekawego. Wpatrywał się w piach, nieco zdziwiony.

— Nie ma śladów walki, ale znalazłem odciski stóp prowadzące do bramy należące do czterech osób.

— Czterech? — Sajara natychmiast znalazła się przy nim.

— Chodź, pójdziemy tym tropem.

Pośpieszyli w stronę wysokiego, zwieńczonego lukiem wyjścia, zwalniając trochę w pobliżu murów.

— Czy one... — zaczęła Sajara.

Conan przyłożył palec do ust, nakazując milczenie, potem wskazał wejście.

Na zewnątrz rysował się na ziemi olbrzymi cień... o nazbyt znajomym kształcie.

— Portal jest zbyt wąski, by bestia mogła się przezeń przedostać. — Powiedział szeptem Conan. Jesteśmy na razie bezpieczni, ale...

— Makiela, Kanitra, Avrana — jęknęła. — Nie, to niemożliwe.

— Miejmy nadzieję — odrzekł pospiesznie Conan. — Ale co z tymi odciskami stóp?

— Sajara?

Oboje omal nie przewrócili się z wrażenia, gdy w wejściu ukazała się głowa.

— Makiela! — krzyknęła Sajara.

— Na Croma!

Makiela szła, obok niej pojawiły się Avrana i Kanitra.

— Sajara! — wykrzyknęły radośnie. — Nie martw się, jesteśmy bezpieczne.

Cień należący niewątpliwie do czatownika przesunął się, jakby bestia zmieniła położenie.

Sajara ruszyła do przejścia. Conan kroczył za nią i kłął. Ranioba i jej podopieczne przywitały się radośnie, gdy Conan wlepiął wzrok w zielone monstrum. Został kilka kroków z tyłu, mając jednak na uwadze niezwykłą szybkość, z jaką potrafią te bestie zaatakować. Odruchowo wyciągnął miecz.

Tymczasem na karku czatownika siedziała stara Ganaczka o spalonej słońcem, pomarszczonej twarzy. Jej ciało nie było pomalowane tak, jak było w zwyczaju innych Ganaków, ale miała naszyjnik podobny do tego, który nosiła Sajara. Warkocz siwych włosów spływał jej za biodra, na jego końcu przymocowana była biała, okrągła duża muszla. Uśmiechając się do nich z góry, obróciła i wtedy dostrzegli, że nie ma lewej ręki.

Uśmiech starej kobiety przemienił się w grymas zaciekawienia, gdy w przejściu pokazał się Conan. Wydawała się równie zaskoczona, co on. Sajara nerwowo zamrugnęła powiekami, jej oczy wyrażały niedowierzanie.

— Ranioba Nyona?

— Tak, dziecko. Jesteś spostrzegawcza, jak na Raniobę przystało. Gdy widziałam cię ostatni raz, byłaś jeszcze małą dziewczynką jedynie z kępką włosów. Jak wiele czasu upłynęło. Dla nas tutaj czas niewiele znaczy. Mam ci wiele do opowiedzenia, ale przedtem — wskazała palcem Conana — muszę wiedzieć kto to taki i skąd się tu wziął. Moja opowieść przeznaczona jest tylko dla uszu Ganków, ale nie dla njeni!

— To Conan, pochodzi z krainy zwanej Cymmerią, która leży bardzo daleko stąd. On nie jest njeni! Walczył z Kezatjami ramię w ramię z naszym wodzem wojowników, pił kuomo z naszym duchowym przewodnikiem i uratował mnie oraz te tu kobiety od śmierci niejedną raz.

— Sajara spojrzała na Makielę. — Makiela powinna była ci to powiedzieć. — dodała lodowatym tonem.

— Nie miałam okazji — tłumaczyła się Makiela.

— Ranioba Nyona i my spotkałyśmy się dopiero przed chwilą, Sajaro — oświadczyła Kanitra.

Avrana przytaknęła i dodała: — Miałymy właśnie wyjaśnić co robimy w Krainie Śmierci, gdy...

— Dość, dzieci! — rozkazała stara Ganaczka. — Sajaro, mów. Reszta niech zamilknie.

Conan płonął z ciekawości, czemu czatownik zwyczajnie nie pożre ich wszystkich, ale podejrzewał, że tajemnicza amazonka nie pozwoliłaby Sajarze przerywać opowieści. Był nieco skrępowany, więc stał i bawił się mieczem, a Sajara pokrótce relacjonowała bieg wypadków od chwili pojawienia się Cymmerianina w Ganaku. Nyona przerywała jej

niekiedy, pytając o szczegóły, choć w gruncie rzeczy była całkiem niezłe poinformowana o wszystkim, co się działo — zwłaszcza w Krainie Śmierci.

Gdy kobiety rozmawiały, barbarzyńca dokładnie obejrzał czatownika. Ostatnio często spotykał te stworzenia, ale nie miał okazji przyrzeć się któremuś w bezruchu. Ten miał zielone ślepia o nieco innym odcieniu niż te, które już widział, ponadto wyzierała z nich pewna inteligencja. Conan poczuł się nieswojo. Ten okaz miał wąskie, skórzaste skrzydła z przodu i wielkie, wachlarzowate z tyłu, które trzymał złożone pod skrzydłami przednimi. Masywne tylne łapy zdobiły czerwone i białe nakrapiania. Conan pamiętał, że inne stwory nie miały takiego ubarwienia. Na karku, przypominającym pień drzewa, zamocowane były kawałki kory — na nich właśnie siedziała Nyona.

Z tego, co usłyszał, Conan wnosił że Nyona zniknęła w Krainie Śmierci, gdy Sajara była jeszcze małą dziewczynką. Inna Ranioba zajęła jej miejsce, ta mianowicie, którą później zastąpiła Sajara. Conan wciąż właściwie nie wiedział, jakiego rodzaju przywileje posiada Ranioba. Sam tytuł dawał jednej kobiecie władzę nad grupką kobiet nazywanych „łowczyniami i zwiadowczyniami”. Z tego, co dotychczas zrozumiał, to Ranioba miała pozycję równą wodzowi wojowników.

W końcu Sajara zaspokoila ciekawość starej Ganaczki.

Nyona kiwnęła głowę w stronę Cymmerianina z życzliwością i aprobatą.

— Masz skórę i oczy człowieka z Cymmerii, nie ma co do tego wątpliwości, ale bogowie obdarzyli cię sercem i mocą pierwszych ganackich wodzów wojowników, zaletami ducha, których dziś brak w Ganaku.

Conan nie podziękował za komplement, zamiast tego wykorzystał sposobność, by dowiedzieć się paru rzeczy. — Skąd wzięłaś się tutaj tak niespodziewanie? Z pewnością nie mieszkasz w tych przeklętych, starych ruinach.

— Starych? Tak, kamienie są stare — zgodziła się. — Są starsze niż sądzisz. Przeklętych? Może kiedyś, ale już teraz nie. Zresztą to ty zabiłeś ostatniego i najpodlejszego stwora zrodzonego w czasie wojny bogów. Życie znów może zamieszkać pośród głazów. — Cień żalu złagodził jej głos. — Ukrywałam się w Kramie Śmierci, choć nie tutaj. Ty widziałeś jedynie fragment Krainy Śmierci i to nie serce tej okolicy. Miejsce, z którego przybywam znajduje się poza zasięgiem Ganaka — czy Cymmerianina. Tam nie mieszkają nawet anansi. — Gdy byłam w wieku Sajary, wyruszyłam szukać starej mądrości w Krainie Śmierci, jak wielu przede mną. Niemądrzy byliśmy. Wszyscy poszliśmy w ślady Kulungi — byliśmy niemądrzy chociaż dumni i odważni. Ścigały nas anansi. Mnie zapędziły aż pod ścianę drzew, niedaleko stąd. Znalazłam się w pułapce. Nie było przejścia. — uśmiechnęła się do Conan, który kiwał głową. — Tamto miejsce to nie ten krąg drzew wokół Rahamji. W miejscu, o którym mówię, drzewa są jeszcze grubsze i rosną jeszcze gęściej. Można przedostać się jedynie górą. A i tak raczej tylko na grzbiecie jakiegoś mzuri vugunda, takiego jak ten. — Poklepała przyjaźnie osłonięty kark czatownika. Rasangwa przyleciała właśnie na grzbiecie mzuri, by uratować mnie przed anansi. Rasangwa była Rahamanką... ostatnią z tej nacji.

— Uratowała cię Rahamanka? — Sajara wyszeptwała pytanie z nieklamany podziwem.

— Fontannę bogów wypełniały wody, które dały jej dar długowieczności — dar lub przekleństwo, jak czasem wołała mówić Rasangwa. Należała do tych nielicznych, którym udało się uciec z Rahamji, gdy bogowie Jhaory sprzymierzili się przeciw Rahamanom. Ci ostatni znali naprawdę wiele tajemnic tego ładu. — Ujęła delikatnie muszlę przywiązaną do końca długiego warkocza, uniosła ją i przytknęła do ust, lekko w nią dmuchając. Muszla nie wydała żadnego dźwięku, ale czatownik poruszył się i zmienił położenie, niczym monstrialny rumak, prowadzony niewidzialnymi wodzami. — Mzuri Vugunda — te, które mają czerwone i białe kropki na łapach — posłuszne są duchom wiatru zaklętym w tej muszli, jeśli tylko wie się jak im rozkazywać. Rasangwa nauczyła mnie tej sztuki.

Rasangwa uratowała mnie od śmierci w szczękach anansi, choć straciłam rękę, zostałam ocalona. Zabrała mnie w miejsce, o którym wspomniałam, tam wyleczyła moje rany. Tam też potem uroczyście obiecałam jej, że nie zdradzę Ganakom jej istnienia i że zostanę z nią, bo była straszliwie samotna. Teraz nigdy już tam nie wrócę.

— Dwadzieścia razy oblicze Asusy ukazywało się i opuszczało niebo od chwili, gdy Rasangwa odeszła na mroczne łądy. Była tak długo sama, jej życie wypełniały jedynie wspomnienia o tych, których kochała. Oni wszyscy umarli przed nią, pozostawiając ją załamaną i osamotnioną. — Nyona przełknęła ślinę i wytarła szybko oczy. — Nie chciałabym umrzeć tak, jak ona, z sercem pękniętym z rozpacz. Nadszedł czas, bym wróciła do swego ludu i nie wiąże mnie już obietnica dana Rasangwie.

— Nieraz nocami zjawiałam się w Ganaku, by na grzbiecie mzuri przelecieć nad wioską i choć spojrzeć na nią. Widziałam was, jak wchodziliście do Rahamji. Ale przybyłam zbyt

późno, by was ostrzec i nie mogłam uratować was przed pradawną bestią, którą pokonał Conan. Tamten potwór potrafiłby zabić nawet vugundę, gdyby podleciał zbyt blisko. ADawakubwa, którego tu ze mną widzicie, jest prawie tak stary, jak ja. Mzuri są rzadkie, nie polują na siebie nawzajem, tak jak czynią inne vugunda. To okropny widok, lepiej nigdy tego nie widzieć. Samica morduje samca nawet, jeśli współżyją ze sobą. Rozszarpuje mu kark i połyka głowę.

Conan wzdrygnął się na myśl o takiej scenie. — Czy możesz nauczyć nas, jak rozkazywać duchom wiatru? Gdybyśmy dowodzili armią czatowników, Kezatje nie miałyby żadnych szans w walce z nami.

Nyona pokręciła głową. — Chłopcy w wiosce prędzej osiągną wiek męski, niż ty nauczyłyś się tej sztuki, ty czy ktokolwiek inny. Ale zrobię, co tylko będę mogła podczas bitwy, którą musimy stoczyć. — Spojrzała na kobiety, potem na Conana, jakby ich oceniała. — Chociaż Dawakuba nie walczy najlepiej, potrafi latać jak żaden inny z tego gatunku. — Dmuchiła w muszlę i czatownik opuścił swoje olbrzymie cielsko na ziemię. Makiela, Ayrana i Kanitra wdrapały mu się na szyję, ale zabrakło już miejsca dla Cymmerianina oraz skrzyni.

Barbarzyńca niepewnie patrzył na czatownika.

— Ja pójdę pieszo — powiedział, zadowolony, że nie musi odbywać tak dziwnej podróży. Żył jednak pewną nieufność do tych stworów, jakkolwiek posłuszny czy oswojony byłby któryś z nich. Koszmarne spotkanie w wieży zbyt świeżo miał jeszcze w pamięci.

Sajara kiwnęła głową, przystając na to, najwidoczniej czując podobnie. Ona tak jak Conan ostrożnie trzymała się nie za blisko skrzydlatego cielska.

Nyona uśmiechnęła się do nich porozumiewawczo.

— Kiedyś też tak czułam. Nie martwcie się. Dawakuba i ja wrócimy po was. Zostańcie wewnątrz, blisko źródła wody, tam będziecie bezpieczni. Tylko wyjątkowo wściekle vugunda wlatują poza mury, ale nawet te nie zbliżają się za bardzo do ziemi. Nie wiedzą jeszcze, że bluszcz nie może ich już usidlić. Oblicze Asusy będzie jeszcze jaśniało na niebie, gdy po was wrócimy.

Rozmawiali długo i poranek przemienił się w popołudnie. Ale Conan wiedział, że Nyona mówiła prawdę. Widział, jak prędko potrafią poruszać się te stworzenia. Obserwowali z Sajarą, jak stara Ranioba dmucha w swą muszlę i mzuri unosi się w powietrze, tak potężnie waląc skrzydłami, że przez chwilę spowijała wszystko chmura kurzu. Cymmerianin pamiętał, by unikać spoglądania na podobiznę Kahli, która sprawowała pieczę nad ruinami zwanymi przez Nyonę Rahamji.

Sajara szła do źródła, łyknęła trochę czystej wody i ochłodziła ciało. Barbarzyńca przykłęknął obok i złożył dłonie, tak by nabrać trochę wody. Dziewczyna popchnęła go, całkowicie stracił równowagę. Wpadając do wody, zdążył jeszcze chwycić ją za rękę i wciągnął ją za sobą.

— Nie powinniśmy być brudni, gdy pojawimy się w wiosce — powiedziała Saraja hałaśliwie chlapiąc wodą. — Jesteś tak zakurzony, że nawet czatownik mógłby odmówić wzięcia cię na swój grzbiet. — Zaśmiała się, rozpryskując wodę i ochlapując Conana. Barbarzyńca zanurzył głowę pod wodę i wyciągnął potrząsając włosami, deszcz kropli spadł na Saraję. Czuła jak ciężkie krople piasku oliwkową skórę jej twarzy i piersi. Ganaczka uśmiechnęła się nieśmiało do barbarzyńcy, który był niezwykle z siebie zadowolony. Rzucili się sobie w ramiona. Czas oczekiwania na Nyonę nie dłużył im się wcale.

XVIII

POJEDYNEK W CIEMNOŚCIACH

Noc zapadła już dawno, a Conan pochłaniał duże ilości kuomo zanim udał się na spoczynek. Jukona, starszyzna plemienna, a nawet Y'Taba dotrzymywali mu towarzystwa. Ngomba mile zaskoczył wszystkich, gdyż publicznie przeprosił Cymmerianina za to, że ukradł mu broń, i za wszystko, co stało się później. Sajara i pozostałe kobiety, które zwyczajowo nie piją kuomo, mimo to miały świetne humory, jak wszyscy. Wyglądało na to, że udana wyprawa i szczęśliwy powrót Sajary, Conana i reszty, ożywiły i umocniły nadzieje Ganaków.

Y'Taba dziwnie roztargniony przez cały wieczór kręcił się wśród swoich ludzi, za to unikał Nyony. Unikał nawet jej spojrzenia, ale dlaczego, Cymmerianin nie potrafił zrozumieć. Wieść o tym, że Conan nie jest wybrańcem, przewodnik duchowy przyjął z konsternacją. Stawiało to pod znakiem zapytania przydatność atnalagi w zbliżającym się boju. Na szczęście

garstka ocalałych wojowników zaczynała powoli dochodzić do siebie, a Ngomba wyglądał już na całkiem wyleczonego. Wszyscy mieli nadzieję, że Nyona i jej czatownik z łatwością pokonają chmury nikczemnych Kezatij.

Co więcej, Conan zobowiązał się, że weźmie udział w tym decydującym starciu. Y'Taba i wielu innych, byli przekonani, że przybysz, którego uznawali za ulubieńca bogów, przeważą szale bitwy i zapewni im zwycięstwo. Wszyscy upijali się wiarą we własne siły, równie mocno jak kuomo. Po raz pierwszy od dłuższego czasu rozpacz zniknęła z wioski.

Ale zaraz po uczcie Conan nie mógł zasnąć. Wiercił się na pościeli, nie mogąc zasnąć i wpatrywał tępo w sklepienie chaty Jukony.

Za to wódz wojowników wlał w siebie potężne ilości kuomo i jego chrapanie przypominało porykiwania korynthiańskiego bawoła.

Cymmerianin dobrze wiedział, czemu męczy go bezsenność. Niepokój budziła w nim myśl o tym, co go czeka rano. Y'Taba miał użyć swego naszyjnika i zaklętych w nim duchów, by uwolnić barbarzyńcę od kłątwy szamana, która zatrzymała jego serce. Przez dziurę w dachu obserwował księżyc. Jak wiele dni upłynęło od bestialskiej rzezi na pokładzie „Pani”? Teraz księżyc znów wchodził w fazę pełni. Conan w położył się na brzuchu i ukrył twarz w liściach, na których spoczywał. Łoże nie było zbyt wygodne, ale zdarzało mu się sypiać na gorszych. Z zamkniętymi oczami przypominał sobie zapach skóry i włosów Sajary, o którym długo jeszcze będzie pamiętał po wspólnej kąpieli pośród ruin. W końcu udało mu się zapaść w sen...

Gnał przez gąszcz, jego własny cuchnący oddech parzył mu nozdrza. Dobiegały go także inne zapachy, pełzające po trawie czy unoszące się w powietrzu. Zapachy liści, deszczu, robaków, węży. W tej mieszaninie różnych zapachów instynktownie rozpoznawał woń swojego łupu. Nieprzerwanie pędził naprzód, robił coraz dłuższe i szybsze susy, aż wyczuł stworzenie znajdujące się tuż przed nim. Strach ofiary przypląwał falami, zaostrzając mu apetyt. Gdy zbliżał się do celu ślina sączyła mu się z ust i spływała na potężną pierś. W obłądnie przedzierał się przez zarośla, nie zwracając uwagi ani na smagające go gałęzie, ani na jadowite węże, rojące się u jego stóp. Dla niego nie znaczyły nic.

Łaknął gorącej krwi, z poderżniętego gardła czy rozprutego brzucha. Marzył, by zatopić zęby w świeżym sercu, wyszarpanym ze strzaskanych żeber.

Chwytał wreszcie i natychmiast zmiążdżył nogę uciekającego przed nim zwierzęcia, skoczył mu na grzbiet i powalił na ziemię. Zaczął rozkoszować się głosami rozpaczliwej szarpnięcia przerażonego stworzenia, po czym rozszarpał zębami jego ciało i dostał się do ciepłych wnętrzności. Ryczał i wył, upajając się swym bestialskim mordem.

Udręczone stworzenie odwróciło swój łeb i spojrzało na niego, z bólem i przerażeniem...

Conan z krzykiem zerwał się z pościeli. Był mokry od potu, a serce waliło mu w piersi jak młot.

Twarcę, którą zobaczył w koszmarnym śnie należała do Sajary.

— Na Cromę — wyjęczał strząsając liście przyklejone do wilgotnego ciała. Teraz już nie miał nawet zamiaru próbować zasnąć ponownie. Chciałby, żeby nadszedł już świt. Od chwili przybycia do wioski na grzbiecie czatownika, uporczywie myślał o tym, że dobrze byłoby, gdyby duchy muszli wykonały swą robotę jeszcze tej samej nocy. Y'Taba nalegał, by poczekać na przebudzenie się boga słońca, i wtedy spróbuje go uwolnić od demona.

Zdrowe chrapanie Jukony wypełniało całą chatę, zaduch i woń kwaśnego kuomo drażniły barbarzyńcę. Wyszedł po cichu na świeże powietrze, głęboko odetchnął i starał się nie spoglądać na księżyc. Znużony wszystkim tarł twarz i powlókł się w kierunku miejsca zgromadzeń. Ławka jest tak samo dobrym miejscem, by spędzić noc, jak cokolwiek innego.

Ku wielkiemu zaskoczeniu, dostrzegł siedzącą tam Sajarę. W dłoni trzymała kwiat.

Obracała w palcach łydżkę, wpatrując się w płatki, których barwy były pastelowe i przygaszone w mdłej poświacie księżyca. Conan niechętnie teraz myślał o tym, by się do niej przysiąść, ale Sajara dostrzegła go i uśmiechnęła zapraszająco.

Usadowił się na ławce, posyłając jej wymuszony uśmiech.

— Conanie, cieszysz się, że Y'Taba jutro uwolni cię od twej zmary? — spytała patrząc mu prosto w oczy.

— Na Cromę, oczywiście że się cieszę — odpowiedział szorstko.

— Czy po bitwie z Kezatjami wyjedziesz... by wrócić do Cymmerii?

— Raczej do Vendhii, jeśli te księgi, które znaleźliśmy... — urwał i ugryzł się w język.

Powinien był od razu zorientować się, o co jej tak naprawdę chodzi. Gdyby nie był aż tak zamroczony kuomo ani przybity potwornym snem, odpowiedziałby jej na pewno co innego.

Wpatrzona w kwiat w swojej dłoni, Sajara ciągnęła dalej:

Moore Sean U - Conan i kłątwa szamana

— Możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz. Tam w Rahamji, gdy powiedziałeś mi, że musisz wracać, nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, jak bardzo może mi Ciebie brakować. Conan nawet myślał o tym, by zostać. Bez dwóch zdań, Sajara była dla niego tym, czym nie mógł być żaden inny skarb. Była urodziwą dziewczyną, świetnym kompanem i wojownikiem jak żadna z tych, które poznał. Mając taką kobietę przy boku, mógłby zostać władcą tutejszych ludzi. Gdyby oczyścić to miejsce z plugastwa, jakim były Kezatje, Ganaku stałoby się rajska wyspa. Wielu wędrowników z radością przybyłoby, aby tu właśnie żyć. Ale nie Conan. Tak różnił się od takich włóczęgów, jak lew od stada szakali. I daleki był od tego, by ustatkować się i rozważać założenie rodziny. Nie wytrzymałby długo w jednym miejscu w domowym ognisku, otoczony wianuszkami rozkrzyczanych dzieciaków, przywiązany do jednej kobiety — nawet tak zmysłowej, jak Sajara. Co więcej, nie wiadomo, czy Ganaku nie stanie się nudne, bez Kezatij, które dostarczały wielu prawdziwych emocji.

— Nie musisz znowu walczyć za nas — powiedziała Saraja.

— Nie jestem tak podły, by was opuścić, gdy potrzebna jest kaziła pomoc. — Conan zobowiązał się, że doprowadzi sprawę do końca, aż krew ostatniego sępa — olbrzyma ścieknie po jego ostrzu. — Myślę, że tu zostanę, przynajmniej na razie — dodał szybko. Gdyby ciężąca na nim kłątwa została z niego zdjęta, kilka dni zwłoki nie robiłoby mu wielkiej różnicy. I tak, przygotowania do podróży na północ muszą zająć trochę czasu, a pragnął jeszcze przejrzeć dokładnie księgi Jhaory, licząc, że znajdzie wskazówki dotyczące położenia kontynentu. Znowu zaczynało chodzić mu po głowie, by zaryzykować i wrócić do Rahamji po rubiny. Na Croma, ryzykował już życie dla mniejszych rzeczy.

Oczy Sajary zalśniły w blasku księżyca, uśmiechnęła się i przytuliła do niego, składając głowę na jego muskularnej piersi. Cymmerianin milcząc trzymał ją w objęciach. Jego zmartwienia i kłopoty, lęk przed tym, co miało wydarzyć się następnego dnia — wszystko to rozpięchło się nagle, gdy poczuł ciepło Sajary. Pocałowała go namiętnie, lecz on odsunął ją łagodnie, gdy usłyszał za plecami jakiś szelest.

Niedaleko od nich stał Ngomba, przyglądając się im od jakiegoś czasu. Twarz miał wykrzywioną w grymas przypominającym okrutną maskę. Ścisnął w rękach wyostrzone wiosło tak mocno, że mięśnie od dłoni do potężnych barów drżały mu.

— Ona jest moja — wycedził przez zęby. Oczy błyskały mu złowrogo w świetle księżyca.

— Ngomba, nie! — krzyknęła Sajara zrywając się na nogi. — Nie wyzywaj go na pojedynek! Kiedyś kochałam cię, ale to już skończone. Walczysz na próżno! Conan ocalił moje życie i...

— Nie! — ryknął potężny Ganak, głowa zatrzęsła mu się, jakby jej słowa były ciosami, które otrzymał w twarz. Skierował wzrok na Conana. — Ty jesteś wszystkiemu winien, njeni! Ruszaj na spotkanie swych bogów!

Ngomba zbliżał się z poniesioną bronią. Jego ciemne oczy wyglądały jak dwie kule utoczone z polerowanej stali.

Barbarzyńca natychmiast przyjął pozycję do walki. Pomyślał z żalem o mieczu, który spoczywał oparty o ścianę chaty Jukony. Sajara stanęła pomiędzy nimi i rozpostarła ramiona, przygotowana na przyjęcie uderzeń wiosłem. — Cofnij się, dziewczyno — rozkazał Conan. Już prawie przebaczył młodemu wojownikowi zniewagi i brak szacunku, ale teraz na nowo gniew ogarnął Conana płomieniami, które mogła ugasić tylko krew.

— Ngomba nie dostanie ani Ciebie, ani żadnej innej kobiety, chyba że będzie umizgiwać się do pośledniej diablicy w piekle!

Szybciej, niż atakująca pantera, Cymmerianin skoczył wprost na wyostrzone wiosło, trzymane przez Ngombę. Chwycił je mocno i szarpnął do siebie, licząc na to, że razem z nim pociągnie wojownika. Ale w niezwykły sposób Ganak utrzymał równowagę, wyrwał broń z rąk Conana, obrócił ją, i uderzył w nieostroniętą głowę barbarzyńcy z głośnym trzaskiem.

Conan, powalony na kolana ciosem, który innemu roztrzaskał by od razu głowę, znowu chwycił za wiosło obiema rękami. Wyteżył całą siłę, zaparł się nogami i ciągnął. Śmiertelna walka przypominała zabawę przeciągania liny. Ich naprężone mięśnie pod spoconą skórą lśniły w promieniach księżyca. Nagle Ngomba przestał ciągnąć wiosło w swoją stronę i pchnął je w kierunku Conana, przechylając tak, by trafić ostrzem w szyję.

Conan na szczęście przechylił głowę i ostrze tylko lekko drasnęło kark. Teraz barbarzyńca naprężył mocno nogi i skoczył do tyłu. W końcu Ngomba stracił równowagę i runął na twarz, jak długi. Upadek odebrał mu na chwilę oddech. Conan smagnął czubkiem wiosła kark powalonego przeciwnika i cofnął się o krok. W rękę obracał sobie drewnianą broń. Ngomba chwycił łapczywie powietrze i błyskawicznie przeturlał się po ziemi, by uniknąć następnego ciosu.

Sajara z otwartymi ustami stała jak wrośnięta w ziemię. Nie mogąc wydobyć z siebie

słowa, patrzyła na dwóch wojowników i nie potrafiła od nich oderwać wzroku.

Cymmerianin wymierzył kilka szybkich uderzeń w ręce i nogi Ngomby, ale nic go nie powstrzymało. Ganak, jak rozjuszone zwierzę, nacierał bez przerwy, zdawało się, że nic nie jest w stanie go zniechęcić ani osłabić. Conan cofnął się, trzymając wiosło cały czas w pewnej odległości od napastnika, ale nadal tłukł go tępym końcem. Nad okiem Ganaka z rany broczyła krew, ale ogarnięty szalem wojownik nie przestawał nacierać, zmuszając barbarzyńcę do cofania się w kierunku zabudowań wioski. Nagle niespodziewanie, Conan zawadził o związaną pnąciami skrzynię leżącą tam, gdzie wcześniej pozostawił ją Y'Taba. Sajara odzyskała mowę i zaczęła wołać o pomoc, poruszając się za walczącymi mężczyznami.

— Nie zbliżaj się! — krzyknął Conan rzucając jej krótkie spojrzenie. Postanowił zmienić taktykę. Odwrócił wiosło i skoczył na Ngombę próbując dźgnąć go ostrzem.

Zręcznym ruchem i potężnym szarpnięciem młody Ganak wyrwał wiosło Conanowi, po czym złamał je o kolano. Mając w ręku dwa kawałki drewna rzucił się na barbarzyńcę, który zdążył okręcić się w miejscu i żelaznym uściskiem chwycić za kark Ngomby.

Silne dłonie Conana zaciskały się wokół tchawicy Ganaka, ale ten rąbnął trzymającego go wojownika łokciem, trafiając prosto w żołądek. Conan zakrztusił się i wycofał chwiejnie, posyłając Ngombie potężnego kopniaka w pachwinę. Młody wojownik przewrócił się, stękając z bólu. Z trudem łapał oddech. Conan kopnął go jeszcze raz, tym razem w szczękę. Rozległ się trzask.

Plując krwią i zębami Ngomba sięgnął do skrzyni. Z jednego boku sterczała rękojeść atnalagi.

Cymmerianin jeszcze raz rozpaczliwie kopnął przeciwnika, mając nadzieję, że udaremni mu wyjęcia kawałka czarnej śmierci. Lecz niewłaściwie przeniósł ciężar ciała i wykręcając sobie nogę, runął na twardy grunt, gdy Ngomba tryumfalnie krzycząc, zacisnął swoje mocarne palce na atnaladze. Gdy wydobywał broń ze skrzyni, podniósł się i okręcił w miejscu. Jedną stopą przygnoił żebra powalonego barbarzyńcy.

— Nie! — krzyknęła Sajara, pędząc w ich stronę ze wzniesionymi rękami. Z pobliskich chat dochodziły szepty i okrzyki zdziwienia. Mieszkańcy otrząsali się z mocnego i głębokiego snu po spożyciu : sporych porcji kuomo.

Pot i krew skapywały ze wścieklej twarzy Ngomby. Conan bezskutecznie usiłował zrzucić z piersi potężną stopę przeciwnika, przypierającą go do ziemi. Ganak uśmiechnął się pogardliwie, unosząc ostrze, by zadać ostateczny cios.

Conan dostrzegł kątem oka, jak Sajara pędzi w ich stronę. Odbija się od ziemi, skacze i mknie prosto na nich. Conan zrozumiał jej zamiar, zacisnął z całej siły obie ręce na kostce Ngomby. W tym i momencie Sajara zderzyła się z udem potężnego Ganaka. Jego stopa ześlizgnęła się po spoconym ciele barbarzyńcy, a ostrze szerokim łukiem leciało prosto na szyję upadającej Sajary. Cymmerianin zdołał popchnąć ją i ostrze wbiło się głęboko w ziemię. Ngomba ryknął wściekle i złapał miecz jeszcze raz. Wypolerowana stal atnalagi błysnęła nad Conanem, któremu nogi przygniotła Sajara. Wyciągnął ręce w górę, w obronnym odruchu. Ale nagle Ngomba zesztyniał, zatrzymując cios w pół drogi. Na jego dzikiej twarzy nagle pojawił się spokój. Jak w transie, wpatrywał się w atnalagę i odstępując od Cymmerianina zacisnął powieki i opadł na kolana. Gdy otworzył oczy, lśniły w nich łzy, które całkiem zmieniły odcień i wyraz oczu. Łagodnym gestem złożył broń na piasku i zakrył twarz dłońmi. Conan nie tracił czasu. Podniósł się i odrzucił atnalagę nogą. Przycisnął Ngombę do ziemi, a kciuki nacisnął mu na krtań. Ganak nie opierał się, ale w barbarzyńcy krew po prostu kipiała. Nie zamierzał okazywać litości komuś, kto próbował go zabić i kto o mały włos nie zamordował także Jukony i Sajary. — Zabij mnie — wycharczał Ngomba. — Duchy atnalagi... — Przerwał łapiąc powietrze — przemówiły do mnie. Ja jestem wybrańcem. Conan rozluźnił ucisk palców, ale nie puścił gardła Ganaka. Przypomniawszy sobie głosy tajemniczych duchów, ogień palący jego ciało, gdy niewiele brakowało, a atnalaga wysłałaby go do piekła. Najwidoczniej młody wojownik nie czuł tego wszystkiego, co on, choć tak samo duchy przemówiły do niego. A co, jeśli on naprawdę był wybrańcem Kułungi. Czy powinien oszczędzić tego zdradliwego młodzieńca?

Ngomba krztusił się. — Duchy kazały mi poddać się. Atnalagi nie może dzierżyć ten czyje serce jest nieczyste.

Jukona z małą grupką mieszkańców wioski, biegli już w ich stronę. Zatrzymali się i cała ta scena rozegrała się na ich oczach.

— Na Asusę, co się tutaj... — zaczął Jukona.

— Sza! — Sajara podnosząc się z ziemi, wskazała ręką dwóch uczestników pojedynku.

— Zabij mnie... człowieku z Cymmerii — błagał Ngomba, czując, jak Conan popuszcza

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

uchwył. — Sajara jest twoja. Ja jestem niewart jej miłości. Mogłem uratować mój lud, ale przez moją głupotę wszystko zaprzepaściłem.

Patrząc w nabiegłe łzami oczy, Conan puścił szyć Ganaka, pozwalając, by głowa Ganaka osunęła mu się na ziemię. Conan — weteran niezliczonych potyczek i pojedynków, zobaczył w spojrzeniu Ngomby coś, co kazało mu zostawić młodzieńca przy życiu. Ngomba wydawał się teraz zupełnie odmieniony. Był nie tym samym człowiekiem, który rozpoczął walkę z Conanem. Barbarzyńca przez moment zastanawiał się, czy nie będzie kiedyś żałował tego, że wypuścił go z rąk. Podniósł się na równe nogi i stanął obok, cofając się parę kroków. Sajara patrzyła na niego zdumiona.

— Darowałeś mu życie?

Conan skinął głową. — Nie jestem jego katem, ani sędzią. Niech szczęście w piekle dopiero wtedy, gdy jego bogowie uznają za stosowne zakończyć jego nędzne życie. —

Rozprostowując kości, Conan spojrzał poważnie na nią. — Choć nie ufam mu zupełnie, sądzę, że Kezattij nienawidzi bardziej niż mnie i będzie walczył z nimi aż do końca.

— Czy ktoś z was może mi wytłumaczyć, co zaszło? — zażądał Jukona. Czy miał jeszcze nieco zamglone — pewnie po działaniu kuomo jego głos brzmiał trzeźwo. — I co się stało z Y'Tabą i Nyoną?

Conan i Sajara wymienili spojrzenia, Ngomba powoli dźwigał się na nogi.

— Przy chacie Y'Taby nie ma czatownika. — Oznajmił jeden ze starców. — Może polecili razem gdzieś, gdzie mogą rozmówić się na osobności.

— To dziwne, że tak mało ze sobą rozmawiali ostatniego wieczoru — Jukona zamyślił się.

— Czy zdacie mi sprawę z tego, co się tutaj stało, choć Y'Taba powinien wiedzieć o wszystkim pierwszy.

Z kamienną twarzą spojrzał na Ngombę, który stał w miejscu, bez ruchu, ze spuszczoną głową.

Bez słowa młody wojownik podreptał w kierunku atnalagi, podniósł ją, cały czas zwieszając wstydliwie głowę. Powłókł się do jednej z ławek, otaczających plac zebrani i opadł na nie ciężko.

Odprowadzały go niedowierzające spojrzenia mieszkańców wioski. Niegdyś dumny młodzieniec, był teraz cieniem człowieka.

Conan i Sajara opowiedzieli Jukonie o tym, co się stało. Szczerze zaskoczony był opowieścią o tym, co ich oboje łączy. Y'Taba, Nyona i czatownik nie pojawili się w wiosce.

XIX

CZTERECH PRZECIW SETKOM

Na horyzoncie pojawił się wąty pasek błękitnej poświaty, gdy wschodzące słońce zaczęło wypierać z nieba znikający leniwie księżyc.

Conan przelikał kęsy surowej ryby, wypluwał ości na ziemię, ale myślami był gdzie indziej. Zmęczony po walce z Ngombą zapadł w głęboki sen — bez koszmarów — i wstał wypoczęty, choć dokuczało mu kilka bolesnych stłuczeń. Conan przekonał się, że w walce jeden na jednego, Ganakowie byli naprawdę niebezpiecznymi przeciwnikami.

Jukona był dziwnie ożywiony, pomimo nadmiernej dawki kuomo, jaką spożył wieczorem. Siedział obok Conana, rozkoszując się widokiem porannego nieba. Choć nie zdradzał się z tym, niepokoiła go nieobecność Y'Taby.

— Masz moje błogosławieństwo, jeśli chcesz się związać z Sajarą — odezwał się niespodziewanie.

Cymmerianin przestał jeść. — Jeszcze nie podjęliśmy decyzji — odpowiedział, przepłukując gardło wodą. — Ona jest Raniobą. Czy nie będzie musiała zrzec się tytułu, jeśli weźmie sobie męża?

Jukona potwierdził.

— Takie są nasze prawa. Poza tym Y'Taba może zabronić wam połączyć się, jako że nie jesteś Ganakiem. Jednak nie sądzę, by się sprzeciwiał po tym wszystkim, co dla nas uczyniłeś.

Conan odwrócił głowę i zaczął przyglądać się Ganakom krzątającym się przy swych zwykłych, codziennych obowiązkach. Kobiety z dziećmi pilnie pracowały, przy przyrządzaniu wszystkiego, co przyniosły do osady łowczyni. Czyściły mięso krabów i ostryg, rozbijały kamieniami skorupy kokosowych orzechów i nalewały mleko do naczyń z pancerzy wielkich mięczaków. Ostatniej nocy podczas uczyty wyczerpały się zapasy kuomo i trzeba je było uzupełnić. Chłopcy i dziewczęta tkali lub reperowali sieci do łowienia ryb. Najstarsi mieszkańcy wioski dreptali w pobliżu placu zgromadzeń, zbierali siew grupki i

rozmawiali o jakichś istotnych sprawach. Jeden z poważniej rannych wojowników ganackich był już w stanie chodzić, choć nie bez pomocy swojej kobiety. Inny rzucał się na posłaniu w atakach gorączki, jego stan pogarszał się. Pozostałym brakowało sił, mogli jedynie pomału przełykać pożywienie i sączyć podawane im płyny.

Ngomba siedział na wielkim kamieniu i szykował sobie nowe wiosło. Młody Ganak odzyskał trochę swej dawnej pewności siebie, ale milczał wciąż nieco zakłopotany. Unikał zarówno barbarzyńcy, jak i Sajary. Był całkiem pochłonięty robotą, która, jak zauważył Conan, zabierała bardzo dużo czasu, gdyż jedynymi narzędziami były kamień i muszla. Atnalaga leżała obok Ngomby, ale być może uznał, że jej ostrze nie nadaje się do obróbki drewna. A może w ogóle nie pomyślał o tym, by jej użyć. Conan przypomniał sobie, że przecież jego własny miecz potrzebuje pielęgnacji. Położył więc go na kolanach i zaczął trzeć krawędzie i płaz o muszlę, by wygładzić drobne zarysowania i wyostrzyć brzegi. Jediną wadą oręża z akbitanańskiej stali jest trudność w konserwowaniu ostrza. Przydałby się teraz jakiś smar do naoliwienia metalu, pomyślał, że tłuszczu mogą dostarczyć łowione tu ryby. Czekając na Y'Tabę, Conan starał się spędzić czas pożytecznie. Sajara, Makiela, Avrana i Kanitra wyłoniły się z kępy wysokich zarośli, wracały ze swojego zwiadu. Kobiety dochodziły do siebie nadzwyczaj szybko, dzięki własnej wytrzymałości, liściom yagneb i leczniczym umiejętnościom Y'Taby.

Jukona spojrzał pytająco na swoją córkę, na jego twarzy rysowało się napięcie. Sajara jedynie pokręciła przecząco głową. Kobiety szukały śladów Y'Taby i Nyony. Rozpoczęły od tropów przy chacie przewodnika duchowego. Makiela miała pewność co do tego, że razem odlecieli na mzuri, ale dalej ślad się urywał i nie potrafiły ustalić, dokąd się udali. Conan powrócił do ostrzenia miecza. Odrzucił na bok kolejną muszlę, która od zahartowanej stali zniszczyła się zupełnie. Zastanawiał się, czy kamień spisałby się lepiej. W pewnym momencie jego wzrok natrafił na skrzynię z księgami, wyniesioną z wieży. Pomyślał, że warto by w końcu przejrzeć te tomy.

Jukona przyglądał się z zainteresowaniem. — Jak na to mówisz? — spytał wskazując podniszczone i pogiete karty w dłoniach Conana.

— Książka — odparł barbarzyńca. Nastrój pogarszał mu się z każdą chwilą upływającego dnia. Jukona zmarszczył brwi i wpatrywał się w niewyraźne, gdzieniegdzie zamazane znaki. Szorstka odpowiedź barbarzyńcy powstrzymała go przed zadawaniem kolejnych pytań. Teraz w wiosce rozmowy prowadzili jedynie niektórzy członkowie starszyny plemiennej. Dziwne napięcie ogarniało Ganaków i oplatało jak niewidzialna nić. Wszystkich dręczyło w duchu tajemnicze zniknięcie Y'Taby oraz zbliżający się nieuchronnie najazd Kezatij.

Zastanawiające było też niezwykle zachowanie Ngomby. Conan przejrzał czwartą już księgę i był poirytowany. Ich zawartość była nieczytelna. Upływ czasu, wilgoć i żar zamieniły tomy w masę brudnego, kruszącego się pergaminu. Niektóre stronice rozsypywały się pod dotykiem ręki, ale dwie pierwsze księgi zawierały pewne, można rzec, nawet ekscytujące informacje. Nagle uwagę wszystkich przyciągnął krzyk Makieli. Cymmerianin początkowo nie rozumiał, co ją tak podnieciło, nie dojrzał w pobliżu nic niezwykłego. Lecz chwilę później na horyzoncie pojawiła się mała kropka, która szybko przemieniła się w już rozpoznawalny kształt mknącego czatownika. Pędził po niebie, nad dżunglą, niosąc pasażerów ku miejscu zebrań. Wszyscy Ganakowie porzucili swe zajęcia i skierowali się w pobliże pagórka w centrum osady, gdzie wkrótce usiadł Dawakubwa. Nawet Ngomba dołączył do reszty plemienia. Conan zauważył, że zabrał ze sobą atnalagę.

Y'Taba zszedł z karku czatownika nieco roztrzęsiony, pewność siebie wróciła mu dopiero, gdy dotknął stopami ziemi. Nyona została na grzbiecie skrzydlatego stwora i co chwila spoglądała na nieboskłon ponad drzewami. Również w tym samym kierunku czatownik odwracał głowę ze swoim czułkiem wyginającym się niczym trzcina na wietrze. Y'Taba miał podkrążone oczy prawdopodobnie po bezsennej nocy. Jeśli był zmęczony, nie okazywał tego swoim zachowaniem. Uniósł dłoń, by uciszyć gawieź. — Wybaczcie, że opuściłem was w nocy — rozpoczął. — Ranioba, Nyona i ja mieliśmy sobie wiele do powiedzenia, przeciągnęło się to bardziej, niż się spodziewaliśmy. — Spojrzał na mieszkańców wioski z uśmiechem na twarzy, który miał ich uspokoić, po czym wrócił do swojego normalnego sposobu przemawiania.

— O czym rozprawialiśmy, nie mam teraz czasu, by wam opowiadać. Jedno wam powiem, nasi wrogowie właśnie zbliżają się. Dzień zwycięstwa to dzień dzisiejszy!

Szum podniósł się wśród zebranych, a niektórzy przyjęli tę wieść ze stoickim spokojem, w milczeniu.

— Ranioba Nyona dostrzegła Kezatję w oddali, gdy mknęliśmy nad Krainą Śmierci. Nawet ze znacznej odległości widać było, że chmara ich przestania horyzont, ale nie

wpadajcie w rozpacz. Choć nie możemy użyć atnalagi, potężny Asusa i Muhingo, Bóg Wojny dali nam szansę pokonania dzieci Ezata. Conan, Ngomba, Jukona i Dawakubwa...

— Y'Tabo — przerwał mu Jukona. — Możliwe, że jednak będziemy mogli użyć atnalagi.

Przewodnik duchowy zawahał się.

— Jak to, Jukono, mówże prędko!

— Ngoraba stoczył pojedynek z Conanem i niemalże zabił go przy pomocy atnalagi, ale duchy zamieszkujące broń powstrzymały jego rękę i ocaliły życie Conanowi. Ngomba powiedział, że duchy nie są mu posłuszne, bo jego serce nie jest czyste, ale pozwoliły mu trzymać oręż. W końcu jest wybrańcem!

Y'Taba zmrużył oczy i spojrzał na wyraźnie odmienionego młodego Ganaka.

— Co ty na to, Ngomba?

— Zawiodłem, przewodniku duchowy. Powinniśmy użyć atnalagi w walce z Kezatjami, ale duchy, które nią władają zamilkły. Przemówiły do mnie raz tylko, rozkazując mi poddać się i nazywając mnie niegodnym. Możliwe, że odeszły na zawsze.

Cymmerianin zauważył, że Nyona przypatruje się Ngombie w sposób, w jaki nie patrzy się na obcego sobie człowieka. Słowa, które wypowiedziała wcześniej — sądził, że były przejęzyczeniem — zadźwięczały mu znowu w uszach. Zamyślił się głęboko, ostatnie wydarzenia nabierały całkiem nowego znaczenia. Dziwne myśli chodziły mu po głowie, ale to wszystko było zbyt niegodziwe, by mógł wierzyć, że to prawda. Poza tym, były teraz ważniejsze sprawy, które bardziej powinny go zająć. Ze zgrozą uświadomił sobie, że trzeba będzie przesunąć przepędzanie demona z jego serca aż do chwili zakończenia bitwy.

— Wkrótce wszystko się wyjaśni, Ngombo. Wydawało się, że ton głosu Y'Taby przez chwilę był dużo łagodniejszy, niż dotychczas. Wyraz twarzy miał jakiś niepojęty, nieokreślony, gdy spoglądał na młodzieńca. — Kobiety i dzieci niech poszukają bezpiecznego schronienia, razem ze starszyzną. Sajaro, ty przygotujesz swe łowczynię. Pośpieszcie się! Kezatje uderzą, co do tego nie ma wątpliwości. Trzeba nam też przygotować się do tego starcia duchowo. Nyono, kto ma ci towarzyszyć na grzbiecie mzuri vugunda?

— Polecę tylko ja — uśmiechnęła się. — Walczymy jak byśmy stanowili jedno ciało i poruszamy się szybciej, i zwinnie bez żadnego dodatkowego obciążenia.

Y'Taba skinął głową ze zrozumieniem. — Conanie, przykro mi, ale jeśli chcesz, możemy pójść w tej chwili do mojej chaty, gdzie przywołam duchy kabukruh. Ty dotrzymałeś słowa, więc ja mam wobec ciebie dług i zobowiązałem się go jak najszybciej spłacić. Co powiesz?

— Najpierw stanę do walki — rzucił Conan ponuro, ściskając mocno rękojeść swego miecza.

— Ramię w ramię, raz jeszcze — dodał Jukona, unosząc zakończone ostrzem wiosło.

— Jesteśmy gotowe, Y'Tabo — oświadczyła Sajara. Ona i inne kobiety, każda z zapasowymi włóczniami, ruszyły ku zaroślom nieopodal placu zebrań. Barbarzyńca zapoznał się z ich planem i od razu uznał, że jest znakomity. Wiedział, jak silnie i celnie Ganaczki potrafią miotać włócznie. Będą nimi rzucać z ukrycia, strącając wiele Kezatij, zanim ruszą do walki na noże.

— Nie zasługuję na to, Conanie z Cymmerii — odezwał się grobowym głosem Ngomba.

— Ale proszę ciebie i Jukonę, bym mógł stanąć do walki u waszego boku. Dzieci Ezata będą spadały do naszych stóp niczym krwawy deszcz, jeśli tylko nie poddamy się. — Cień dawnego Ngomby na chwilę przesłonił odmienionego wojownika, Conan zawahał się.

— Walcz, gdzie chcesz. Nie dbam o to i nic mi do tego tak długo, jak długo będziesz rąbał tą swoją bronią jedynie karki Kezatij.

Poczuł nagle, iż w gruncie rzeczy szkoda, że on i Ngomba byli ze sobą skłócenii. Nie było okazji, by nauczyć tego chłopaka roboty mieczem.

— Czterech stanie na pagórku — ogłosił uroczyście Y'Taba, wznosząc ku niebu swą broń.

Czterech przeciw setkom — pomyślał z cichą rezygnacją. Nyona posłała krótki uśmiech Y'Tabie, dmuchnęła w zaklętą muszlę i Dawakubwa wzbił się w powietrze. Ona, podobnie jak pozostałe kobiety, ukryje się i uderzy z ukrycia dopiero wówczas, gdy Kezatje będą już na miejscu. Cymmerianin uśmiechnął się z zadowoleniem, bo wiedział z doświadczenia, że czatownicy były prawdziwymi mistrzami maskowania się. Zastanawiał się, ile Kezatij dopadnie ta bestia, zanim zdołają się bronić. Aquiloński generał z całą pewnością oddałby legion sprzymierzeńców — a może i drużynę zakutych w zbroje rycerzy — za tak potężnego sprzymierzeńca. Łowczynię ukryły się, a Makiela samotnie wspięła się na skraju wioski i obserwowała horyzont. Conan wiedział, że jej sokoli wzrok dostrzeże Kezatje na długo przedtem, zanim ktokolwiek zdołałby je zobaczyć, więc spokojnie oczekiwał ataku i stał skupiony. Na wzniesieniu odwróceniu do siebie bokami, stali trzej milczący wojownicy. Wyczekiwali sygnału ostrzegającego o zbliżaniu się Kezatij. Po prawej stronie Conana był

Y'Taba, po lewej Jukona, z tyłu Ngomba. Ustawił się dokładnie za barbarzyńcą plecy w plecy. Nad osadą zaległa absolutna cisza. Tego spokojnego, pogodnego ranka, nawet najłżejszy podmuch wiatru nie poruszał liśćmi, nie śpiewał żaden ptak, spokoju nie mąciły nawet owady. Conan zauważył, jak po łysej głowie Jukony powolnie spływa kropla potu, łącząc się z innymi, lśniącymi na potężnych barkach wojownika. W tej nieznośnej ciszy, po kilku chwilach, ciągnących się w nieskończoność, rozległ się gwizd Makieli, która wólczią wskazała niebo. Zeskoczyła i pomknęła w stronę zarośli, gdzie czekały Sajara i jej podopieczne. Horda Kezatij zamajaczyła daleko na widnokręgu.

— Na Croma — wyszeptał Conan. Gdyby nie wiedział, pomyślałby, że to burzowa chmura, ciemna i ogromna. Kezatij było z pewnością ze dwa, a może nawet trzy razy więcej, niż wtedy, gdy walczyli na wybrzeżu czaszek. I wtedy do walki stanęło więcej Ganaków. Barbarzyńca nie czuł strachu. Nikt nie żyje wiecznie, a lepiej jest oddać życie na polu walki, niż szczeniąc na przykład w chorobie, leżąc na łożu chochy z najlepszych liści! Serce waliło mu, krew szumiła, dźwięczało w głowie. Ogarnęło go bitewne podniecenie. Rany na ciele, spór z Ngombą, przerażająca kłątwa ciężąca na nim — wszystko zniknęło z jego umysłu jak roztopiony lód w promieniach słońca, lub w ogniu, który rodził się w piersi wojownika. Stanął na szeroko rozstawionych nogach i wznosił miecz, który błysnął w słońcu. Nagle wyrzucił z siebie niesamowity, dziki dźwięk, który przeszył wszystkich — okrzyk wojenny Cymmerian.

Opadając na wioskę Kezatje rozdzieliły się, jak dobrze dowiedziona armia. Przypominająca olbrzymi półksiężyc formacja okrążyła czterech mężczyzn. Dwa zakrzywione rogi wyciągały się niczym kleszcze, by zamknąć się na ofiarach napaści.

Gdzieś w tyle unoszącego się w powietrzu stada Conan dostrzegł dziwny kształt, wielkości kilku Kezatij. Olbrzymie skrzydła uderzały w tym samym rytmie, co skrzydła wszystkich Kezatij. Pierwsze szeregi spadających sępów, z wyciągniętymi szponami, rozdziawionymi dziobami pędziły w dół niczym upierzone błyskawice. Ogłuszające wrzaski drapieżców rozdzierały ciszę. Nurkujące Kezatje przywitał grad wólczi, skutecznie przeszywając z tuzin, a może więcej stworów. Kilka ranionych spadło na ziemię, trzepocząc wściekle skrzydłami. Odgłosy konających sępów wybuchły w samym środku tworzącej półksiężyc hordy. Tam uderzył Dawakubwa. Bezlitosne, zielone szczęki odcinały łeb kolejnej Kezatij, a równocześnie potężne, tylne łapy czatownika chwyciły innego sępa, miażdżąc go bez specjalnego wysiłku. Poszarpane ptasie kadłuby i pokrwawione pióra znaczyły drogę przelotu Dawakubwy.

Ale nieustraszone, podniebne dzieci zła nagle opadły w dół, w ilości około dwudziestu stworzeń i uderzyły na czwórkę wojowników. Kezatje natrafiły na wzniesione miecze i wiosła.

Ostrze Cymmerianina śmignęło za pierwszym razem odcinając głowę jednego z sępów, za drugim wypruwając flaki z innego, który runął w piach, podrygując w agonii. Jukona przeszył jednego ptaka ostrzem wiosła i natychmiast płaską stroną swej broni — kolejnego. Y'Taba dźgnął jedno Kezatij w kadłun. Stworzenie ze skrzekiem ześlizgnęło się po drzewcu, pazurami i ostrym dziobem drapiąc pierś przewodnika duchowego, zanim śmiertelnie ranione zdechło.

Gdy pięć skrzydlatych demonów zbliżyło się do Ngomby, wznosił atnalagę, gotowy do starcia. Na ten widok, jakieś szaleństwo ogarnęło nacierające bestie. Ich przenikliwe wrzaski wzmogły się, przechodząc w dziwny płacz nie do wytrzymania. Zatoczyły łuk, jakby rozpaczliwie chciały uniknąć kontaktu z bronią, której ostrze rozjarzyło się niespodziewanie srebrnobłękitnym światłem. Trzaskające nitki światła — niczym miniaturowe pioruny — wystrzeliły z czubka ostrzami rozwidlając się pomknęły ku zataczającym łuk Kezatjom. Pięć pierzastych ciał runęło na ziemię. Unosiły się z nich smużki dymu, a powietrze wypełnił swąd spalonego mięsa. Ngomba osunął się na kolana i przewrócił na brzuch, ciężko chwytając powietrze. Pioruny wędrowały po atnaladze na całej długości i wgryzały się w ciało młodego Ganaka, jak sztylety. Jęcząc z bólu dźwignął się na nogi i trzęsącą ręką znów uniósł miecz ku niebu.

Wtem cztery wściekle sępy spadły równocześnie na Y'Tabę i powaliły go na ziemię. Barbarzyńca natychmiast uderzył na nie, jak stalowa kobra. Przebił jednego Kezatij, trzy pozostałe natarły na Cymmerianina. Jedna zatopiła szpony w obnażonym karku wojownika, druga bezlitośnie atakowała głowę, trzecia próbowała wbić pazury w jego bok. Rycząc wściekle Conan odpowiedział im stalą. Dzikim ciosem rozrąbał jednego sępa, z impetem przeszył ostrzem następnego. Wyszarpując ociekający miecz z martwego kadłuba, zawył okrutnie i sięgnął ręką za siebie. Chwycił kościsty kark złośliwego stworzenia i skręcił go jednym ruchem ramienia.

Moore Sean U - Conan i kłątwa szamana

Odwrócił się, by pomóc Y'Tabie. Jak maczugą rąbnął jedną bestię trupem drugiej — tej ze skręconym karkiem, i zamachnął się mieczem. Jukona, przyparty przez tłoczące się przy nim stwory, puścił wiosło i zaczął okładać napastników pięściami. Młócił tak potężnie, że słychać było trzask łamanych żeber i pękających czaszek. Dzioby i szpony szarpały mu ciało, ale wyglądało na to, że dla niego to zwykła rzecz. Krew lała się strumieniami, ale on dalej tłukł niestrudzenie zarazę pięściami jak kowalskie młoty.

Y'Taba zadusił ostatnią Kezatję i odepchnął jej zakrwawiony dziób od swojego gardła.

Podniósł się i odrzucił nogą ścięwo. Kawałki ciała wisały w miejscach, gdzie sępy rozerwały mu skórę, na głowie i piersi, krew sączyła się z ran pozostawionych przez ptasie dzioby. Chwycił wiosło i ustawił się na pagórku tak, by przyjąć drugą falę sępów. Świeży rój uderzył niczym szatańska nawałnica. Stwory wydały odgłosy złości, widząc swych martwych braci i z podwójną nienawiścią rzuciły się na garść obrońców. Kolejny raz Ngomba uniósł atnalagę, której tajemnicza moc strąciła kilka Kezatij, zanim wojownik padł na ziemię, powalony tą samą siłą, która pokonała napastników.

Conan stanął mocniej na nogach, by zmierzyć się sześcioma nacierającymi bestiami. Zakręcił mieczem, tworząc niebezpieczną przestrzeń wypełnioną ruchem ostrej stali nad swoją głowę. Bronił się jak schwyty w pułapkę dziki kocur. Kezatje spadały jak dojrzałe owoce krwawego żniwa i żaden sęp nie przedostał się przez wirującą zaporę śmierci. Chciwie łapiąc powietrze, barbarzyńca przesunął się parę metrów, by wydobyć się z warstwy martwych korpusów, sięgającej mu już po kolana. Otarł z oczu pot i spojrzał na niebo uśmiechając się w duchu. W końcu skrzydlata horda zaczęła się przersedzać.

Nieopodal Dawakubwa wyprawiał na tamten świat jednego za drugim atakujące ptaszysko. Nyona ściskając mu kark nogami, odpędzała Kezatje, które rzucały się czatownikowi do oczu. Miała wiele ran, ale walczyła dzielnie, nie ustępując nawet na chwilę. Dokładnie pod nimi Sajara i jej podopieczne bezlitośnie siekały pozostałe bestie. Sępy jednak także zbierały swoje żniwo. Na stosie ubitych ptaków leżała nieruchomo Avrana. Conan pragnął już zakończyć tę walkę. Rąbnął potężnie najbliższego przeciwnika i rozciął go na pół. Zanim zdołał dopaść następnego, inne wpiły mu się w plecy. Obrócił się, zamachnął mieczem i pozbył natrętów, choć dziób jednego o mało nie rozszarpał Cymmerianinowi gardła.

— Na Croma — jęknął, gdy łeb bestii opadł już u jego stóp. Nie spodziewał się takiej taktyki walki — na ziemi, w zwarciu. Na wybrzeżu czaszek Kezatij spadały na nich z powietrza i od razu odskakiwały z powrotem do góry, nie uderzając kilka razy pod rząd i nie lądując na plaży. Co skłoniło je do tego, by się tak szaleńczo poświęcać? Ale nie było czasu, by to rozważyć. Smagnął mieczem, rozplątując żebra nurkującemu, rozwrzeszczanemu ptakowi. Odwrócił się błyskawicznie, by przyjąć następny atak i aż zamrugał oczami szczerze zaskoczony.

Wysoko nad głowami wojowników, krążyła pojedyncza ciemna plamka, ale poza tym niebo było czyste. Kezatje zostały zwyciężone! Sajara powłócząc nogami zmierzała w kierunku pagórka, za nią wlokły się Makiela i Kanitra, wyglądające na półżywe. Garstka pozostałych łowczyń, zbyt mocno poranionych, by móc iść o własnych siłach, pozostała w pobliżu zarośli. Kilka ciał dzielnych ganackich kobiet leżało nieruchomo na trupach Kezatij. Jukona wydobył się z warstwy pogruhotanych korpusów i zrobił kilka kroków z grymasem bólu na twarzy. Ngomba leżał przy największej stercie martwych sępów. Świszczący oddech wydobywał się cicho z jego umęczonych płuc. Dłoń wciąż zaciskał na rękojeści atnalagi.

Y'Taba był przy nim. Dotknął dłonią głowy młodego wojownika i szepnął mu coś do ucha. Ngomba podniósł powieki i spojrzał na niego zdziwiony. Spróbował usiąść, ale kaszłąc i krztusząc się, osunął się znów na ziemię. Przewodnik duchowy wstał, spojrzał na Conana i pozostałych i chociaż uśmiechnął się, barbarzyńca widział w jego oczach jedynie cierpienie. Tuż przy nich, hałaśliwie łopocząc skrzydłami, miękko wylądował Dawakubwa.

— Jedna Kezatja wciąż żyje — przestrzegła Nyona, wskazując niebo. — Unosi się poza zasięgiem Dawakubwy, który odniósł znaczne obrażenia skrzydeł w tym boju. Ta Kezatja jest jakaś niezwykła — trzyma się z dala, jakby nie chciała być widziana.

Y'Taba wzruszył ramionami.

— Jeden nieprzyjaciel jest niewyraźnym obłoczkiem na jasnym niebie naszego zwiastwa. Nie będą nas niepokoić, przynajmniej przez jedno całe pokolenie. Ale wówczas nasza młodzież będzie w sile wieku. Odszukamy je, tak jak one odszukały nas i uczynimy, co trzeba, by mieć pewność, że już nigdy więcej nie będą niepokoić synów naszych synów.

Stary Ganak, pomimo ciężkich obrażeń stał dumnie na szczycie pagórka, promieniując siłą, tak jak zawsze.

— A teraz, Conanie z Cymmerii, wypełnię daną ci obietnicę. — Dotknął dłonią naszyjnika i otarł z niego zasychającą krew. Jakiś cień przesunął się nad pagórkiem tak szybko, że gdyby

Moore Sean U - Conan i klątwa szamana

Conan właśnie mrugnął, nic by nie dostrzegł. Podmuch powietrza poruszył jego długie włosy. Sajara krzyknęła ostrzegawczo, Jukona uniósł pięści w rozpaczliwym geście obrony. Nyona wzięła głęboki oddech i przytknęła muszlę do warg. Stwór pojawił się znikąd, tak to przynajmniej wyglądało. Kezatja, która przed paroma chwilami krążyła wysoko na niebie, mknęła tu teraz z oszłamiającą prędkością. Cymmerianin zadrżał na widok skrzydlatego monstrum, trzy razy większego, niż pozostałe okazy tego gatunku. Przyszło mu na myśl, że to tego stwora zobaczył z dala tuż przed bitwą. Wtedy właściwie wziął go za kilka Kezatij lecących blisko siebie. Szpony i dziób sępa—olbrzymia budziły przerażenie, już z powodu swych rozmiarów. Brzuch miał przedziwnie nabrzmiąły. Barbarzyńcy zrobiło się niedobrze, gdy uzmysłowił sobie, że to była ciężarna samica — pewnie królowa Kezatij. Najpierw zaatakowała Y'Tabę od tyłu, zanim zdołał zorientować się, co się dzieje. Wstrząśnięty Conan skoczył ku bestii z mieczem w dłoni. Ale równie dobrze mógłby próbować pochwycić w locie strzałę wystrzeloną z kuszy. Potwór złapał Y'Tabę w swe gigantyczne szpony za ramiona i wzbił się w górę. Jęk bólu wyrwał się z ust zaskoczonego Ganaka i cichł w miarę, jak potwór ze swoim łupem oddalał się od wioski.

— Conanie, Sajaro — szybko! — krzyknęła przerażona Nyona. — Musimy dopaść tę diabolicę.

— A co ze mną? — krzyknął Jukona.

— Tych dwoje to wystarczający ciężar, a są najłżejsi i najmniej ranni — odkrzyknęła Nyona i dmuchnęła w muszlę, gdy Conan i Sajara usadowili się na grzbiecie mzurei.

— Dawakubwa nie jest ranny? — spytała Sajara.

— Jest osłabiony — odparła Nyona. — Możliwe, że opadnie całkiem z sił, zanim dogonimy Kezatję, ale musimy próbować.

Prężąc potężne skrzydła, czatownik wzbił się nad ziemię w pogoni za mknącą królową Kezatij. Jukona stał patrząc za nim i przez długą chwilę nie mógł otrząsnąć się z szoku.

XX KRÓLOWA KEZATIJ

— Na Ishtar i Pteora! — zaklął Conan, patrząc bezradnie, jak Kezatja oddala się. — Czy ten twój stwór z piekła rodem nie może lecieć szybciej?

Y'Taba stopniowo znikał im z oczu, a razem z nim pierzchała nadzieja Cymmerianina na przegnanie demona, który cały czas w nim był.

— Mógłby, gdybyś zeskoczył — odcięła się Nyona.

— Spójrzcie — wtrąciła się Sajara. — Czy to nie wybrzeże czaszek? Barbarzyńca od razu rozpoznał małą wyspę w kształcie księżycowego sierpa, na jednym krańcu zalegały stopy czaszek.

Dawakubwa mknął jednak szybciej, niż sądził Conan. Dopiero co unieśli się w powietrze, a dotarli już tak daleko od Ganaku. Zafascynowana Sajara wpatrywała się w wyspę malejącą w oczach za nimi. — Żadna z łowczyń nigdy nie opuściła Ganaku — aż do dziś.

— Czemu? — spytał Conan, ale wzrok miał cały czas skupiony na Y'Tabie, który z oddali wyglądał jak mrówka.

— Nie ma czasu wyjaśniać — z nutą żalu w głosie odpowiedziała Sajara.

— Polowanie, wyrób noży, włócznie, zarzucanie sieci w morzu, zbieranie owoców i ziół, ćwiczenie wszelkich umiejętności i temu podobne czynności zajmują nam całe dni. — Westchnęła. — Choć wszystko może się zmienić, jako że teraz musimy być także wojowniczkami.

Barbarzyńca wzruszył ramionami.

— Kobiety żyjące w Cymmerii — tak samo zresztą, jak mężczyźni — mają podobnie. Rzadko kiedy ktoś z mojego ludu opuszcza granicę Cymmerii, chyba że dotyka mojej ojczyzny wojenna zawierucha.

— Któregoś dnia, kiedy w wiosce na nowo zapanuje ład, chciałabym wybrać się w podróż i zobaczyć krainy, o których mi opowiadałeś.

Conan popatrzył na nią ze współczuciem. W większości miejsc, które odwiedził, zaczynał w pewnej chwili odczuwać niepokój i czuł się, jak w jakimś podłym lochu. Zazwyczaj przygody kończyły się ucieczką z lokalną strażą na piętach. Ale gdy komuś sprzykrzy się miejsce pobytu czy zamieszkania i ma ochotę je opuścić, czemu odmawiać ma sobie dalekich podróży i związanych z tym prawdziwych emocji. Podróży niekoniecznie dla łupów.

Czatownik leciał coraz wolniej. Stara Ranioba dmuchnęła w muszlę, nerwowo ściskając ją w palcach. Jej polecenia pozostawały bez odzewu — czatownik zaczął tracić także wysokość.

— Dawakubwa jest wyczerpany — oznajmiła, opuszczając bezradnie ręce. — Stracimy

Y'Tabę.

— Jeszcze nie straciliśmy — odrzekł Conan. — Kezatja siada na tamtej skale. Na Croma, jeśli trzeba będzie tam płynąć, zrobię to.

Sajara i Nyona zobaczyły to samo, co on. Z daleka skała wydawała się nie większa, niż pięść, ale gdy się zbliżyli, dostrzegli jej rzeczywiste rozmiary. Cztery razy mniejsza od Ganaku, siedziba Kezatij była niczym innym, jak skalistą wysepką o pionowych ścianach, wyrastającą nad powierzchnię oceanu niczym niedostępna forteca.

Potężne skrzydła czatownika nagle przestały uderzać bez żadnego ostrzeżenia. Conan zdołał nabrać trochę powietrza w płuca, zanim czatownik wraz ze swymi pasażerami runął w wodę. Barbarzyńca płynął w kierunku skalistej wysepki, młóćąc ramionami wodę, jakby ścigały go krwiożercze rekiny. Sajara spieszyła za nim, z trudem wytrzymując tempo. Nyona pozostała przy Dawakubwie. Czatownik zdecydowanie nie był w formie, miotał się nieudolnie, by utrzymać na powierzchni. Nyona usiłowała mu pomóc, dmuchała w muszlę i wydawała jakieś polecenia.

Cymmerianin, stanął na brzegu kamienistej wyspy ociekając wodą, i ściskając miecz w pokrytej bliznami pięści. Sól morskiej wody przestała drażnić jego rany, i choć miał za sobą ciężką walkę, choć przepłynął dystans, jakiego niejeden nie wytrzymałby, zmęczenie spłynęło po nim wraz ze słoną wodą. Ze zwinnością górskiej kozicy, zaczął wspinać się na strome, prawie pionowe zbocze. Kiedy Sajara znalazła się u podnóża ściany, on był już w połowie drogi na szczyt. Sajara zniechęcona była stromą drogą, ale zaczęła wdrapywać się za Conanem. Jej wspinaczka nie była nawet w połowie tak sprawna i szybka, jak Cymmerianina. Takie umiejętności i doświadczenie, jak jego, mieli nieliczni tylko na świecie. Conan nadał sobie takie tempo, bo gdyby spóźnił się o moment, znalazłby na górze Kezatję kończącą zżerać starego przewodnika duchowego.

Od szczytu dzielił go już tylko mały fragment ściany. Podciągnął się, ostrożnie wyjrzał, wskoczył na górę i stanął na nogi. Góra była płaska, powierzchnię szczytu tworzyła gładka, wygładzona przez wiatr i deszcz naga skała. Niedaleko od brzegu urwiska znajdował się otwór prowadzący w dół, do wnętrza góry.

Tu barbarzyńca zobaczył plamy krwi, nieco dalej naszyjnik z czarnych muszli. Podniósł go i założył sobie na szyję. W chwili gdy podkraść się do ciemnego włazu, jego uwagę odwrócił krzyk dochodzący zza krawędzi skały. Zawrócił i podszedł do urwiska. Spojrzał w dół, czy Sajara przypadkiem nie odpadła od ściany. Ale zobaczył, że stało się wręcz przeciwnie — zniknęła w niej! Jej krzyk przerażenia urwał się nagle. Przeklinał swój pośpiech. Powinien był trzymać się blisko tej dziewczyny! Sajara wybrała inną drogę na szczyt, niż on i musiała odkryć jakąś grootę, z pewnością były tam Kezatje.

Conan zły na siebie opuścił się w dół i skierował do miejsca, w którym ostatnio widział Ganaczkę. W połowie drogi od podnóża góry do szczytu znalazł szczelinę. W tunelu, który prowadził do wnętrza skały, zobaczył nóż Sajary. Tunel początkowo był bardzo wąski — nie pomieściłyby się tu obok siebie dwie osoby, ale za chwilę nagle rozszerzał się. Sklepienie wysokością przekraczało trzy razy wzrost Conana. Ze środka dobiegło go nikłe echo jakiegoś skrobania, ale już po chwili zaległa niezmacona niczym cisza.

Cymmerianin wkroczył do jaskini. Jego oczy szybko przyzwyczajały się do mroku. W pewnym momencie poczuł jakiś niemiły zapach. Gdzieś z góry docierał stłumiony, nieokreślony dźwięk. Słoneczne światło docierało nieco do wnętrza, mimo, że tunel piął się ostro pod górę.

W ścianach jaskini gdzieniegdzie wyłobione były nisze. W przebłysku świadomości Conan zrozumiał, że trafił do gniazda Kezatij. Dokładniej obserwował ściany, a tam, gdzie było to konieczne, kierował się dotykiem. Wtedy poczuł palcami, że ściany nie były zwykłe, jak w innych jaskiniach z zaschniętym błotem i skałami. Tu pełno było kości — duże, ludzkie szkielety wymieszane ze szkieletami Kezatij. Nic dziwnego, że Ganakowie zabierali swoich poległych z wybrzeża czaszek. W jednej niszy tkwiła wielka sępia czaszka, na szczęście należąca do jakiejś od dawna nieżywej Kezatij. Sprawdził wszystkie zakamarki jaskini i uspokoił się, że żadna żywa bestia nie czyha na niego w ciemnościach. Poszedł dalej tunelem, minął zakręt, a potem korytarz prowadził stromo pod górę. Wił się, jak spirala, być może aż po sam szczyt, gdzie wcześniej widział otwór prowadzący na dół.

Kroczył dalej krętym tunelem, mijając puste legowiska. Wyglądało na to, że Y'Taba miał rację — miejsce było opustoszałe. Prawdopodobnie Ganakowie wybili wszystkie stwory, z wyjątkiem jednego, najgorszego. W pewnym momencie dostrzegł słoneczne światło dochodzące z góry. Zwolnił, uniósł miecz i zaczął stąpać tak cicho, jak skradająca się pantera. Tam, gdzie kończył się korytarz, zaczynała się niespodziewanie szeroka sala. Jasne promienie słońca wpadały przez otwór w sklepieniu — ten, który Conan widział już z drugiej

strony. Obraz, który zobaczył przyprawił go o mdłości.

W pomieszczeniu leżały setki, tysiące jaj, z których każde było wielkości beczutki piwa. Wiele nakrapianych czerwienią skorupki drżało nieznacznie. Jedna z nich właśnie pękła i rozleciała się, pokazując pokryty jakimś śluzem, pomarszczony łeb małej Kezatij. Nieduży, ale ostry dziób otworzył się i rozległ się cichy skrzek. Kilka kroków dalej leżeli bez ruchu Y'Taba i Sajara. Pierś Y'Taby podnosiła się i opadała, co dodało Conanowi trochę nadziei. Sajara poruszyła się, na jej głowie widoczna była duża rana. Przy nich, tyłem do Conana, siedziała gigantyczna Kezatja. Wyprostowała się i wydała obrzydliwy dźwięk, który złączył się ze skrzeczeniem świeżo wyklutej Kezatij. Olbrzymka właśnie zniosła jajo, które potoczyło się po sali. Tymczasem świeżo wykluta bestia strącała z siebie skorupy, resztki zdejmowała zakrzywionym dziobem. Ptak miał wielkość dorosłego orła, choć skrzydła były jeszcze nie rozwinięte. Zataczając się na swych koślawych łapach, mała bestia ruszyła w stronę świeżego mięsa przyniesionego przez matkę.

Tego już było za wiele. Wywijając mieczem Cymmerianin wpadł do skalnej komnaty jak cyklon, miażdżąc stopami kilka jaj. Nim sępia królowa zdążyła go zauważyć, sieknął mieczem pisklę, rozcinając je na dwie części.

Niesamowicie podobne do ludzkich ślepią gigantycznej Kezatij przepelnione były taką nienawiścią, że kryjąca się w nich mroczna moc zatrzymała barbarzyńcę na chwilę w miejscu. Poraziły go czerwonym blaskiem. Bijąca z oczu jakaś odwieczna, kosmiczna wrogość, jakies nieśmiertelne zło przeszływały Conana na wskroś. Pojął, że nie ma przed sobą jedynie ogromnych rozmiarów Kezatij, lecz demona, wyklutego w najwstrętniejszej, piekielnej wylęgarni.

Powód, dla którego sępy poświęcały się tak rozpaczliwie w ostatniej bitwie, stał się jasny. Ta piekielna królowa ma pisklęta, które musi wykarmić i dba jedynie o przyszłość nowego pokolenia. Cymmerianin patrzył na gigantyczną bestię. Dostrzegł w niej tylko żądzę krwi i pragnienie rozkoszowania się cierpieniem jakiegokolwiek żywej istoty. Bestia nie zabiła Y'Taby i Sajary, chciała rozkoszować się ich męką, usłyszeć krzyki bólu i przerażenia, gdy będą żywcem pożerani przez świeżo wyklute pisklęta. Nagle królowa Kezatij wyciągnęła łapy, próbując złapać Conana w swe szpony. Odskoczył do tyłu, wrzasnął wyzywająco, cisnął nożem Sajary i trafił stwora w bok. Wyszarpnęła nóż dziobem i odrzuciła, po czym z dzikim skrzekiem rzuciła się na barbarzyńcę.

Była tak wielka, że jej kark zaczynał się wyżej, niż sięgał miecz Conana. Zasięg jej szponów był znacznie większy, niż długość ostrza. Kiedy zniżyła swój łeb i próbowała uderzyć go dziobem, błyskawicznie przeturlał się po podłodze, rozgniatając parę jaj. Teraz pchnął mieczem, celując w żołądek. Sajara poruszyła się i usiadła.

Nagle Kezatja gwałtownym uderzeniem skrzydeł uniosła się, unikając miecza, po czym opadła w dół, raniąc pazurami ramię wojownika. Miecz nie trafił w żołądek, ale ostrze odcięło jej nogę. Wściekły i pełen bólu wrzask rozsadzał głowę barbarzyńcy. Rąbnął jeszcze raz odcinając płat pierzastego ciała i odsłaniając wnętrze monstrum. Ptasie flaki drżały i skręcały się, zanim zalała je czarna, tłusta jucha.

Gigantyczny ptak wymierzył nogą cios w Cymmerianina, który przeleciał przez całą salę, uderzył o ścianę i wypuścił miecz z garści. Ściskając krwawiące ramię, by zatamować krew, sięgnął po miecz.

Obrażenia, jakie odniosła królowa Kezatij były poważne, ale nie powaliły jej. Łypnęła złym okiem na swego przeciwnika, po czym wzbijała się w powietrze i powoli skierowała się do otworu w sklepieniu. Wtedy poderwała się Sajara i chwyciła uciekającą bestię za jedną nogę. Nic sobie z tego nie robiąc, Kezatja unosiła się nadal, dźwigając ze sobą Sajarę. Conan miotając przekleństwa, rzucił się w ich stronę. Krew lała mu się po całym boku. Podskoczył i jedną ręką złapał stopę Sajary. Królowa Kezatij okazała się tak silna, że nawet ciężko ranna i obciążona nie przerwała lotu. W końcu dotarła do otworu prowadzącego na zewnątrz. Tu już zaczęła potrząsać swoją jedyną nogą, żeby pozbyć się balastu.

Cymmerianin trzymał się Sajary dzięki silnym mięśniom, ale bardziej dzięki niezwyklej sile woli. Stopami zaczepił się o krawędź otworu, nie pozwalając królowej sępów wznieść się wyżej. Drugą dłonią wciąż ściskał rękojeść miecza. Rozwścieczona Kezatja nie mogąc lecieć dalej, ani uwolnić się, wygięta szyję, starając się dosięgnąć głowy Sajary.

Conan wrzasnął dziko i puścił stopami skałę. Podciągnął się w górę i wymierzył ostrze w łeb stwora. Miecz przeszedł bez trudu przez skórę i kości. Dziób ptaka zatrzymał się o parę centymetrów od twarzy Sajary, po czym odcięta głowa piekielnej królowej odpadła od reszty cielska i odbijając się od skał, runęła do oceanu.

Conan puścił stopę Sajary, skoczył na nogi i chwiał się przez chwilę na krawędzi urwiska, zanim odzyskał równowagę. Bezgłowe cielsko konwulsyjnymi ruchami odtraściło Sajarę, ostre

szpony przejechały po piersi Conana i zerwały mu z szyi naszyjnik Y'Taby, który szerokim łukiem poleciał w stronę wody.

Dla Conana czas się zatrzymał. Sajara spadła na skalę, nie mogła złapać równowagi i machając rękami przechylała się w kierunku, w którym poleciała głowa Kezatij. Cymmerianin bez wahania rzucił się i w ostatnim momencie chwycił Sajarę za nadgarstek. Usłyszał tylko cichy plusk wpadającego do oceanu naszyjnika. Wrócił pośpiesznie do sali, gdzie nadal spoczywał Y'Taba. Miał nadzieję, że stary przewodnik duchowy jeszcze żyje. Zeskoczył ostrożnie na podłogę i rozbił wszystkie jaja, jakie były w tej pieczarze diabła. Tymczasem Sajara próbowała ocucić rannego Ganaka. Był zbyt osłabiony, by mógł wstać o własnych siłach, więc wzięli go pod ręce i poprowadzili przez tunel do wyjścia znajdującego się w skalnej ścianie. Nyona i Dawakubwa oczekiwali na nich na skalnym występie u wylotu korytarza. Czatownik w tylnych łapach trzymał na poły zjedzone ścierwo — które Conan natychmiast rozpoznał. Uznał to za świetny żart losu — ostatnia Kezatja kończy żywot w brzuchu innej bestii.

— Dawakubwa zanieś nas z powrotem — oznajmiła Nyona przerywając milczenie. — Potrzebował pożywienia.

Y'Taba zakasłał i złapał się za szyję.

— Conanie z Cymmerii, nie jestem w stanie dotrzymać danego ci słowa. Wszystko, co mam, należy do ciebie, ale nie mogę uwolnić cię od klątwy. Kabukruh musiał zerwać się z mojej szyi, gdy zostałem porwany.

Conanowi serce skoczyło do gardła.

— Mówisz o tym, Y'Tabo? — odezwała się Nyona i pokazała schowany w połach skapego ubrania sznur czarnych muszli.

— Ha! Więc jednak bogowie mają poczucie humoru! — zawołał wesoło Conan.

— Zobaczyłam, jak to spada, gdy czekaliśmy jeszcze na dole — Nyona uśmiechnęła się.

— No, tym razem, wojowniku z Cymmerii, nie będziesz czekał — zapewnił stary Ganak. Jego zwykle poważna twarz rozjaśniła się uśmiechem, gdy wziął od Nyony swój naszyjnik.

XXI

WYZWOLENIE

Conan przetarł oczy i spojrzał w dal. Siedział na kawałku kory, na karku czatownika. Przez chwilę myślał, że to, co zobaczył, to złudzenie. Zamknął więc na chwilę powieki i spojrzał raz jeszcze.

Łą! Uśmiechał się radośnie, gdy Nyona za pomocą muszli kierowała Dawakubwę w dół. Sajara siedziała za nim i obejmowała go mocno. Jej oczy błyszczały w oczekiwaniu. Doszli już do siebie całkowicie, od dnia, gdy została zgładzona ostatnia Kezatja.

Po śmierci królowej sępów, Dawakubwa zaniósł Conana, Nyonę, Y'Tabę i Sajarę do Ganaku. Starszyzna, obydwie Ranioby i Jukona byli świadkami przywołania duchów muszli przez Y'Tabę. Ceremonia, która miała miejsce jeszcze w dzień ich powrotu. Cały obrzęd nie trwał długo — przewodnik duchowy nie mamrotał żadnych bezsensownych formuł, ani nie pomagał sobie żadnym szaleńczym tańcem, czy wymyślnymi gestami, jak to czynią szamani piktyjscy, czy magowie z Kush. Zamknął oczy, ujął w dłoń naszyjnik i skupił się. Pot zaczął płynąć mu po twarzy. Z muszli zaczęło wydobywać się najpierw dziwne brzęczenie, potem głośny dźwięk przypominający grzmot, po którym zapadła zupełna cisza.

Conana przeszył dreszcz. Duchy, które przywołał Y'Taba, to były wodniste widma, obłądnie wirujące wokół niego. Zanim Cymmerianin zdołał się ruszyć, mgliste postaci przepłynęły przez jego ciało i porwały ze sobą czerwoną mgłę, która szybko rozplynęła się w powietrzu. Pełni czci i grozy, Ganakowie i Cymmerianin, spojrzeli na Y'Tabę, który stał niewzruszenie, aż potrzaskane muszle wypadły mu z dłoni. Conan poczuł krótki ból, potem mrowienie w krzyżu, ale to prędko minęło. W noc, która nastąpiła później, nie miał żadnych koszmarów, choć księżyc w pełni zalewał wioskę swym jasnym światłem.

Parę tygodni w Ganaku, pod staranną opieką Sajary, pomogły mu wyleczyć ciało i pozwoliły na uważne przestudiowanie wiekowych ksiąg ocalonych z wieży. Wśród nich znalazł także dzienniki pokładowe ludzi Jhaory i wprawdzie z trudem, ale udało mu się określić położenie Ganaku: leżało na południe od Wysp Perłowych, które z kolei leżą na zachód od Vendhii.

Ngomba odzyskał siły po bitwie, ale zmienił się zupełnie. Czy to otarcie się o śmierć, czy przesłanie duchów atnalagi, uczyniło go innym człowiekiem. Jego porywczość i butność zniknęły. Ich miejsce zajęły cechy, które przypominały bardziej osobowość przewodnika duchowego. To miało sens, jeśli podejrzenia Conana, co do związku Y'Taby i Nyony były

prawdziwe. Tak czy inaczej, tych dwoje wzięło młodego Ganaka pod swoje skrzydła. Sajara bez większego sprzeciwu ze strony Jukona postanowiła towarzyszyć Conanowi w jego podróży. Zgodnie z umową Nyona miała wrócić po nią na czatowniku, gdy znów wszędzie pełny księżyc. Conan cieszył się z takiego obrotu rzeczy. Pozbył się demonicznego piętna szamańskiej klątwy i czuł się wspaniale, jak chyba nigdy — wyzwolony od podłego czaru, z workiem pełnym drogocennych skarbów z wieży w Rahamji, z mieczem u pasa i piękną, pełną życia dziewczyną u boku. O cóż jeszcze mógłby prosić bogów mężczyzna? Gdy tylko Dawakubwa usiadł na ziemi, zebrał się wokół niego tłum miejscowych. Ich stroje zdawały się barbarzyńcy znajome i nagle roześmiał się głośno. Tak jak na to liczył, wylądowali na wyspie zasiedlonej przez Gwadirisów, przyjazne plemię poławiaczy pereł. Conan wybrał tę wyspę ze względu na jej niewielkie oddalenie od Ganaku. Wątpił, by Dawakubwa zdołał pokonać odległość dzielącą ich od Vendhii. Choć miał też inne powody. Nie tak dawno, jeszcze w Iranistanie, uratował córkę wodza Gwadirisów przed strasznym losem.

Teraz przysadzisty, mocno opalony wódz zbliżał się do nich, w garści ścisnął włócznię, ale ostrze skierowane było w niebo.

— Conan z Cymmerii? — spytał z niedowierzaniem.

— Aurauk! — odparł Conan serdecznie. — Jak się ma Nanaia?

— Świetnie, właśnie wyszła za herszta Bajrisów. Porozmawiamy o tym później, co? —

Wódz podniósł oczy, z których bił podziw. — Najpierw ty powiedz mi, co to za piękne panie, i cóż to za stwór?

— To długa historia — odrzekł Conan. — Lepiej jej nie zaczynać bez kwarty wina.

— Będzie wino i królewska uczta! Tak się cieszę. Zawdzięczam ci więcej, niż ocalenie mojej córki. A ty nie mogłeś się zjawić w lepszym momencie.

— Tylko szelma mógłby... — zaczął Cymmerianin.

Arauk nie pozwolił mu skończyć. — Zostawmy to. Miałem ci powiedzieć, że Bajrisi są teraz naszymi przyjaciółmi. Ale grożą na napaścią trzy plemiona Udwingi. To lokalny zatarg, w którym muszę wziąć udział. Co ty na to, Conanie? Jeśli poprowadzisz nas do zwycięstwa, dam ci tyle pereł, ile ten stwór zdoła udźwignąć!

— O cóż jeszcze mógłbym prosić? — odpowiedział Conan, rozważając propozycję. — Za taką górę pereł mógłbym sobie kupić królestwo. Walczyłem ostatnio z różnymi wstrętными stworami i nawet uśmiecha mi się perspektywa starcia z wojownikami z krwi i kość Zgoda, na Croma! — zawołał.

— Szykuj ludzi, wodzu, a pośpiesz się — trzeba wytoczyć nieco tej udwingijskiej krwi przed zachodem słońca!